



Zrób rachunek  
sumienia, zanim  
trafisz do szpitala

# WYLECZENI

Alicja Horn

Alicja Horn

# WYLECZENI

---

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

---

Alicja Horn - Wyleczeni

ISBN 978-83-8202-326-8

Copyright © by Alicja Horn, 2021  
Copyright © for this edition by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2021  
*All rights reserved*

Redakcja  
Barbara Borszewska

Korekta  
Blanka Kienitz, Julia Młodzińska

Projekt typograficzny i łamanie  
Grzegorz Kalisiak

Projekt graficzny okładki  
Mariusz Banachowicz

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 25 19, 61 853 27 67  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

# Rozdział 1

W Warszawskim Szpitalu Klinicznym im. Wandy Błęńskiej straszło. Przedmioty zmieniały położenie, szafki same się otwierały, a opowieści o tym, co działo się nocami w podziemnym łączniku między budynkami oddziałów, mroziły słuchaczom krew w żyłach. W zasadzie nikogo to nie dziwiło — miejsca z taką przeszłością często bywają nawiedzone.

O przeszłości Warszawskiego Szpitala Klinicznego można by napisać całe tomy. Wybudowany w dziewiętnastym wieku w sytuacji szerzącej się epidemii cholery, szpital służył początkowo jako izolatorium, w którym chorzy mieli dojść do zdrowia lub odejść na zawsze. Jednak niespodziewanie dla wszystkich zaczął obrastać w oddziały, nie tylko zakaźne. Solidna i praktyczna budowla szybko stała się dumą mieszkańców stolicy. Na swoje nieszczęście, lata później, szpital przykuł uwagę także Niemców, którzy w 1942 roku urządzili tu siedzibę Vernichtungskommando — specjalnej jednostki, zajmującej się wywozem warszawiaków do obozów zagłady. W piwnicach szpitalnych powstało więzienie dla powstańców, a w ogrodzie, między lipami i krzewami derenia, Niemcy regularnie przeprowadzali ich egzekucje. Kolejne dekady nie okazały się dla szpitala łaskawsze: w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, podczas rozbudowy oddziału kardiologicznego, w podziemiach budynku natrafiono na stary magazyn, gdzie w zapomnieniu leżało sześć ton pozostawionego przez Niemców trotylu. Komunistyczne władze nie zgodziły się na ewakuację pacjentów — z niewiadomych przyczyn akcją usuwania materiałów wybuchowych postanowiono przeprowadzić po cichu, nocą. Trwała prawie dwa tygodnie i niewiele brakowało, by zakończyła się sukcesem. Wybuch nastąpił niespodziewanie, kiedy usuwano ostatnie partie trotylu. Zginęli prawie wszyscy pacjenci i personel budynku, pod którym mieścił się magazyn, a także wielu przebywających w sąsiednich pawilonach.

Dziś Warszawski Szpital Kliniczny im. Wandy Błęńskiej jest najlepszym szpitalem w województwie, a w opinii wielu — w całej Polsce. Słynie z kompetencji personelu medycznego, jakości wykonywanych badań oraz skuteczności przeprowadzanych zabiegów. O tragicznych kartach historii przypomina jedynie kamienna tablica przy wejściu. A także fakt, że w szpitalu straszycy.

Doktor Robert Szymański znał przeszłość szpitala, w którym pracował od prawie dwudziestu lat. Słyszał również opowieści personelu i pacjentów o dziwnych wydarzeniach, tajemniczych dźwiękach i ulotnych postaciach widywanych podczas nocnych dyżurów. Uważał je wszystkie za wysane z palca. Spędzał w szpitalu co najmniej dwie noce w tygodniu, ale nigdy nie był świadkiem żadnych paranormalnych zdarzeń. Dlatego nie lubił, gdy ktoś opowiadał bajki o szpitalnych duchach i dosadnie reagował, gdy je słyszał.

Robert Szymański nie lubił wielu rzeczy. Na przykład nie lubił też sobót. Soboty oznaczały pobudkę o 6.30, pośpieszne golenie, śniadanie w samochodzie i narastającą irytację pojawiającą się już na parkingu „Błęńskiej”, jak potocznie nazywano szpital. Irytacja przeradzała się w złość, kiedy mijał budkę ochrony przy wejściu do szpitala, i w prawdziwą furję, gdy na jego drodze stawały znajome twarze

współpracowników. Szymański od dłuższego czasu regularnie dyżurował w soboty, czego szczerze nie znosił. W ogóle konieczność przebywania na terenie szpitala była dla niego najgorszą formą tortury. Jednak dzięki sobotom miał wolne poniedziałki, a to właśnie poniedziałki były jego siłą napędową, źródłem energii do działania przez cały tydzień. Poniedziałki były tylko jego i tylko dla niego, w poniedziałki oddawał się wyłącznie ulubionym czynnościom i nic nie mogło tego zmienić.

Teraz musiał przeżyć kolejną frustrującą sobotę w „Błęńskiej”. Zawsze zaczynał od porannego obchodu na oddziale zakaźnym, po którym czytał zlecenia dla chorych. Co prawda istniała zasada, że w piątki wszystkim pacjentom w stanie stabilnym ustalano zlecenia aż do poniedziałku, ale doktor Szymański miał swoje zdanie na temat rodzajów nawodnienia czy kombinacji poszczególnych leków, więc często zdarzało się, że zlecenia lekarzy prowadzących zmieniał.

Tak, doktor Szymański ubolewał nad tym, że otaczali go wyłącznie durnie. Zwłaszcza ordynator oddziału zakaźnego, Tomasz Czechowski. Szymański męczył się z nim już pięć lat. Przybysz znikąd, pojawił się tuż przed zamknięciem konkursu na ordynatora i odebrał Szymańskiemu wymarzone stanowisko. Ordynatura miała być ukoronowaniem jego kariery lekarskiej. Kariery, która co prawda była chwilami wyczerpująca, ale miała też i liczne zalety. Niestety, wszystko poszło nie po jego myśli i Szymański musiał zadowolić się stanowiskiem zastępcy ordynatora — najgorsze, co mogło mu się przytrafić. Wiązało się to praktycznie z samymi obowiązkami i jedynie kilkoma przywilejami.

Na dodatek ordynator okazał się być cwany idiotą. Że idiotą — tym akurat Szymańskiego nie zaskoczył. Wiedza medyczna Czechowskiego kończyła się na poziomie szpitala powiatowego, a tego właśnie Szymański spodziewał się po protegowanym dyrektorki szpitala, której dotychczasowa polityka kadrowa była prowadzona zgodnie z zasadą „mierny, ale wierny”. Regułę tę można by wygrawerować na mosiężnej tabliczce na drzwiach jej gabinetu. Ale przebiegłość nowego ordynatora była dużą niespodzianką. W mistrzowski sposób wykręcał się od podejmowania trudnych decyzji, a zwłaszcza podpisywania się pod nimi. Unikał również konfrontacji z własnymi pracownikami, co skutkowało tym, że obiecywał wszystkim wszystko, a później nawarzone piwo kazał pić Szymańskiemu. Nie żeby Szymański nie lubił roli złego szefa, ba, Szymański nie musiał niczego odgrywać. Krzyżowanie planów i grzebanie nadziei podwładnych sprawiało mu przyjemność. Ale fakt, że musiał to robić w ramach przysługi dla Czechowskiego, którym gardził, było dla niego torturą. Niewdzięczny drań, nawet nie widział, albo udawał, że nie widzi, ile pracy kosztowało Szymańskiego utrzymanie oddziału w ryzach i nadzór nad tą bandą niekompetentnych idiotów-lekarzy. Tylko Szymański był w stanie utrzymać tę wielką maszynę w ruchu i nie dopuścić, by jakiś jej element zaczął szwankować.

Ordynator zajęty był pilnowaniem własnych interesów, zwłaszcza po tym, jak dzięki swoim koneksjom został konsultantem wojewódzkim. Trzecia żona i piąte dziecko w drodze skłaniały go bardziej do skupiania uwagi na tej czy innej pani Klaudii z Lekopharmy niż na pracy oddziału. Cały szpital opowiadał po cichu o „drobnych” prezentach, jakie Czechowski otrzymywał od firm farmaceutycznych w zamian za wyniki badań klinicznych. Na dodatek badań, do których, poza przybiciem swej ordynatorskiej pieczętki, nie przyłożył nawet małego paznokcia. Wszystko robił on, Robert Szymański, narażając swoją reputację, być może nawet i przyszłą profesurę, a otrzymując w zamian jakieś ochłapy z pańskiego stołu. Na szczęście wkrótce miało

się to zmienić. Szymański miał plan, jak pozbyć się tego i kilku innych problemów ze swego życia, raz na zawsze.

Tymczasem trzecią noc w tym miesiącu spędzał w „Błęńskiej”. I nie ostatnią — kolejna rezydentka w ciąży i kolejne nieplanowane dyżury przypadły w spadku do obsadzenia również jemu. Czuł się upokorzony, że mimo funkcji, jaką pełnił, część dyżurów musiał obstawić sam. Oczywiście, jak tylko dowiedział się o dodatkowych dyżurach, natychmiast wpisał je wszystkie do grafiku Marty Wolskiej. Jednak ta mała żmija zrobiła z tego powodu taką awanturę, że dwa z nich musiał ostatecznie zostawić sobie. Marta Wolska... Gdy tylko powiedzie mu się z ordynatorem, zajmie się nią. Za często wchodziła mu w drogę i drażniła go swą bezczelnością. Niebieskimi oczami i szerokim uśmiechem tak owinęła sobie wszystkich wokół palca, że tańczyli w takt każdej melodii, którą im zagrała. „Nasza Martusia obroniła doktorat w wielkim stylu”, „nasza Martusia otrzymała najwięcej podziękowań od pacjentów”, „nasza Martusia udzieliła świetnego wywiadu na temat szczepień”, „nasza Martusia miała rewelacyjne wystąpienie na konferencji hepatologicznej”. Nie mógł już tego słuchać. Doskonale wiedział, że Marta była złośliwą manipulatką i sprawnie wykorzystywała ludzi do własnych celów. A ci jej na to pozwalali, jak stado baranów.

Tak, na nią również przyjdzie czas. Już niedługo. Tymczasem przejrzał karty zleceń i z wielką satysfakcją wprowadził poprawki. Również pacjentom Marty, bo wiedział, że każda taka zmiana bardzo ją irytuje. Oddał karty do dyżurki pielęgniarek, pouczając je przy okazji, jak prawidłowo zakładać sterylne rękawiczki. Naprawdę, za jakie grzechy musi pracować z tymi wszystkimi idiotami? Na szczęście nikt z pacjentów nie potrzebował interwencji lekarza, więc na jakiś czas mógł zamknąć się w swoim gabinecie. Wyjął prywatnego laptopa i podłączył się do ogólnodostępnego wi-fi. Sieć była przeznaczona dla pacjentów całego szpitala, dlatego przeciążona i wolna, ale wolał nie ryzykować logowania do sieci dla personelu. Za głupie błędy zawsze płaci się najwyższą cenę, o czym wielokrotnie się przekonał. Na szczęście na cudzej skórze. Wpisał z pamięci adres strony i wcisnął Enter. Logowanie, jak zwykle, trwało wieki, ale wiedział, że ostrożność jest konieczna. Ogarnęła go błogość, jak zawsze, kiedy mógł przeglądać nowe materiały. Na wszelki wypadek nie zapisywał ich na dysku komputera, ale uważnie studiował przez kilka minut te najbardziej interesujące. W takich chwilach problemy znikają, a czas przestawał płynąć. Szymański nie widział i nie słyszał niczego poza treścią, którą chłonał z laptopa... Klik... Klik... Klik...

W najciemniejszym kącie dyżurki lekarskiej coś delikatnie zaszeleściło, jakby kartka przewrócona w książce. Po chwili dźwięk powtórzył się, tym razem głośniejszy. W normalnych warunkach doktor Szymański zainteresowałby się jego pochodzeniem. W końcu poza nim samym, nikogo w zamkniętym na klucz gabinecie nie było, a przynajmniej być nie powinno. Ale Robert Szymański nawet nie drgnął. Nie mógł, ponieważ od dwóch godzin już nie żył.

## Rozdział 2

Marta Wolska pragnęła snu. Ostatnio dyżurowała jeszcze częściej niż zwykle, a rutynowo brała dyżurów znacznie więcej, niż powinna. Miała nadzieję, że wyśpi się dzisiejszej nocy, ale nic z tego nie wyszło. Znowu przysnił się jej ten sen.

Była małą dziewczynką schowaną w wiklinowym koszu, w rogu ciemnego pokoju. Zagrzebana w pluszowych zabawkach, ścisła w rękach jedną z nich. Była przerażona. Z sąsiedniego pokoju, pokoju rodziców, dobiegały krzyki. Marta chciała pobiec do nich, sprawdzić, dlaczego krzyczą, ale strach kazał jej nie opuszczać kryjówek. Słyszała krzyki nie tylko matki i ojca. W pokoju były jeszcze inne osoby i to Martę najbardziej niepokoiło. Te osoby nie wydawały się miłe, wykrzykiwały paskudne słowa i zadawały pytania, na które ojciec niezmiennie odpowiadał: „nie wiem” lub „naprawdę nie wiem”. Słyszała płacz matki i bała się jeszcze bardziej. Zobaczyła, jak matka wczołguje się do jej pokoju. Marta ledwie ją poznała — matka miała opuchniętą i zakrwawioną twarz, krew malowała plamy na jej ubraniu i pozostawiała szkarłatne smugi na podłodze. Za matką do pokoju wszedł mężczyzna, którego Marta nigdy wcześniej nie widziała. Przez chwilę obserwował matkę, która spojrzała w stronę pustych łóżek dzieci. „Jeśli chcesz je jeszcze zobaczyć, nakłoń męża do współpracy” — powiedział mężczyzna. Głos miał zaskakująco miły, wygląd sympatycznego sąsiada, który, jeśli się go o to poprosi, kupuje bułki i pożycza cukier. Ale mili sąsiedzi nie robią rzeczy, które nastąpiły później — mężczyzna zaczął kopać matkę w brzuch, i to tak długo, aż przestała się ruszać. Marta chciała krzyknąć, biec do matki i ją ratować, ale nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Nie była w stanie nawet płakać. Ale musiały patrzeć.

Do pokoju wszedł drugi mężczyzna i chwilę rozmawiał z tym o miłym głosie. Marta nie słyszała o czym. Po jego wyjściu mężczyzna, ten o miłym głosie, pochylił się nad matką i zadał pytanie, na które nie uzyskał odpowiedzi. Na jego twarzy pojawił się gniew. Serce Marty biło coraz szybciej. W rękę mężczyzny pojawił się nóż. Marta widziała wszystko bardzo wyraźnie w świetle lampy-stokrotki, którą Kamila, jej siostra, dostała w prezencie od ojca i której Marta tak bardzo jej zazdrościła. Światło lampy odbiło się w ostrzu noża, na moment oślepiając Martę. Ale tylko na ułamek sekundy — po chwili bardzo wyraźnie dostrzegła tatuaż na ręce trzymającej nóż. A potem patrzyła, jak nóż zatapia się w gardle jej matki.

Marta obudziła się złana potem. Ten powtarzający się od czasu do czasu sen zawsze wróżył kłopoty. Spojrzała na zegarek. Była siódma trzydzieści trzy. Poszła spać o pierwszej w nocy, więc w sumie nieźle, ponad sześć godzin snu. Szkoda tylko, że przerywanego koszmaremi. Włączyła radio. Właśnie nadawano wiadomości. „Znaleziono kolejną ofiarę »Bestii z Mokotowa«. Tym razem to dwudziestojednoletnia studentka Politechniki Warszawskiej, której ciało dziś rano zauważył przypadkowy przechodzień. Zwłoki leżały zanurzone w stawie na Polu Mokotowskim, ale wiadomo już, że przyczyną śmierci były liczne rany kłute i inne obrażenia zadane tępym narzędziem. Podobnie jak w pozostałych przypadkach, ofiara była przed śmiercią torturowana. Rzecznik stołecznej policji ostrzega kobiety, by unikały samotnych spacerów po zmroku. Ponadto policja informuje, że...” — Marta wyłączyła radio.



Seryjny morderca był głównym tematem wszystkich wiadomości w kraju, nie tylko lokalnych. Działał brutalnie, jego celem były młode i atrakcyjne kobiety — media w Polsce żyły tylko tą sprawą, a tym samym nie schodziła ona z języków również zwykłych ludzi. Marta słyszała o „Bestii z Mokotowa” (tak dziennikarze nazwali mordercę, bo ofiary znajdowano tylko w tej jednej dzielnicy Warszawy) w tramwaju, w pracy, w sklepie, na przejściu dla pieszych... W sumie to nic dziwnego, że śniły się jej koszmary. Pewnie miewało je teraz wielu warszawiaków.

Wróciła myślami do swojego snu. Ten mężczyzna z nożem... Miała wrażenie, że już go gdzieś widziała. W sensie, widziała go naprawdę. Tyle że nie mogła przypomnieć sobie gdzie...

Marta przeciągnęła się i otworzyła szafę. Jak zwykle nie miała się w co ubrać. Ostatnie zakupy ciuchowe robiła ponad pół roku temu. Albo była w pracy, albo była zbyt zmęczona, albo kończyła sprawy z byłym mężem... Pomyślała, że zawartość szafy celnie określał napis na T-shircie, w którym spała: „Dziadostwo”. Westchnęła, ale nie zdążyła przekląć, bo usłyszała dźwięk swojej komórki. Spojrzała na wyświetlacz — dzwonił Leszek Skalski. Zdziwiło to ją i zarazem zaniepokoiło. Leszek był kolegą z pracy. Nie przyjaźnili się prywatnie i jego telefon, zwłaszcza w niedzielę i zwłaszcza o tak wczesnej porze, mógł mieć związek jedynie z „Błęską”. Na dodatek Leszek nigdy nie zadzwoniłby z byle głupstwem, więc w szpitalu musiało wydarzyć się coś ważnego.

— Hej, Leszek, co tam?

— Szymański nie żyje. Pielęgniarki znalazły jego ciało w dyżurce. Wzywały go do pacjenta, nie mogły się dodzwonić ani otworzyć drzwi. Musiały wezwać ochroniarza, żeby je wyważył. Szymański leżał w środku, z poderżniętym gardłem.

— Co? — Marcie zrobiło się niedobrze.

— To, co słyszałaś. Ktoś wykończył Szymańskiego.

— Poczekaj. Co?!

— Dobra, spróbuję jeszcze raz. Szymański leży w dyżurce z poderżniętym gardłem. Jest nieżywy. *Dead. Kaputt. Mertwyj.*

— Ale dlaczego? Kto chciałby coś takiego zrobić?

— Mówisz poważnie? Wszyscy. Łącznie ze mną. Nienawidziłem tego typu. Pielęgniarki, które były z nim na dyżurce. Połowa pacjentów — tylko połowa, bo pozostali go nie znali. Ochroniarze. Stary. Ty...

— Mam nadzieję, że twoja rozmowa z policją będzie przebiegać inaczej?

— Myślisz, że będą mnie przesłuchiwać?

— Żartujesz? Będą przesłuchiwać nas wszystkich.

— A, niech przesłuchują. Mam żelazne alibi. Szymański to wiadomość dnia, ale ja tak naprawdę dzwonię do ciebie z inną sprawą. Masz pożyczyć nowego Harrisona? Piszę pracę o leczeniu zakażeń skóry wywołanych przez ugryzienia różnych gatunków zwierząt. W Harrisonie jest o tym świetny rozdział. Normalnie brałem z oddziału, ale, jak wiesz, wszystkie książki są w dyżurce, a teraz, rozumiesz, policja ją zamknęła i nie ma tam wstępu. Poza tym chcę cię ostrzec — Szymańskiemu zostały w tym miesiącu jeszcze trzy dyżury. Stary będzie chciał je jakoś rozdzielić. Na pewno zgłosi się do ciebie. Lepiej wyłącz telefon.

— Poważnie? Ktoś zamordował Szymańskiego. W pracy. W naszym szpitalu, na naszym oddziale. A twoje główne problemy to brak dostępu do oddziałowej biblioteczki i rozdział dyżurów?

— Już ci mówiłem. Nie byliśmy przyjaciółmi i nie będę za nim tęsknił. Właściwie ten, kto to zrobił, powinien dostać nagrodę.

— Proszę cię...

— W porządku, niech ci będzie. Zmarły był wspaniałym człowiekiem i miał samych przyjaciół. To jak, pożyczysz mi Harrisona?

Marta próbowała dowiedzieć się czegoś więcej na temat śmierci Szymańskiego, ale Leszek nie znał szczegółów. Obiecała przynieść mu w poniedziałek Choroby zakaźne Harrisona i poęgnali się, może bardziej beztrudnie niż powinni, zważywszy na okoliczności. Ale tak naprawdę ta wiadomość, choć szokująca, jej również nie zmartwiła. Szymański rzucał kłody pod nogi każdemu, tylko dla sportu i z czystej złośliwości. A Marty nie znosił obsesyjnie, więc kłód było też więcej. Wielokrotnie wyobrażała sobie Szymańskiego, jak traci życie w dramatycznych okolicznościach — pod kołami tira, przebity spadającym żyrandolem, porażony przerwana linią wysokiego napięcia... Zawsze umierał długo i w męczarniach. Teraz trochę tego żałowała. Ale tylko trochę. Czuła się raczej oszołomiona — dzień dopiero się zaczął, a już przyniósł tyle niepokojących wydarzeń. Najpierw sen o rodzicach, potem wiadomość o kolejnej ofierze „Bestii z Mokotowa”, teraz martwy Szymański... A wszystko w kontraście do pięknego, majowego poranka, który właśnie zaglądał do mieszkania przez okno w sypialni, łaskocząc promieniami słońca liście roślin na parapecie. Poczula, że musi zadzwonić do Kamili. Siostra była jej przyjaciółką i zawsze wiedziała, jak podnieść ją na duchu.

— Marta, jest niedziela bladym świtem. Mam nadzieję, że wydarzyło się coś naprawdę ważnego.

— Zabili Szymańskiego.

— Kogo? Kto? Gdzie?

— Szymańskiego. Zastępcę Starego. W szpitalu. Dziś w nocy. Był na dyżurze. Miał podcięte gardło.

— Ach, jego! Mój Boże! Mam nadzieję, że ty tego nie zrobiłaś.

— Mówisz poważnie?

— No tak, jeśli to byłaś ty, wołę o tym nie wiedzieć. Sama rozumiesz.

— Dobra, już przestań. Dopiero się o tym dowiedziałam i muszę z kimś o tym porozmawiać.

— To czemu nie zadzwonisz do kogoś z pracy? Przecież ja go nawet nie znałam.

— Właśnie dlatego. Wszyscy z pracy na pewno się cieszą. Kupują truskawki i otwierają szampana.

— No i? Sama go szczerze nie znosiłaś. Pamiętam, jak kiedyś we Wrocławiu, po tym maratonie z grzańcami, kupiłaś lalczkę voodoo i...

— Nie przypominaj mi tego, bo będę miała wyrzuty sumienia.

— Co mam ci powiedzieć? Miałam w pracy trzech takich Szymańskich i naprawdę nie pogniewałabym się, gdyby podzielili los twojego. Serio nie rozumiem, skąd nagle w tobie ten żal. Sama mówiłaś, że facet był wcieleniem zła, normalnie Damien — inkarnacja. I prowadził jakieś szemrane interesy. Zabili go, to zabili. Zostaw te sprawy policji i Staremu. I idź spać. Jest niedziela, nie musisz iść do pracy. Takich dni jest ostatnio niewiele, więc skup się na plusach. Chyba że stało się coś jeszcze?

— Znowu śnili mi się rodzice. I śmierć mamy. Wszystko jak zawsze. Ja schowana w koszu, krzyki, nóż... Potem budzę się i dowiaduję, że zginął Szymański. W taki sam sposób. Nie uważasz, że to dziwne?

— Jezuu, Marta, myślałam, że mamy już tę sprawę za sobą? Kiedy ostatni raz miałaś ten sen? Dziesięć lat temu?

„Niecały rok temu. Tuż przed tym, zanim dowiedziałam się o romansie Mikołaja” — pomyślała Marta.

— Tak, dziesięć lat temu — skłamała.

— Nie, nie uważam, że to dziwne. W sumie to nawet się tego spodziewałam. Od początku ci mówiłam, że przeprowadzka do mieszkania babci to zły pomysł. Na dodatek niczego w nim nie zmieniłaś, jest jak małe muzeum. Albo prywatny teatr, w którym rozegrała się nasza rodzinna tragedia. Przecież każdy przedmiot musi ci przypominać o przeszłości. Zdjęcia, nasze zabawki... A obie tak ciężko pracowałyśmy, żeby zapomnieć. Nawet dla mnie to był wielki dramat, chociaż nie było mnie wtedy w domu. A Ty? Ty wtedy wszystko widziałaś...

— Nie wszystko... Nie pamiętam, jak wyglądali mordercy. Gdybym mogła ich rozpoznać, być może złapano by ich i ukarano. Nie pomogłam rodzicom wtedy, nie pomogłam i potem.

— Miałaś pięć lat! Przez prawie rok po tym wszystkim nie odezwałaś się do nikogo ani słowem. Babcia myślała, że już nigdy nie będziesz mówić.

— Wiesz, że wczoraj w nocy przyśniła mi się twarz jednego z nich? Widziałam go wyraźnie...

— Po tylu latach? To tylko sen. Mieszanka twoich lęków, wspomnień i Bóg wie czego jeszcze. Twój mózg tworzy rzeczy, które nie miały miejsca. Na tym polegają sny. A wszystko przez ten cholerny rozwód i przeprowadzkę do tego mieszkania. Wyprowadź się stamtąd. Pomogę znaleźć Ci inne... — W słuchawce coś zaszeleściło. Marta usłyszała w dali niewyraźny, dziecięcy głos. — Marta, muszę kończyć. Weronika się obudziła.

— Ucałuj ode mnie moją ulubioną siostrzenicę. Spotkamy się dziś na jakimś obiedzie?

— Mmm... — Kamila zastanawiała się przez chwilę. — Nie mogę. Obiecałam twojej ulubionej siostrzenicy... twojej jedynej siostrzenicy... że pojedziemy dziś do parku trampolin. Ale może zabrałabyś się z nami?

— Trampoliny? Brzmi jak coś, na co kompletnie nie mam ochoty, nawet z wami. Daj znać, gdy wrócicie. Może pójdziemy na jakieś lody albo spacer.

— Jasne. A ty zapomnij o Szymańskim i o koszmarach. Zapomnij też wreszcie o Mikołaju.

— A co on ma do tego?

— Mam niejasne przeczucie, że ma. Pa, Marta!

Marta odłożyła telefon. Jej siostra jak zwykle miała rację. Jej były mąż odgrywał zbyt dużą rolę w jej życiu. Choć z innych powodów niż myślała Kamila.

Marta poznała Mikołaja w pracy. Był ortopedą i pracował w „Błęńskiej”. Na początku widywała go tylko przelotnie, bo oboje odbywali wówczas rezydenturę i byli skupieni głównie na pracy, a ich oddziały znajdowały się w innych budynkach. Oczywiście bardzo jej się podobał, ale Mikołaj wpadał w oko wszystkim kobietom. Wysoki, dobrze zbudowany brunet. Niebieskie oczy. Piękny uśmiech. Poznali się bliżej dopiero po kilku latach, na badaniach okresowych w poradni medycyny pracy, czekając w kolejce na wizytę. Żartowali z tego później, mówiąc, że zawsze będą bronić medycyny pracy, kiedy ktoś powie, że do niczego nie jest potrzebna. Spędzali ze sobą coraz więcej czasu i takich prywatnych anegdot przybywało. Marta śmiała się, że

Mikołaj jest zbyt inteligentny na ortopedę i pewnie pomylił się z wyborem specjalizacji. On odpowiadał na to, że na szczęście Marta jest ładna, więc nie musi być inteligentna. Łączyły ich książki, filmy, znajomi, praca. Był to związek idealny i Marta nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa. Wzięli ślub po roku, wspólnie kupili mieszkanie na Żoliborzu i Marta uwierzyła, że Mikołaj jest prezentem od losu, zapłatą za zmarnowane dzieciństwo.

Aż nadszedł ten dzień, w którym przeczytała list zmieniający całe jej życie. Właściwie był to e-mail. Na dodatek znalazła go w służbowej, szpitalnej skrzynce, wśród zaproszeń na konferencje i informacji na temat nowych leków. E-mail zatytułowany był „Mikołaj mnie kocha”, a treść zawierała opis tej miłości, pełen banałów i błędów ortograficznych. Było tam wiele na temat ich romantycznego spotkania podczas maratonu na rzecz biednych dzieci, w którym ona brała udział, a który on „zabespaczał jako lekarz”. Ona skręciła kostkę, on tę kostkę nastawiał. Ona z wdzięczności zaprosiła go na obiad, on został na śniadanie. Było to kilka miesięcy wcześniej, przez ten czas ich „miłość roskwitła”, a na drodze do szczęścia stała tylko Marta — niekochana żona, której on z litości nie chce zostawić. Dlatego ona bierze sprawy w swoje ręce i informuje Martę, że Mikołaj już nic do niej nie czuje, że to koniec i żeby dała mu spokój. Wiadomość była podpisana: Dagmara Góralska.

Mikołaj przyznał się do romansu dopiero, gdy Marta pokazała mu wydruk wiadomości. Dagmara Góralska okazała się być Assistant Managerem (Marta nie wiedziała nawet, co to znaczy) z fatalnie zrobionymi ustami i świetnie powiększonym biustem, który pchał się na pierwszy plan każdego jej zdjęcia w Internecie. Mikołaj płakał i przeproszał, twierdził, że Dagmara to błąd, że kocha tylko Martę i zrobi wszystko, by mu przebaczyła. Marta była nawet skłonna to zrobić i pewnie ich wspólne życie jakoś by się poukładało na nowo, gdyby nie wiadomość, że Dagmara jest w ciąży. Mikołaj w dalszym ciągu żałował romansu i próbował przekonać Martę, że dziecko w żaden sposób nie wpłynie na ich małżeństwo i że poza alimentami nie go z Dagmarą i jej dzieckiem nie będzie łączyć. Ale dla Marty było to zbyt wiele. Oboje z Mikołajem postanowili kiedyś, że na razie nie będą mieć dzieci, że skupią się na sobie i pracy. Mikołaj wręcz obsesyjnie dbał, żeby tak właśnie było. Skąd nagle taka nieostrożność w relacji z Dagmarą? Oczywiście Marta interpretowała ją po swojemu, co w połączeniu ze złamanym sercem zupełnie odmieniło jej uczucia do Mikołaja.

Mówi się, że między miłością a nienawiścią istnieje cienka granica. Marta przekroczyła ją w jednej chwili. Wyprowadziła się z Żoliborza i zamieszkała w mieszkaniu po babci. Przez pierwsze tygodnie w ogóle nie odzywała się do Mikołaja, co zresztą ten ułatwił, zmieniając pracę. Potem ich kontakty ograniczyły się wyłącznie do tematu rozwodu. Otrzymali go szybko, bo nie mieli dzieci. Jedynym problemem był podział majątku, ale z tym poradził sobie Konrad Widaj, warszawski adwokat, najlepszy przyjaciel Mikołaja. Sprawnie manipulując swoją bliską relacją także z Martą (w końcu, jako przyjaciel domu, często u nich bywał), przekonał ją do rozwiązań, które miały być dobre dla obojga. Okazały się jednak świetne tylko dla Mikołaja i kiepskie dla Marty. Kamila ostrzegała ją przed ryzykiem, ale Marcie było wtedy wszystko jedno. Po prostu chciała mieć rozwód jak najszybciej za sobą. Teraz oczywiście żałowała tamtych decyzji, ale było już za późno. Na szczęście nie było za późno na zemstę, a ta, jak wiadomo, najlepiej smakuje na zimno. Marta miała plan, który systematycznie wcielała w życie i dopracowywała w szczegółach. I czekała na

dogodny moment, aby pociągnąć za ostatnie sznurki. Ten moment zbliżał się wielkimi krokami.

Tymczasem podniosła się z fotela i wyrzała przez okno. Był piękny majowy dzień, który prosił się o spacer, zwłaszcza po trudnym poranku. Pomyślała o parku Ujazdowskim, w końcu był najbliższy. A potem może Łazienki Królewskie... W maju zaczynały się tam koncerty Chopinowskie, których była fanką. Spojrzała do komórki, by sprawdzić, kto grał dzisiaj. Była zawiedziona, gdy zdała sobie sprawę, że koncerty zaczynają się dopiero za tydzień.

Nagle przypomniała sobie, gdzie widziała mężczyznę ze swojego snu. W szpitalnym bufecie, w piątek, pomógł jej podnieść z podłogi monetę, którą upuściła. Zapamiętała go, bo z jakiegoś powodu przeraziła się na jego widok. Wydało jej się, że skądś go zna. Ale uznała, że to tylko przelotne wrażenie. Był dla niej zupełnie obcym człowiekiem. A zatem to on wczoraj w nocy przemienił się w zabójcę jej matki! Zabawna sprawa z tymi snami... Surrealistyczne puzzle wspomnień i fikcji, jakie układa w nocy nasz mózg, potrafią zaskoczyć nawet psychiatrów. Kamila ma chyba rację, to mogła być wina mieszkania na Mokotowskiej.

Wypiła kawę i zrobiła przegląd swoich roślin. Już teraz miała ich stanowczo za dużo, ale nie powstrzymało jej to przed kupowaniem kolejnych. Obok gotowania, rośliny były jej największym hobby. Na szczęście mieszkanie było spore i zawsze mogła znaleźć miejsce na gatunki i odmiany, których jeszcze nie miała, a które koniecznie musiała zdobyć do kolekcji. Jej siostra, Kamila, miała odmienne zdanie na temat zapełniania tak parapetów w mieszkaniu, jak i podłogi wokół nich, ale Marta wiedziała swoje.

Przyjrzała się najnowszemu nabytkowi — alokazji Sandera. Alokazja to gatunek kapryśny. Zdobycie jej przychylności graniczy z cudem, o czym Marta na własnej skórze przekonała się miesiąc temu, grzebiąc nadzieje na odratowanie poprzedniej rośliny. Również z tym egzemplarzem łączyła Martę szorstka przyjaźń — od kupna nie minął tydzień, a na brzegach liści już zaczęły pojawiać się brązowe plamy.

— Co robię nie tak? Masz słońce, ale nie za dużo. Masz mokro, ale nie za bardzo. Chronię cię przed przeciągami i codziennie spryskuję ci liście. Czego ty jeszcze chcesz? — Marta dała roślinie lekkiego prztyczka w jeden z liści. Postanowiła, że jeśli druga próba uprawy alokazji znowu pójdzie źle, trzeciej już nie będzie.

Innym gatunkiem, któremu nie służył klimat na Mokotowskiej, był stefanotis. Jego pachnące białe kwiaty już wielokrotnie kusiły Martę i — nie bacząc na złe doświadczenia — kupowała kolejne rośliny. Jednak zawsze kończyło się to tak samo — stefanotis zaczynał gubić liście i wreszcie usychał. Jej najnowszy nabytek był już prawie łysy. Trzymała go w nadziei, że „odbije” i wypuści nowe liście, ale powoli stawało się jasne, że roślina podążała w stronę światła.

Od sprawdzania stanu swych roślin zrobiła się głodna. Nie jadła jeszcze śniadania, ale nie chciało jej się gotować. Przypomniała sobie o zapiekankach przy placu Zbawiciela — zawsze je lubiła i nie trzeba było na nie zbyt długo czekać.

Plac Zbawiciela, mimo ciągle wczesnej pory, był pełen ludzi. Zamówiła dużą klasyczną z pieczarkami i usiadła przy niewielkim stoliku. Ogródki restauracyjne otwarte były już od miesiąca i przyciągały tłumy klientów. Spojrzała w stronę „Charliego” i „Trzeciego Planu” — dwóch restauracji, których stoliki oblegane były zawsze, niezależnie od pory dnia. Dla Marty był to swoisty fenomen, bo uważała, że mają kiepską kuchnię i fatalną obsługę.

— Patrz na tych wszystkich ludzi przy stolikach, każdy stara się sprawiać wrażenie, jakby szefował ONZ — prychnęła pewnego dnia Kamila, kiedy przechodziły razem przez plac. — W rzeczywistości pracują po dziesięć godzin dziennie na tych swoich infoliniach. Teraz będą jeść kisiel na śniadanie, obiad i kolację, bo właśnie wydali ostatnie oszczędności na kieliszek Chablis. Kisielowa młodzież.

Marta odebrała zapiekankę i rozejrzała się wokół. Kisielowa młodzież w różnym wieku delektowała się winem, popijając je nonszalancko, ale powoli, tak by wystarczyło na dłużej. Ich wymuskane stroje i pewne siebie twarze nie robiły na Marcie wrażenia. Wiedziała, że co drugi z nich odwiedza regularnie psychiatrę i przyjmuje inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny. „Cóż, Warszawa jest miejscem wygodnym, ale niełatwym do życia” — pomyślała.

Uwagę Marty przykuł mężczyzna, który już drugi raz okrążył plac, a przechodząc obok niej, przyglądał się jej dłużej, niż powinien. Zauważyła go, bo trudno było takie zachowanie ignorować. Wysoki, dobrze zbudowany brunet. Zielone oczy. Nie uśmiechał się, ale gdyby to zrobił, jego uśmiech również przykułby uwagę, Marta była tego pewna. Tak, był w typie Mikołaja. Tak, to ulubiony typ Marty, mimo wszystko. I tak, Marta miała świadomość, że powinna takich typów unikać. Skupiła się na zapiekance, bo przystojniak najwyraźniej przechwycił jej spojrzenie, a nie chciała go do niczego zachęcać. Niestety, za późno.

— Smacznego. Nie chcę ci przeszkadzać, ale mam wrażenie, że gdzieś już się poznaliśmy.

„Tak, często tu przychodzę. Nie, nie bolało, jak spadałam z nieba. Tak, wiem, że mam piękne oczy” — pomyślała Marta. Nie pierwszy raz była podrywana.

— Już mi przeszkodziłeś — powiedziała głośno, wycierając keczup z nosa. Brunet uśmiechnął się. Miał piękny uśmiech.

— Przepraszam. Ale naprawdę wydaje mi się, że skądś cię znam. A jeśli się znamy, to głupio byłoby, gdybym przeszedł obok tak bez słowa, bez żadnego cześć.

— Nie znamy się. Więc spokojnie możesz iść dalej.

— Teraz tym bardziej byłoby głupio.

— Słuchaj, rodzice nie pozwalają mi rozmawiać z nieznajomymi.

— Jestem Michał. Widzisz, już możesz ze mną rozmawiać.

Marta westchnęła. Facet był ewidentnie z gatunku tych upartych.

— Niech ci będzie. Jestem Ani. Ani Sakis.

— Oryginalne nazwisko.

— Mój ojciec jest Finem. Dorastałam w Helsinkach. Ale to Warszawa była dla mnie zawsze domem.

— Naprawdę? Byłam kilka razy w Helsinkach. Uwielbiam Linnanmäki. Pewnie jako dziecko często tam chodziłaś?

Marta nie miała pojęcia, co to Linnanmäki.

— Nieszczęśliwie. Byliśmy rodziną inne niż wszystkie. — Wgryzła się w zapiekankę. Trafił się jej jakiś globtroter. Musiała się go szybko pozbyć, choć wydawał się uroczy.

— Nie masz akcentu.

— Co takiego?

— Mówisz po polsku bez akcentu.

— Moja matka jest Polką. W domu rozmawialiśmy głównie po polsku. Ja i moich dziewięciu braci.

— O, to masz dużą rodzinę.

— Żebyś wiedział. Słuchaj, miło było, ale muszę już lecieć.

— Już? A dokąd lecisz? Mógłbym ci potowarzyszyć. Pogadalibyśmy o Tove Jansson i Janne Ahonien — w jego oczach Marta dostrzegła ironiczny błysk. Ale może tylko jej się wydawało. Za to z całą pewnością zauważała powłóczyście spojrzenia żeńskiej części kisielowej młodzieży, rzucające w stronę Michała zza sąsiednich stolików. Zresztą parę męskich też. Musiała przyznać, że miał w sobie coś magnetycznego. Mógłby grać w filmach. Widziała go na przykład w roli twardego policjanta lowelasa. Albo prawnika lowelasa walczącego z przestępczą korporacją. W każdym razie otaczały go wianuszki kobiet. I pewnie w prawdziwym życiu tak było. Dlatego należało trzymać się od niego z daleka.

— Lepiej nie. Umówiłam się z narzeczonym. Musiałabym się gęsto tłumaczyć, gdyby cię zobaczył.

— Masz narzeczonego? Mój pech. Ale może wymienimy się numerami telefonów? Moglibyśmy spotkać się któregoś dnia na kawie... Tak bez zobowiązań. — Przystojniak nie spuszczał Marty z oczu.

„Zdecydowanie mógłby grać amanta” — pomyślała.

— Nie wiem. Zobaczymy. Wiesz, jak się nazywam, wygoogluj mnie. Mam małą galerię niedaleko stąd. Sama zresztą też jestem artystką. Znajdziesz moje prace w Internecie. Jeśli przeznaczenie będzie chciało, to się spotkamy.

— Tak zrobię. Jestem pewien, że przeznaczenie będzie tego chciało. Do zobaczenia, Ani. Ani Sakis.

Marta skręciła w Mokotowską. Wbrew sobie odwróciła się, by ostatni raz spojrzeć na Michała. Czekał na to — uśmiechnął się i pomachał. Odmachała. Czemu by nie? Przecież i tak już więcej miała go nie zobaczyć. Właściwie to szkoda. Westchnęła i przyśpieszyła kroku.

## Rozdział 3

Marta przysłała na dyżur wcześniej. Nie wiedziała, jak wygląda sytuacja na oddziale po śmierci Szymańskiego, a lubiła być zawsze przed czasem.

W gabinecie lekarskim zastała tylko Leszka Skalskiego i nowego rezydenta, którego nazwiska nie pamiętała. Rezydent dopiero zaczynał pracę w „Błęńskiej”, a Leszek był jego kierownikiem specjalizacji. Marta nie zazdrościła nowemu — rozpoczynać pracę w takim momencie, kiedy ginie zastępca ordynatora... „Chociaż — pomyślała — właściwie swoją rezydenturę wolałaby odbywać bez Szymańskiego”. Leszek właśnie tłumaczył nowemu, jak prowadzić dokumentację medyczną pacjentów. Temat-rzeka. Papierologia zajmowała lekarzom większość czasu, który powinien być poświęcany pacjentom. Wszyscy wiązali duże nadzieje z informatyzacją szpitala, ale okazało się, że przyniosła ona odwrotny skutek — dotychczasowe dokumenty w formie papierowej i tak musieli nadal wypełniać, a teraz dodatkowo doszły jeszcze formularze elektroniczne. System komputerowy był w fazie testów — od dwóch lat. Być może dlatego, że kierownikiem działu informatyzacji szpitala był brat pani dyrektor. Brakowało mu jeszcze pięciu lat do emerytury, a z poprzedniej pracy zwolniono go dyscyplinarnie za kradzież drewna. Był leśnikiem. Dzięki synekurze w szpitalu mógł zachować ciągłość zatrudnienia. Dyrektorka szpitala nazywana była przez lekarzy Wielką Kadrową Rodziny na Swoim, bo zatrudniała głównie krewnych i znajomych. Była nauczycielka matematyki w szkole podstawowej w Grójcu, została dyrektorką szpitala klinicznego w Warszawie dzięki mężowi, samorządowemu politykowi, cynicznemu i oportunistycznemu do cna. Z niebywałą łatwością wkręcał się do każdej kolejnej partii, która właśnie przejmowała stery władzy. Dzięki temu żona zachowywała stanowisko przez kolejne kadencje. Niekompetentna i wybuchowa, nie miała pojęcia ani o zarządzaniu, ani o leczeniu. W szpitalu systematycznie ubywało personelu medycznego, za to pion administracyjny przejmował kolejne pomieszczenia, nie mieszcząc się już we własnym budynku.

— Wiadomo coś więcej na temat Szymańskiego?

Leszek pokręcił głową.

— Nic nam nie mówią. Może sami niczego jeszcze nie wiedzą. Stary chodził dziś struty. Myślę, że boi się spraw, które mogą ujrzeć światło dzienne przy okazji tego śledztwa. Pacjenci też są zaniepokojeni, bo znają sprawę tylko z plotek. Rano kręciło się tu mnóstwo policjantów. Teraz nie ma już nikogo, ale dyżurkę zabezpieczono plombą. Pewnie będą tu zaglądać przez następne dni. Tak jak mówiłaś, po kolei nas dziś przesłuchiwali. Do ciebie też na pewno się zgłoszą.

— Na korytarzu jest monitoring. Wiadomo, co znaleźli na nagraniach?

— Na nagraniach? — Leszek przewrócił oczami — Nie ma żadnych nagrań. Okazało się, że kamera na korytarzu nie działa już od miesiąca. A kamera przed oddziałem operuje w takiej rozdzielczości, że na nagraniu nie sposób odróżnić istoty ludzkiej od wieszaka na ubrania.

— Przecież nie dostaliśmy premii na święta, bo podobno szpital poniósł zbyt duże wydatki na modernizację monitoringu?



— Zatrudnili dwie nowe osoby do obsługi informacji w związku z RODO. Może to była ta modernizacja.

Marta pracowała w „Błęskiej” zbyt długo, żeby takie rewelacje robiły na niej wrażenie. Zresztą podobnie działo się we wszystkich szpitalach. Nie starczało pieniędzy na sprzęt i wynagrodzenia dla pracowników medycznych, ale działy statystyki, zamówień publicznych, kontroli jakości czy komunikacji wewnętrznej (cokolwiek miało to znaczyć), były zawsze priorytetem. Marta wyjęła Harrisona i dała go Leszkowi, tak jak obiecała. Usiadła przy biurku i zaczęła czytać uwagi dla dyżurnego. Każdy lekarz wpisywał przy nazwiskach swoich pacjentów ogólne informacje na temat choroby i dotychczasowego przebiegu leczenia oraz ewentualne uwagi dotyczące postępowania w czasie dyżuru. Marta skupiła się na sali numer trzy w oddziale pediatrycznym. Przebywał tam sześciolatek chłopiec, którego przyjęła do szpitala kilka dni temu. Po raz piąty i pewnie nie ostatni. Rozpoznano u niego podostre stwardniające zapalenie mózgu, które rozwinęło się wskutek przechorowania odry kilka lat wcześniej. Rodzice chłopca byli członkami ruchu antyszczepionkowego i dziecko od urodzenia nie zostało ani razu zaszczepione. Bardzo długo nie było wiadomo, co mu jest, bo też objawy były mało charakterystyczne — wahania nastroju, bóle głowy, trudności w nauce... Początkowo podejrzewano autyzm, co wprawilo rodziców w konsternację — w końcu nie po to walczyli z systemem, by teraz ich dziecko zapadło na chorobę, która, jak tłumaczono im w grupach wsparcia, była wynikiem szczepień. Jednak potem pojawiły się niedowłady i napady padaczkowe, co wreszcie naprowadziło lekarzy na właściwą diagnozę. Obecnie chłopiec poruszał się na wózkach i nikt nie mógł przewidzieć, ile lat życia jeszcze mu pozostało. Po fakcie, rodzice chłopca zaszczepili pozostałe dzieci, pozwali do sądu organizację, która przez lata karmiła ich pseudonaukowymi bzdurami i zaangażowali się w propagowanie szczepień. Marta często słyszała ich wystąpienia w radiu i telewizji. Chłopiec był jej ulubionym pacjentem i zawsze starała się jak mogła, by jego pobytu w szpitalu trwały krótko i były dla niego jak najmniej przykre.

Gabinet zapełnił się lekarzami. Prawie każdy, oprócz zwykłych spraw dyżurowych, chciał koniecznie pogadać z nią o śmierci Szymańskiego. Przejęcie dyżuru oczywiście wydłużyło się, ale na szczęście nie było w tym czasie żadnych pilnych interwencji.

Pierwszy pacjent z SOR-u trafił się dopiero o siedemnastej. Osiemdziesięcioletniego mężczyznę przyjęto z podejrzeniem zawału serca, ale szczegółowa diagnostyka wskazywała na infekcyjne zapalenie wsierdza. Marta przejrzała jego badania i po krótkiej rozmowie z kardiologiem weszła na salę, na której leżał pacjent.

Mężczyzna nie wyglądał ani na swoje lata, ani na cierpiącego na potencjalnie poważną chorobę, jak mogły sugerować wyniki badań. Siedział na łóżku, z poduszką za plecami. Mimo spranej piżamy w paski sprawiał wrażenie dystyngowanego dżentelmena.

— W jakich okolicznościach poczuł pan ten nagły ból w klatce piersiowej? — spytała Marta, kiedy pacjent opisał jej swoje dolegliwości.

— Pani doktor, to były nadzwyczajne okoliczności. I nie wiem, czy mogę mówić o nich w obecności damy.

— Może pan. Tej damy już nic nie zdziwi.

— Skoro pani doktor nalega... My z żoną jesteśmy już w takim wieku, że sypiamy w oddzielnych pokojach. Rozumie pani, ja chrapię, żona czyta do późna...

Marta westchnęła. Późne popołudnie, mnóstwo roboty, więc oczywiście musiały trafić się pacjent-gawędziarz. Miała wprawę w prowadzeniu wywiadu lekarskiego. Nawet pacjenci, którzy na pytanie: „Od kiedy ma pan tę czerwoną plamę na nodze”, odpowiadali: „To było wtedy, jak szwagier, który jechał na rowerze do sklepu, bo mu samochód trzy dni wcześniej się zepsuł, chociaż go szwagier niedawno z warsztatu odebrał, na tym rowerze się wyrócił i wtedy my z żoną pomagaliśmy i żona zauważyła, jak mi się nogawka podciągnęła, że na nodze mi coś wyskoczyło”, kapitulowali w starciu z Martą i przez resztę rozmowy stawali się rzeczowi: „wczoraj”, „tak”, „nie”, „dwa lata temu”. Jednak temu pacjentowi Marta postanowiła odpuścić — był niezwykle sympatyczny. Tylko skinęła głową, by kontynuował.

— Żona ma pokój przy windzie. Szyb jest zaraz za ścianą i żona śmieje się, że tak naprawdę ma windę w pokoju. Słyszy wszystko, o czym sąsiedzi w tej windzie rozmawiają. Nawet więcej niż by chciała. No i dzisiaj obudziły ją jakieś stuki. Coś waliło i waliło w ścianę. Przyszła do mnie, obudziła mnie i mówi: „Mieciu, idź zobacz, co tam się stało, bo mnie się zdaje, że ktoś się w windzie zatrzasnął i nie może wyjść”. „A nacisnął alarm?”, pytam. „No nie, ale może nie wie, że powinien”. Niechętnie, ale ubrałem się i wyszedłem na klatkę schodową. Patrę, a windy nie ma na naszym piętrze, jest dwa piętra niżej. No więc schodzę te dwa piętra. Dużo mnie to kosztowało, bo z prostatą i z kolanami mam problemy, poza tym od paru dni się jakoś gorzej czułem. Ale schodzę, bo człowiek w potrzebie. Słyszę, jak się w tej windzie tłucze. A winda starego typu, taka, co to drzwi trzeba zamknąć, żeby pojechała. Podchodzę do niej i próbuję te drzwi otworzyć, ale coś blokuje. No to ja mocniej, aż puściły. Otwieram, a w środku sąsiadka z mojego piętra klęczy przy rozporoku jakiegoś jegomościa, którego nie znam i... wie pani doktor... jak mnie zobaczyła, to te drzwi z impetem zatrzasnęła, aż mnie w nos uderzyła... i pojechali gdzieś tą windą. A ja znów dwa piętra, tym razem w górę, musiałem człapać. Kiedy ledwie żywy dowlokłem się pod drzwi swojego mieszkania, sąsiadka z tym jegomościem właśnie schodzili po schodach. Nawet nie spojrzęła na mnie, tylko od razu czmychnęła do siebie. Taka wstydliva niby. Tak mnie ta sytuacja zdenerwowała, że moja Marianka musiała mi krople walerianowe naszykować. Ale nie pomogły. Błąd się zrobiłem i spocony. W sercu coś mnie kłuło. Rano nie przeszło, więc przed południem Marianka pogotowie wezwała i tak oto znalazłem się w szpitalu. Najpierw na dole mi jakieś badania robili, teraz tutaj przywieźli.

— Na to wygląda, że ta rozerotyzowana sąsiadka życie panu uratowała.

— Jak to?

— Ma pan infekcyjne zapalenie wsierdza. Bakterie rosną sobie w pana sercu, na zastawkach. Jeszcze parę dni i byłoby za późno, nie moglibyśmy panu pomóc. To duże szczęście, że sąsiadka pana obudziła i w rezultacie trafił pan tu do nas.

— Naprawdę? No widzi pani doktor, mówią, że seks to zdrowie, ale sądziłem, że tylko dla tych, co go uprawiają...

O dziewiętnastej zaczęła obchód wieczorny, na którym, jak zwykle, otrzymała mnóstwo prośb o leki nasenne. Kiedy skończyła wpisywać je w karty zleceń, pośród dokumentów dostrzegła czerwoną kartkę. Jęknęła. Czerwona kartka oznaczała prośbę o konsultację zewnętrzną, na innym oddziale. System informatyczny „Błęńskiej” nie miał jeszcze takiej funkcji i lekarze telefonicznie porozumiewali się między sobą, kiedy potrzebowali opinii innego specjalisty. Jeśli lekarz nie mógł przyjść od razu, wypisywał informację o potrzebie konsultacji na takiej właśnie

kartce, by nie zapomnieć o sprawie w nawale innych obowiązków. Marta zauważyła, że zlecenie pochodziło z ortopedii z godziny trzynastej. Miała nadzieję, że któremuś z kolegów po prostu wyleciało to z głowy, a nie, że zostawił jej tę „przyjemność” celowo. Tak czy inaczej, jutro miała zamiar to wyjaśnić. Spychanie takich spraw na lekarzy dyżurnych było uważane za przejaw niekoleżeństwa.

Ortopedia była umiejscowiona w odległym pawilonie. Aby do niego dotrzeć, należało wyjść na zewnątrz i okrążyć inny budynek. Oczywiście można było skrócić sobie drogę łącznikiem podziemnym, ale Marta nigdy nie zapuszczała się tam wieczorami. Łącznik uważano za najbardziej nawiedzone miejsce w szpitalu. Marta, co prawda, nie wierzyła w duchy, ale kiedyś, gdy była tam zupełnie sama, zgasło światło, a pech chciał, że telefon zostawiła na oddziale. Musiała znaleźć drogę na oślep wśród dziwnych dźwięków dobiegających z ciemności. Dźwięków, które jej wyobraźnia interpretowała w tak pokrętny sposób, że przerażona ledwie się stamtąd wydostała. Nie chciała powtarzać tego doświadczenia.

— Pani doktor u nas? Tak późno? Tam nikogo nie ma, są na bloku, operują kogoś z SOR-u.

Marta szarpała się z drzwiami dyżurki ortopedycznej. To najwyraźniej wzbudziło czujność pielęgniarki.

— Znalazłam prośbę o konsultację z godziny trzynastej. Andrzej Golec.

— A, ten. To już nieaktualne. Gorączkował po zabiegu, ale zmieniono mu antybiotyk i przestał. Poza tym już śpi. Wszyscy u nas dostają środki przeciwbólowe i nasenne.

— Chciałabym przynajmniej sprawdzić, czy wszystko u niego dobrze, skoro i tak tu jestem.

— Leży na czwórce, łóżko pod oknem. — Pielęgniarka wskazała kierunek ręką i znikła w gabinecie zabiegowym.

Marta weszła do czwórki. Była to mała sala. Stały w niej tylko dwa łóżka. Podeszła do tego pod oknem. Spojrzała na kartę gorączkową Andrzeja Golca — rzeczywiście, ostatni raz gorączkował w południe. Pacjent spał głęboko. Marta nie chciała i właściwie nie miała powodu go budzić. Jeśli będzie miała czas, wróci rano. Jeśli nie, konsultację będzie musiał przeprowadzić inny lekarz. Najlepiej ten, który miał to zrobić, ale zapomniał. Zlecenie zostało wystawione i należało wpisać coś w dokumentacji pacjenta, nawet jeśli miałyby to być jedynie informacje o poprawie.

Odwróciła się w stronę drzwi, by opuścić salę, lecz nagle znieruchomiała. Wbiła wzrok w pacjenta leżącego na sąsiednim łóżku. Był to mężczyzna z jej snu. Morderca jej matki. Zakręciło jej się w głowie. W pierwszym odruchu chciała uciec, krzyknąć, wezwać policję. Dopiero po chwili zaczęła myśleć logicznie. Była świadkiem morderstwa rodziców, ale nigdy nie udało się jej rozpoznać sprawców. W obecności babci i psychologa pokazywano jej zdjęcia podejrzanych, ale nie wskazała żadnego z nich. Nie pamiętała ich twarzy, zupełnie jakby wymazała je z pamięci. Dlaczego nagle, po tylu latach, miałyby sobie coś przypomnieć? I to we śnie? To nie było możliwe. Ten tutaj musiał być pomyłką jej mózgu, wytworem wyobraźni rozstrojonej rozwodem z Mikołajem. Fakt, że widziała go wcześniej w szpitalnym bufecie, otworzył jakieś zamknięte klapki w jej mózgu, uruchamiając lawinę wspomnień. Również tych fikcyjnych. Tak, sama wymyśliła twarz napastnika, nadając mu wygląd faceta z bufetu. To wytłumaczenie było logiczne, ale jej nie uspokoiło. Im dłużej patrzyła na śpiącego, tym bardziej była przekonana, że był to człowiek, który pozbawił ją

dzieciństwa. Jego twarz pokryta była zmarszczkami, a włosy przerzedziły się, ale poznawała go bez cienia wątpliwości.

Przecież to absurd, mówiła sobie, ale nie wychodziła z sali.

Nagle doznała olśnienia. Przypomniała sobie, że przecież istniał sposób, aby przekonać się, czy jej wspomnienia są autentyczne. Jedyny szczegół, którego zawsze była pewna, to tatuaż na ręce mordercy. Przedstawiał schody, wielką krętą klatkę schodową prowadzącą do otwartych drzwi, zza których wydostawały się promienie światła. Wystarczyło podejść do śpiącego, podwinąć rękaw piżamy i uwolnić się od wątpliwości. Ale co, jeśli się obudzi? Przecież jestem lekarzem, skarciła się w duchu. Mogę sprawdzać, jak się czuje. Podeszła bliżej, długo zbierając się na odwagę, by go dotknąć. Kiedy wreszcie obejrzała rękę śpiącego, nie była specjalnie zaskoczona. Spodziewała się dokładnie tego, co zobaczyła. Co prawda schody zmieniły swoje proporcje, stały się pokurczone i niekształtne, ale bez wątplenia był to ten sam tatuaż. To był on. Spotkała mordercę swej matki. Myśli kotłowały się w jej głowie. Nie wiedziała, jak powinna się zachować. Znów pomyślała o wezwaniu policji. Ale co miałyby im powiedzieć? Że miała sen? Było jasne, że jej nie uwierzą, potraktują jak wariatkę. Po tylu latach w końcu rozpoznała sprawcę? Tatuaż był charakterystyczny, ale nie byłby dla nich dowodem. Gorączkowo zastanawiała się, co powinna teraz zrobić, ale w obecności mordercy nie mogła podjąć żadnej decyzji. Musiała jak najszybciej wyjść na korytarz.

— I jak, pani doktor, wszystko z nim w porządku? — Pielęgniarka znów stała w drzwiach zabiegowego.

— Raczej tak, ale miała pani rację, mocno śpi. Kiedy wróć ortopedzi?

— Dopiero rozpoczęli zabieg, to ktoś z wypadku samochodowego, więc raczej nieprędko.

— W takim razie spróbuję przyjść znów za godzinę.

— Proponuję za dwie. Co najmniej. A najlepiej rano.

Marta działała jak w transie. Miała nadzieję, że na dyżurze nie wydarzy się nic nagłego, bo nie była pewna, czy da radę się pozbierać. Dopiero po fakcie zorientowała się, że wraca na swój oddział podziemnym łącznikiem. W tej chwili nie miało to dla niej żadnego znaczenia. I tak nie mogła bać się już bardziej. Kiedy dotarła na oddział zakaźny, stanęła obok otwartych drzwi do jednej z izolatek. W środku salowe zmieniały pieluchę pacjentce z domu opieki, która trafiła do szpitala z powodu silnej biegunki. Pacjentka miała dziewięćdziesiąt lat i nasiloną demencję, a biegunka okazała się kolejnym nawrotem zakażenia *Clostridium difficile*.

— Pani Jadziu, pupa do góry. — Próbowaly zachęcić ją do współpracy salowe.

— Ja na procesję idę, wy w domu zostańcie i truskawki opielcie. — Pani Jadzia żyła we własnym świecie. W tej chwili Marta jej tego zazdrościła. Wolałaby również niczego nie pamiętać.

Żałowała, że wpadła w piątek do bufetu. Nie była aż tak głodna, zresztą tego dnia przyniosła do pracy sałatkę. Żałowała również, że poszła dziś na ortopedię. Mogła udać, że nie znalazła żadnej czerwonej kartki. Konsultację przeprowadziłby jutro któryś z jej kolegów, a ona nigdy więcej nie spotkałaby mordercy swoich rodziców. Zapomniałaby też o tym dziwnym śnie. Teraz do wyrzutów sumienia dojdą kolejne — znów widziała tego człowieka i ponownie nie zrobiła nic, by go schwytać.

Salowe sprawnie skończyły toaletę. Jedna z nich rzuciła zużytą pieluchę do czerwonego kosza w rogu pokoju rzutem za trzy punkty.

Kiedy Marta stała tak i patrzyła, naszła ją pewna myśl, oczywista i genialna w swej prostocie. Przecież całe życie marzyła o tym, aby oprawców jej rodziców spotkała kara. Rozumiała, że nic nie mogła zrobić w momencie ich śmierci, była wtedy małym dzieckiem, które samo cudem uszło z życiem. Ale nie była w stanie pojąć, dlaczego nie pamiętała sprawców, choć przecież ich widziała. Bezkarność tej zbrodni nie dawała jej spokoju i była przyczyną ciągłego rozgoryczenia. Teraz miała okazję to zmienić.

Podjęła decyzję. Morderca jej matki musiał umrzeć, a ona znalazła sposób, jak mu w tym pomóc. Los podesłał jej prezent i należało skorzystać z okazji. W końcu kolejna mogła już się nigdy nie zdarzyć. Jednak przede wszystkim nie mogła dać się złapać. To byłoby bez sensu — spędzić całe lata w więzieniu, kiedy sprawca tej zbrodni tak długo cieszył się wolnością. Musiała zabić go tak, by nikt się o tym nie dowiedział. I właśnie wpadła na pomysł, jak to zrobić.

Przed powrotem do pokoju lekarskiego wstąpiła na chwilę do gabinetu zabiegowego, z którego zabrała igłę iniekcyjną o dużej średnicy. Odczekała kilka minut, aby upewnić się, że salowe skończyły, po czym udała się w stronę brudownika. Znalazła tu czerwony worek ze zużytymi pieluchami pani Jadwigi. Odwiązała go i momentalnie zrobiło jej się niedobrze — słodkawy smród kału w połączeniu z jego zielonym kolorem działał na nią odrażająco, chociaż w swej pracy widziała już gorsze rzeczy. Wstrzymała oddech i wsadziła igłę w środek pieluchy, po czym wepchnęła z powrotem do plastikowej osłonki. Niezauważona wróciła do pokoju. Odczekała godzinę, ze wzrokiem utkwionym w zegar. Przez ten czas telefon dyżurnego nie zadzwonił ani razu. Na oddziale panował spokój. Ponownie przeszła przez łącznik w stronę oddziału ortopedycznego. Jedna z żarówek mrugnęła, ale Marta nie zwróciła na to uwagi, adrenalina działała. Igła w kieszeni fartucha ciążyła jej jak worek cegieł.

— Pani doktor znów u nas? Mówiłam, że nie skończą przez godzinę. Jeszcze nikt nie wrócił z bloku.

— Trudno, przyjdę rano. Zajrzę tylko na wszelki wypadek do Golca. Może się obudził?

Weszła na czwórkę, obaj pacjenci nadal twardo spali. Przy łóżku mordercy stał stojak z kroplówką, która bardzo powoli spływała do żyły obwodowej. Zauważyła ją poprzednio i miała nadzieję, że w butelce coś zostało. Na tym opierał się jej plan. Miała szczęście, poziom płynu nie zmienił się znacząco od godziny, pojemnik był nadal prawie pełen. Przez chwilę się zawahała, ale pragnienie zemsty zwyciężyło. Wyjęła z kieszeni igłę, usunęła osłonkę i przebiła plastikową ściankę kroplówki. Drobinki kału uwolniły się i zabarwiły na moment płyn w okolicy igły. Ale tylko na kilka sekund, po czym rozpuściły się zupełnie. Marta wyjęła igłę — otwór w pojemniku, tuż nad poziomem płynu, był praktycznie niedostrzegalny. Spojrzała na kartę gorączkową — morderca nazywał się Jerzy Żakowski. To nazwisko nic jej nie mówiło. Na wszelki wypadek podkręciła tempo przepływu i szybko wyszła na korytarz.

— Śpi — powiedziała czujnej pielęgniarence. — Przyjdę rano.

— Od razu tak mówiłam — mruknęła pielęgniarka i wróciła do swoich spraw.

Marta nie miała zamiaru ponownie się tu pokazywać. Nie chciała zostawiać śladów swojej bytności na oddziale ortopedycznym. Nie mogła pozwolić, by cokolwiek łączyło ją z ewentualną śmiercią Żakowskiego. A ta, jeśli jej plan się powiedzie, powinna nastąpić w ciągu kilku dni.

*Clostridium difficile* to bakteria beztlenowa. Zakażenie w normalnych okolicznościach następuje drogą pokarmową. Bakteria powoduje zapalenie jelita grubego, co daje objawy biegunki. W leczeniu stosuje się specjalne leki, dedykowane *Clostridium*. Zwykle antybiotyki są w takim przypadku nieskuteczne. Ale Żakowski zarazi się nienaturalnie, poprzez krew. U niego biegunka nie ma prawa wystąpić. Bakteria od początku zacznie namnażać się w układzie krwionośnym, powodując posocznicę i w rezultacie uszkodzenie narządów wewnętrznych. Oczywiście, w pierwszym okresie Żakowski będzie jedynie gorączkował, jak wielu pacjentów po zabiegach. Otrzyma standardowy zestaw antybiotyków, który nie przyniesie żadnej poprawy. Nawet jeśli ortopedzi wykonają posiew krwi (w co Marta wątpiła, bo rzadko to robili, zamiast szczegółowej diagnostyki woleli po prostu włączać antybiotyki o szerokim spektrum działania), będzie to posiew klasyczny, tlenowy, który nie wykaże wzrostu drobnoustrojów. A kiedy poproszą o pomoc kogoś mądrzejszego, będzie już za późno.

Dodatkową zaletą planu było to, że był odwracalny. Marta miała bowiem kilka dni na zastanowienie się nad tym, co zrobiła. W końcu było to morderstwo, choć nietypowe, a ona była lekarzem. Jeśli ochłonie, zmieni zdanie i pozwoli Żakowskiemu żyć, wymyśli sposób, jak bez wzbudzania podejrzeń podsunąć ortopedom właściwe leczenie.

Rano, po zakończeniu dyżuru, poproszono ją o zgłoszenie się do gabinetu ordynatora. Czekają tam na nią dwóch policjantów. Na ich widok zbladła. Na szczęście okazało się, że chodzi o śmierć Szymańskiego. Rutynowo przesłuchiwali wszystkich, którzy go znali. Z ulgą zajęła miejsce przy niewielkim stole konferencyjnym i postarała się wypaść najlepiej, jak umiała. Lekko przejęta, ale bez przesady — pewnie wiedzieli już od innych pracowników, że Szymański był szują. Nadmierny smutek mógłby w tym przypadku wzbudzić ich podejrzania. Starła się logicznie i zwięźle odpowiadać na pytania. Policjanci byli w średnim wieku, ale wysportowani i bardzo atrakcyjni w swych mundurach. Przesłuchanie przebiegło w atmosferze lekkiego flirtu. Wychodząc, na pożegnanie posłała im czarujący uśmiech. Obaj go odwzajemnili.

## Rozdział 4

Marta obudziła się wyspana i wypoczęta jak nigdy dotąd. Wyrzuty sumienia pojawiły się dopiero kilka minut po przebudzeniu. Były związane z tym, że czuła się tak dobrze. Jako lekarz zabijała właśnie pacjenta. Co prawda nie swojego, ale jednak. A jedyne, co odczuwała, to ulga i radość. Wyrzuty sumienia z powodu braku wyrzutów sumienia? „To absurd” — pomyślała. Otworzyła laptopa i wpisała w wyszukiwarce nazwisko Żakowskiego. Chciała sprawdzić, kim był i co robił, kiedy akurat nie mordował ludzi. Znalazła wielu Jerzych Żakowskich, ale żaden nie był jej Żakowskim. „A co, jeśli popełniłam błąd, jeśli skrzywdziłam niewinną osobę?”. Szybko odrzuciła tę myśl. Sen, w którym widziała twarz Żakowskiego, uruchomił jakąś lawinę, przypominała sobie coraz więcej zdarzeń z tamtej nocy. Była pewna, że znalazła właściwego człowieka.

Kiedyś w przeszłości oglądała dokument o łowcach nazistów, którzy jeszcze kilkadziesiąt lat po zakończeniu drugiej wojny światowej tropili zbrodniarzy wojennych. Ze zdziwieniem zauważyła, że na procesach tych, których udało się postawić przed sądem, zeznawało wielu świadków. Ofiary, już w podeszłym wieku, ze szczegółami pamiętały zdarzenia sprzed lat. I bez trudu rozpoznawały twarze swych katów. Marta doświadczała właśnie czegoś podobnego. Twarz Żakowskiego, przez lata wymazana z jej wspomnień, okazała się obrazem zaledwie schowanym gdzieś w zakrętach jej mózgu. Teraz, gdy go wydobyła, kolory wydawały się tak samo żywe jak przed laty. Tak, była pewna, że dorwała jednego z morderców rodziców.

Wzięła prysznic i ubrała się w wygodne ciuchy. Zamierzała przejrzeć rzeczy babci i spróbować uporządkować mieszkanie. Postanowiła w nim zamieszkać, pomimo sprzeciwu Kamili. Wielkie, czteropokojowe, w kamienicy przy ulicy Mokotowskiej — było warte fortunę, a połowa należała do jej siostry. Marta wiedziała, że będzie musiała zaciągnąć kredyt, żeby ją spłacić, ale podjęła już decyzję. Mieszkała tu, odkąd wyprowadziła się z Żoliborza. Niczego jeszcze nie wyrzuciła. Rzeczy, które zabierały najwięcej miejsca lub wywoływały niechciane wspomnienia, wylądowały w starym pokoju Marty, przekształconym w składzik. Do tego pokoju i tak wchodziła rzadko. Nie lubiła go. Tutaj miała zajęcia z psychologami oraz indywidualne lekcje z nauczycielami, zanim była w stanie wrócić do szkoły. Tutaj też przesłuchiwali ją policjanci. Wszyscy byli dla niej mili, ale wspomnienia z tamtego okresu były gorsze niż zdrapywanie paznokciem farby ze ścian. Wywoływały wręcz fizyczny dyskomfort i Marta unikała ich jak ognia. Dlatego pokój pozostawał zamknięty, a Marta do niego nie zaglądała. Reszta mieszkania przypominała jej ukochaną babcię i dawała poczucie bezpieczeństwa.

Teraz jednak, skoro na nowo układała sobie życie, musiała zastanowić się nad każdym przedmiotem. Niektóre z nich zachowa, niektóre zabierze Kamila. Rzeczy niechciane, ale w dobrym stanie Marta postanowiła zanieść do jednego z dwóch sklepów charytatywnych, które znalazła w pobliżu, przy placu Unii Lubelskiej.

Do kolejnego dyżuru zostało jeszcze wiele godzin, mogła więc bez przeszkód rozpocząć porządkowanie. Ale przedtem musiała umyć zęby po kawie. Potem odpisać na ważny mail. Potem nastawić pranie. Potem podlać kwiaty. Potem wynieść śmieci.

Marta była na siebie wściekła — plany wejścia do składziku zawsze kończyły się tak samo, perfidnym odwlekaniem. Pociągnęła nosem. Śmieci jednak faktycznie należało wynieść. Zawiązała worek, by — przypominając sobie nagle o czymś — po chwili go rozwiązać. Kiedy intensywny smród uderzył ją w nozdrza ze zdwojoną siłą, mimowolnie zmarszczyła nos. Szybko weszła do jednego z pokoiów, chwyciła doniczkę z kompletnie uschniętym stefanotisem i wytrzepała jej zawartość do worka na śmieci, z ulgą zawiązując go ponownie.

— O, Martusia, rzadko cię ostatnio widuję. — Pani Maria otworzyła drzwi swojego mieszkania w momencie, kiedy Marta mocowała się z kluczem (już dawno miała zadzwonić do ślusarza, ale oczywiście nie miała na to czasu).

— Dzień dobry, pani Mario. W nocy dyżuruję, w dzień śpię. Może dlatego.

— Za ładna jesteś na te dyżury. Czemu ty, dziecko, jakiegoś porządnego męża sobie nie znajdziesz i nie zmienisz pracy na lepszą?

— Już miałam męża i źle to się skończyło.

— Mówię przecież, że porządnego.

— Ba, pani Mario, żeby oni na czole mieli wypisane, który porządny, a który nie. To ja zaraz, jutro, drugi ślub biorę i zwalniam się ze szpitala. Ale chwilowo, to chleb muszę mieć za co kupić.

— Czasami nie ma co daleko szukać. Szczęście może być dosłownie za drzwiami. Tak przy okazji, nie wpadłabyś do mnie dziś po południu? Upiekłam szarlotkę. Wyjątkowo dobra, udała mi się. Dam ci też na wynos, bo ostatnio chuda taka jakaś jesteś. Mężczyźni nie lubią, gdy kobieta wygląda jak szkapa. No i hydroksyzyna mi się skończyła. Nie wypisałaś mi, dziecko, recepty? Bardzo bym ci była wdzięczna. Przyjdzie też Apolinary, ucieszy się, jak cię zobaczy.

— Pani Mario, chętnie, ale innym razem. Dzisiaj mam dyżur. A receptę wsunę pani pod drzwi, gdy będę wychodzić do szpitala. Niech pani pozdrowi ode mnie Apolinarego. Może wpadłabym do pani w piątek?

— W piątek? Ja będę, ale Apolinary wyjeżdża na weekend, wraca dopiero w przyszłym tygodniu. Wielka szkoda... Tak bym was chętnie oboje ugościła...

Pani Maria była nie tylko sąsiadką, ale też najlepszą przyjaciółką babci Marty.

Obie kobiety pomagały sobie wzajemnie w codziennych obowiązkach, co bardzo ułatwiała babci życie, bo oprócz wychowywania wnuczek musiała również zarabiać na ich utrzymanie.

Kiedy babcia była w pracy, Martą i Kamilą zajmowała się właśnie pani Maria. Co prawda miała czworo własnych dzieci, ale troje z nich mieszkało za granicą i praktycznie komunikowało się z nią tylko telefonicznie. Najmłodsza córka mieszkała w Warszawie i pracowała w Muzeum Narodowym, ale również rzadko znajdowała czas dla matki. Często za to przywoziła na Mokotowską swego syna, Apolinarego, zostawiając go pod opieką pani Marii na wiele dni. Pani Maria miała kilkoro wnuków, ale tylko Apolinary mieszkał w Polsce. A przynajmniej od niedawna mieszkał ponownie. Po liceum wyprowadził się z Warszawy, a Marta podejrzewała, że wyjechał za granicę. Pani Maria nie lubiła na ten temat rozmawiać, ale kiedyś napomknęła coś o Francji. Szybko jednak zmieniła temat i nigdy już do niego nie wracała.

Marta i Kamila spędzały w dzieciństwie dużo czasu w towarzystwie Apolinarego, ale niespecjalnie go lubiły. Był dziwakiem. Uparty jak osioł, chciał bawić się tylko w to, na co akurat miał ochotę. Każda próba przekonania go do innych rozrywek powodowała, że wpadał w gniew nieprzystający do sytuacji. Próbował przy tym



zmuszać Kamilę do tego, by robiła tylko to, co jej kazał, wszędzie za nią chodząc i nie stroniąc od argumentów siłowych. Martę oszczędzał, ale tylko dlatego, że była sprytna i złośliwa, zawsze znajdując sposób, by się na nim odegrać. Każda drobna przykrość wywoływała u niego wybuchy gniewu i płaczu. Łatwo było wyprowadzić go z równowagi, co Marta skwapliwie wykorzystywała, ale Apolinary i tak uważał ją za swoją najlepszą koleżankę. Pewnie dlatego, że poza Martą i Kamilą nie miał innego towarzystwa w swoim wieku. Zresztą, z takim imieniem i nazwiskiem? Apolinary Rzyć — to dziecko od urodzenia skazane było na dziwaństwo.

Jakiś czas temu Apolinary wrócił do Warszawy. Teraz często odwiedzał swoją babcie, dzięki czemu Marta spotkała go przelotnie kilka razy. Był miły, pamiętał również o Kamili i zawsze prosił, żeby ją pozdrowić. Czego Marta oczywiście nie robiła, wiedząc, jaka będzie reakcja siostry. Wyrósł na całkiem przystojnego mężczyznę. Jego kwadratowa szczęka i gładko wygolone policzki przywodziły na myśl amerykańskich marines i nadawały mu wygląd obcokrajowca. Z pewnością podobał się kobietom i jego babcia niepotrzebnie próbowała swatać go z sąsiadką — w jego życiu na pewno istniała jakaś wybranka, którą wkrótce przyprowadzi na Mokotowską.

Marta cieszyła się z jego powrotu. Pani Maria czuła się samotna i choć Marta odwiedzała ją tak często, jak tylko mogła, to przecież nie potrafiła jej zastąpić prawdziwej rodziny. Co więcej, od pewnego czasu z sąsiadką Marty działo się coś złego. Opowiadała o ludziach, którzy już dawno zmarli, tak jakby właśnie przed chwilą z nimi rozmawiała. Innym razem potrafiła bez słowa przejść obok Marty, zupełnie jej nie rozpoznając. Zaczęło niepokoić to Martę do tego stopnia, że poprosiła o pomoc znajomego psychiatrę, Piotra. Byli przyjaciółmi od wielu lat i często zwracali się do siebie z różnymi problemami. Piotr obiecał przyjść na Mokotowską i dyskretnie porozmawiać z panią Marią. Marta musiała tylko znaleźć sposób, by na te odwiedziny przygotować sąsiadkę — z doświadczenia wiedziała, że ludzie potrafią reagować histerycznie nawet na wzmiankę o psychiatrze.

W środku wiatry śmietnikowej spędziła dłuższą chwilę. Nie żeby towarzystwo kontenerów na odpady sprawiało jej szczególną przyjemność — po prostu przerastały ją nowe zasady segregacji śmieci. Miała doktorat z medycyny, ale decyzja, do którego pojemnika co wrzucić, wymagała, w jej opinii, co najmniej habilitacji.

— Cześć, Marta! Co za niespodzianka. — Apolinary nawet nie udawał zdziwienia. Marta natomiast wprost przeciwnie, z zaskoczenia o mało nie upuściła szklanki, nad którą dumiała od kilkunastu sekund. Szklanki należało wrzucać do pojemnika z odpadami mieszanymi. Ale ta oryginalnie była słoiczkiem po musztardzie, któremu Marta dała drugie życie. Czy wobec tego powinna wylądować w pojemniku na szkło?

— O Boże, Polik, nie zauważyłam cię. Co ty tu robisz?

— Śmieci przyszedłem wyrzucić. — Nie miał żadnych śmieci. — To znaczy przedtem wyrzucałem — zreflektował się. — Teraz wracam z samochodu i zobaczyłem tu ciebie. Podobno wybierasz się do mojej babci?

— Zaprosiła mnie, ale dzisiaj nie mogę, mam dyżur. Muszę to przełożyć.

— Szkoda. — Wydawał się szczerze zmartwiony. — A co słyhać u Kamili? Babcia pokazywała mi jej zdjęcia. Nic się nie zmieniła.

— W sumie to prawda. Poza tym, że urosła, przytyła, wyszła za mąż i urodziła dziecko, to nic.

— Słyszałem. — Znow wydał się zmartwiony. — Jak jej się układa z mężem?

Tak naprawdę układało jej się bardzo różnie. Były momenty lepsze i gorsze, choć ostatnio Kamila nie narzekała.

— Rewelacyjnie, oboje są ze sobą bardzo szczęśliwi. Mają piękne, zdrowe dziecko. Generalnie sielanka, powiodło jej się w życiu.

— Miło to słyszeć. Pozdrowiłaś ją ode mnie?

— Jasne, też kazała cię pozdrowić. Zawsze bardzo cię lubiła.

— Ja ją też. Może spotkalibyśmy się we trójkę na jakiejś kawie?

— To będzie trudne. Z uwagi na dziecko. Ona teraz na nic nie ma czasu.

„Oraz z uwagi na to, że Kamila cię nienawidzi i jeśli jej o tobie przypomnę, to zacznie krzyczeć” — pomyślała.

— To może tylko we dwoje gdzieś wyskoczymy? Dałabyś się zaprosić? Zaproponuj miejsce i czas. Ja już nie poznaję Warszawy, za dużo się tu zmieniło, odkąd wyjechałem.

— Chętnie, to świetny pomysł. Może w ten piątek? — Marta miała nadzieję, że Apolinary nie zmienił planów i w piątek nie będzie go w Warszawie. Z oczywistych względów nie miała ochoty na żadne spotkania po latach i wspominki na temat dzieciństwa.

— W piątek niestety jestem poza miastem.

— Szkoda. — Udała żal, miała nadzieję, że wyszło naturalnie. — To może poniedziałek? — Według relacji pani Marii Apolinary miał wyjechać na kilka dni. Oby tym poniedziałkiem nie strzeliła sobie w kolano.

— Do poniedziałku nie wrócę. Może przyszła środa?

— Wtedy mam dyżur — skłamała. — Widzę, że oboje jesteście bardzo zapracowanymi ludźmi. Na szczęście często bywasz teraz na Mokotowskiej. Będziemy się umawiać w przyszłym tygodniu. Chętnie dowiem się wreszcie, co u ciebie słyhać, co robiłeś, jak cię nie było i czym zajmujesz się teraz.

— No wiesz, lekarzem nie jestem, w porównaniu z tobą nie mam specjalnie czym się chwalić.

— Nie udawaj skromnego. I przepuść mnie wreszcie, bo za chwilę spóźnię się do pracy.

Apolinary niechętnie ustąpił jej z drogi. Nie spuszczał z niej wzroku, dopóki nie weszła do budynku. Pomachała mu z daleka na pożegnanie, przestając się uśmiechać natychmiast, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi wejściowe. Najpierw Żakowski, teraz Apolinary — przeszłość wracała do niej jak bumerang, choć tak usilnie starała się o niej zapomnieć. Po raz kolejny musiała przyznać rację siostrze — powrót na Mokotowską chyba jednak nie był najlepszym pomysłem.

## Rozdział 5

Oddział zakaźny huczał od plotek. Podobno Szymański wystawiał jakieś lewe zwolnienia członkom mafii. Albo kradł morfinę z oddziału. Albo jedno i drugie. Marta westchnęła. To oznaczało, że w dalszym ciągu nikt nic nie wiedział. Szkoda, bo zagadka śmierci zastępcy ordynatora nie dawała jej spokoju. Pani Alinka z działu badań klinicznych, która przyniosła informacje o mafii i zwolnieniach, była nimi niezmiernie przejęta. Marta powiedziała jej w tajemnicy, że Szymański mógł być „Bestią z Mokotowa”. Informację dostała z pewnego źródła. Wymyślenie tej bzdury sprawiło Marcie wielką przyjemność, naprawdę nie lubiła Szymańskiego. Pani Alinka udała przerażenie. Nie mogła doczekać się, kiedy sprzeda tę wiadomość u siebie w dziale. Jutro będzie o tym mówił cały szpital, Marta była tego pewna — w rozpowszechnianiu wszelkich plotek na pani Alince można było polegać jak na Zawiszy.

Przejmując dyżur, Marta wiedziała już, że nie będzie spokojnie. Do oddziału zamkniętego, jak zły szeląg, wrócił Chimczak.

Formalnie oddział zakaźny, na którym pracowała Marta, był Kliniką Chorób Zakaźnych składającą się z trzech pododdziałów: zakaźnego dla dorosłych, zakaźnego pediatrycznego oraz zamkniętego, na który przyjmowani byli pacjenci uzależnieni od substancji psychoaktywnych i zakażeni wirusem HIV. Tacy, których nie chcieli przyjmować inne szpitale w Warszawie. I właśnie ten ostatni pododdział był największym przekleństwem lekarzy i pielęgniarek pracujących w „Błęńskiej”. Trafiali tu najbardziej niebezpieczni kryminaliści ze stolicy, a także z różnych miejsc Polski, toteż każdy dzień pracy na oddziale zamkniętym był dla personelu medycznego prawdziwym czyszcem, istną karą za grzechy. Najgorsze były noce, kiedy na całym oddziale zakaźnym dyżurował jeden lekarz (najczęściej kobieta) oraz trzy pielęgniarki, po jednej na każdym pododdziale. Podczas swych dyżurów Marta widziała już wszystko: zejścia po amfetaminie, agresję na głodzie, wściekłość po odmowie podania silnych leków przeciwbólowych... Każdą z tych sytuacji przerabiała wielokrotnie. Szpital teoretycznie zatrudniał ochronę, która powinna interweniować w przypadku zagrożenia życia personelu. W praktyce byli to emeryci, którzy po każdym wezwaniu ociągali się z przyjściem. Przezornie oczekiwali swoje w nadziei, że kryzysowa sytuacja rozwiąże się sama albo że po dotarciu pozostanie im tylko policzyć ciała i wezwać policję.

W konkursie na najbardziej znieawidzonego pacjenta Chimczak miał szansę na podium. Niewysoki, chudy, szurkowaty. Z wyglądu nie wydawał się niebezpieczny. Ale wszyscy wiedzieli, że był zdolny do rzeczy najgorszych. Któregoś dnia wbił w rękę jednej z pielęgniarek igłę ze strzykawką wypełnioną własną krwią. Tłumaczył się potem, że była dla niego niemiła i chciał ją ukarać, zarażając HIV. Na szczęście istnieją skuteczne metody zapobiegania takiemu zakażeniu. I choć pielęgniarka przez miesiąc musiała przyjmować leki, które wywołały wiele działań niepożądanych, nie zaraziła się wirusem. Jednak już nigdy nie wróciła do pracy w szpitalu, ani w „Błęńskiej”, ani w żadnym innym. Zmieniła zawód. Chimczak nie poniósł za swój czyn żadnej kary. W medycznej rzeczywistości tacy jak on uznawani byli za osoby

chore, uzależnione. A chorzy nie mogą ponosić kary za swoją chorobę, nawet jeśli jest ona skutkiem ich życiowych decyzji. Co najwyżej, można skierować takich pacjentów do szpitala psychiatrycznego na kilkutygodniowe leczenie i obserwację. Z psychiatria wychodzą dokładnie tacy sami jak byli wcześniej.

— Uważaj na niego, jest jakiś podenerwowany. Przeszukaliśmy jego torby i ubranie, wszystko zgodnie z procedurami. Nic tam nie ma. Zrobiłem mu nawet badanie per rectum na wypadek, gdyby chciał coś przemycić w odbycie. Jest czysty. Ale jakoś mu nie ufam. — Doktor Julian Marchlewski, który pracował na oddziale zamkniętym, właśnie przekazywał Marcie informacje dyżurowe.

— Zrobiliście mu testy na obecność substancji psychoaktywnych?

— Tak, wyszły negatywnie.

— Czyli nie jest na metadonie?

— Nie, ale może lepiej będzie, jeśli wróci do programu. Pomogłoby mu to w adherencji do leków antyretrowirusowych. — Marchlewski pstryknął długopisem.

— Jezu, nie mogę tego słuchać — wtrącił się do rozmowy Leszek Skalski. Dotychczas zajęty był uzupełnianiem dokumentacji medycznej, ale przerwał, kiedy usłyszał słowo „metadon”. Za każdym razem działało na niego jak płachta na byka. — Drań handluje prochami, rozbija rodziny i niszczy przyszłość dzieciom, a ty znowu chcesz mu włączyć leczenie przeciwwirusowe za kilka tysięcy miesięcznie?

— Nie jesteśmy od tego, żeby oceniać, komu włączamy leczenie, a komu nie. Wartość społeczna pacjenta nie interesuje lekarza. I nigdy nie powinna.

— Ale fakt, że już kilka razy rozpoczynał leczenie i zawsze kończyło się tak samo, powinien cię jednak interesować. Mam ci przypomnieć, jak było rok temu? Leki o wartości czterech tysięcy złotych skończyły splukane w toalecie. Bo miał jakiś urojony Weltschmerz i poprawiało mu to nastrój lepiej niż antydepresanty, jak twierdził. Wywaliłem go z programu lekowego, jak tylko się dowiedziałem. A co ty zrobiłeś? Po kilku miesiącach znowu go włączyłeś. I co było dalej? Znowu to samo. Tyle że zamiast zasilać „Czajkę”, zaczął sprzedawać leki zakażonym Ukraincom, za jakieś grosze.

— W przeciwieństwie do ciebie uważam, że ludzie powinni dostawać drugą szansę.

— Drugą tak, ale nie dwudziestą drugą. Ten człowiek powinien cieszyć się, że w ogóle otrzymuje jakąś pomoc. W normalnym społeczeństwie siedziałby w więzieniu o chlebie i wodzie, jeśli miałyby szczęście. A tu kilkoro wykształconych lekarzy właśnie debatuje, czy nie dać mu w prezencie od państwa leczenia za dziesiątki tysięcy złotych rocznie oraz heroiny, żeby łaskawie mógł to leczenie kontynuować.

— Jak to heroiny? — zainteresował się nowy rezydent. Marta dopiero teraz go zauważyła.

— Metadon, którego używamy w programach, jest substytutem heroiny. De facto to doustna heroina w syropie. — Marchlewski chciał zaprotestować, ale Leszek nie dał mu dojść do głosu. — Kolego — zwrócił się do rezydenta — będą karmić cię tu bzdurami, że metadon w substytucyjnej terapii opioidowej służy w efekcie zwalczaniu uzależnienia, bo można stopniowo zmniejszać jego dawkę aż do wyzerowania pacjenta. Tyle tylko, że nikt tu nikomu nie redukuje dawek. Wręcz przeciwnie, nasi pacjenci przez lata piją po kilkadziesiąt lub nawet kilkaset miligramów metadonu dziennie. Może to u niektórych wzbudzać wątpliwości, więc wymyślono kolejny argument — metadon przyjmowany przez wiele lat redukuje społeczne szkody i pozwala uzależnionym normalnie funkcjonować. Czyli jeśli narkoman dostanie za

darmo metadon, to może wyświadczy ci łaskę i nie walnie cię łomem w łeb w jakimś parku, żeby dobrać się do twego portfela i kupić sobie opiaty, od których jest uzależniony. Co oczywiście jest trzecim typem prawdy według Tischnera, czyli główną prawdą. Jesteś u nas krótko, ale jak wiesz, policja zagląda do naszych pacjentów bardzo często. Tak właśnie wygląda redukcja społecznych szkód w programie metadonowym!

— Ale w takim razie, dlaczego nie zmniejszamy im dawek? — Dla rezydenta wszystko, czego się właśnie dowiadywał, było nowością, ale Marta w takich rozmowach brała już udział wielokrotnie. Leszek miał swoje zdanie i nie bał się go głośno wypowiadać. Polityczną poprawność miał tam, gdzie brał swój początek trzeci typ prawdy według Tischnera.

— Bo nam się to nie opłaca. Wielu z nas — ostentacyjnie spojrzął w kierunku gotującego się z wściekłości Marchlewskiego — prowadzi własne programy metadonowe, które są prywatnymi biznesami. Oczywiście opłacalnymi tylko wówczas, jeśli pacjenci przyjmują metadon, a nie jeśli są z niego zerowani. Wiesz, jaką sumę rocznie wydaje na doustną heroinę dla narkomanów Narodowy Fundusz Zdrowia? Dwadzieścia pięć milionów złotych. Dwadzieścia pięć baniek, które mogłyby zostać przeznaczone na przykład na lepsze szczepionki dla dzieci lub na leki przeciwnowotworowe. My je marnujemy na takich jak Chimczak. Osobiście uważam to za skandal. A to, że muszę w tym całym procederze uczestniczyć — za moją życiową porażkę. Ale jeśli chciałbym odmówić, zostanę natychmiast zlinczowany i nazwany ignorantem, a moja kariera zawodowa przestanie istnieć.

— Skalski, jesteś oszołomem, nie powinieneś takich rzeczy opowiadać publicznie. To są jakieś kompletne bzdury i pomówienia, na dodatek karalne. — Marchlewski był czerwoną z wściekłości.

Leszek spojrzął na Martę i przewrócił oczami. Nie cierpiał się z Marchlewskim, nie tylko ze względu na różnice poglądów na temat metadonu.

— Nasza szanowna obecna tu koleżanka również miałaby co nieco na ten temat do powiedzenia. Uważasz, Marchlewski, że to też bzdury i pomówienia?

Leszek nawiązywał do jej dyżuru sprzed kilku miesięcy. Na oddział zgłosił się wówczas narkoman, który przyjmował metadon. Zachowywał się agresywnie, więc Marta wykonała mu testy na obecność substancji psychoaktywnych w organizmie. Obok opiatów dodatkowo wyszły praktycznie wszystkie główne typy narkotyków plus alkohol. Marta sporządziła notatkę i przesała ją do programu metadonowego pacjenta. Zgodnie z zasadami, jeżeli pacjent nie zachowuje abstynencji od środków odurzających lub alkoholu, powinien zostać zdyskwalifikowany i wyrzucony z programu. Jednak notatka zaginęła, a Marta została wezwana następnego dnia „na dywanik” do Starego, czyli ordynatora oddziału zakaźnego. Ten udzielił jej nagany i wprowadził zasadę, że tylko on może kontaktować się w takich sprawach z ośrodkami zewnętrznymi. Stary, czego Marta dowiedziała się później, był jednym z udziałowców nie tylko „Wielkiej Walki” (jak nazywał się ów program metadonowy), ale także kilku innych w województwie. Od tej pory lekarze z oddziału zakaźnego zaczęli nazywać „Wielką Walkę” „Wielkim Wałem”, ale było to jedyne, co mogli zrobić. Programy działały legalnie, a pacjenci zgodnie z prawem otrzymywali duże ilości metadonu, który przyjmowali w domu, bez nadzoru personelu medycznego. Następnie sami redukowali stopniowo swoje dawki, nie informując o tym nikogo, a nadwyżki sprzedawali na czarnym rynku. Przykładowo, otrzymując dwieście

miligramów metadonu, potrafiliby zmniejszyć potrzebną do zaspokojenia głodu ilość do siedemdziesięciu miligramów. Pozostałe sto trzydzieści sprzedawali innym narkomanom, a uzyskane pieniądze przeznaczali na zakup kokainy lub amfetaminy. A tych i tak nikt w ich organizmach nie szukał, bo zakłóciłoby to pożądany przez wszystkich cykl przepływu publicznych pieniędzy. Takie działania odbijały się rykoszetem na innych, rzetelnie działających programach metadonowych, których pacjenci faktycznie odnosili korzyści z tej formy pomocy.

Ale Marta nie podjęła tematu, to nie było miejsce ani czas na takie dyskusje.

— Panowie, zostawiam was samych z tą wymianą poglądów, do przejścia dyżuru została mi jeszcze pediatria. — Miała nadzieję, że Marchlewski ze Skalskim nie pozabijają się, kiedy zostawi ich samych. Jedno morderstwo na oddziale wystarczyło. Poza tym martwiła się obecnością Chimczaka i miała złe przeczucia co do swojego dyżuru.

Nie myliła się. O jedenastej w nocy odebrała telefon z informacją, że Chimczak biega nago po oddziale zamkniętym z butelką wódki w ręce.

— Skąd wziął ten alkohol? — Marta stała z pielęgniarką pod gabinetem zabiegowym. Obie obserwowały Chimczaka z bezpiecznej odległości. Na szczęście wejścia do sal chorych zabezpieczone były kartami magnetycznymi i Chimczak mógł dostać się wyłącznie do swojej. Pozostałym pacjentom nic nie zagrażało.

— Podobno spuścił sznurek do ogrodu. Na dole czekał jakiś jego kumpel, który przywiązał paczkę z prezentami.

Salę chorych na oddziale zamkniętym miały kraty, ale okna mogły się otwierać. Zamknięcie okien na stałe było wbrew prawom pacjenta — tak orzekł szpitalny prawnik. W końcu nie była to psychiatria. Teraz oglądały tego efekty. Chimczak dał się wniebogłoso, jego ryki przerywane były jedynie piciem z butelki.

— Wezwała pani ochronę?

— Jeszcze zanim zadzwoniłam po panią doktor.

Marta spojrzała na zegarek. Ochroniarz miał do przebycia około trzysta metrów. Jak znała życie, zajmie mu to jakieś pół godziny. Chimczak wytrząsał ostatnie krople z butelki. Kiedy przestały lecieć, z wściekłością rozbił ją o kant lodówki dla pacjentów. Trzymał teraz w ręce „tulipana” i z okrzykiem „wy kurwy, zajebię was” rozpoczął szarżę w stronę Marty i pielęgniarki.

— Chodu, do zabiegowego! — krzyknęła pielęgniarka, ale Marta powstrzymała ją. Chimczak bowiem nagle zmienił plany i wbiegł do swojej sali. Z duszą na ramieniu podeszła do drzwi, zatrzasnęła je i przyłożyła swoją uniwersalną kartę do czytnika. Ten zapikał i zmienił kolor na czerwony, co oznaczało, że Chimczak został uwięziony w środku. Rozwiązywało to problem tylko częściowo, bo Marta nie wiedziała, co Chimczak tam wyrabia. Jeśli targnąłby się na życie, to co prawda wyświadczyłby przysługę światu, ale przy okazji skomplikowałby karierę Marcie, która w trakcie dyżuru odpowiadała za wszystkich pacjentów na oddziale. Jednak swoje zdrowie ceniła wyżej niż sukcesy zawodowe, dlatego postanowiła nie otwierać sali bez ochroniarza. A skoro i tak musiała na niego poczekać, wykonała telefon na psychiatrię. Miała szczęście, dziś dyżurował Piotr.

— Chcę mu podać haloperidol. Myślisz, że wystarczy?

— A co przyjął?

— Wygląda na to, że tylko alkohol.

— Ale pewności nie masz?

— Skąd? Właściwie nie wiem nawet, czy w tej butelce po wódce była naprawdę wódka.

— W takim razie nie możesz niczego mu podawać. Nie wiemy, co wziął, w jakiej ilości i w jakie interakcje wejdzie to z lekami, które otrzyma od ciebie. Jeśli dojdzie do zatrzymania krążenia, prokurator uzna, że była to twoja wina. Nawet jeśli przyczyna będzie zupełnie inna. Możesz go jedynie unieruchomić na jakiś czas, oczywiście monitorując regularnie jego czynności życiowe.

— Myślisz, że tak po prostu będą mogła wejść na salę i zapiąć go w pasy? Poproszę grzecznie, a on powie, że tylko na to czekał?

— No cóż, sytuacja faktycznie jest trudna. Ale leku też łatwo byś mu nie podała. Na twoim miejscu zadzwoniłbym po policję. Jest agresywny, właściwie to groził ci śmiercią. Niech go zabiorą na Kolską.

Marta pożegnała się z Piotrem, wykręciła numer komendy rejonowej i opisała sytuację, prosząc o pilną interwencję. W międzyczasie doczłapał ochroniarz. Tak na oko miał ze sto lat, poruszał się o lasce, a szkła w jego okularach były grubości kufli do piwa. Marta nie miała sumienia prosić go o wejście do sali Chimczaka, więc teraz wspólnie oczekiwali na policję. Kiedy minęła prawie godzina, a po policji nie było śladu, Marta zadzwoniła ponownie. Tym razem nie prosiła, tylko żądała pilnej interwencji. Zapewnili, że patrol jest już w drodze. Ale kiedy minęło kolejne pół godziny, a nikt nie dotarł, zamierzała zadzwonić po raz trzeci i roznieść komendę na strzępy.

Wtedy usłyszeli pukanie do drzwi oddziału.

— Wreszcie, nie śpieszyli się. Nawet pan był tu przed nimi — rzuciła wściekle do ochroniarza.

Otworzyła drzwi z impetem — w planach miała burzę z piorunami i gradobiciem oraz tornado. Jednak nie zdążyła nawet otworzyć ust. Skamieniała. Po drugiej stronie stało dwóch funkcjonariuszy w mundurach. Jednym z nich był przystojniak z placu Zbawiciela, Michał.

— Dobry wieczór, starszy posterunkowy Adam Dobrowolski. To pani do nas dzwoniła? — powiedział drugi z policjantów.

— Tak, ja. — Marta z zaskoczenia ledwie wyartykułowała odpowiedź.

— Proszę nam powiedzieć, co się stało.

Marta streściła sytuację i wskazała policjantom salę Chimczaka. Ponownie przyłożyła swoją kartę do czytnika obok drzwi i zwolniła zamek. Światło w sali było zgaszone, więc nacisnęła włącznik. Chimczak leżał skulony na łóżku, nie zareagował na nagłą jasność. Spał albo udawał, że śpi. Posterunkowy Dobrowolski podszedł do niego i mocno potrząsnął go za ramię.

— Halo, tu policja. Pan wstanie.

Chimczak ani drgnął. Nikt nie mógł mieć aż tak mocnego snu, nawet po alkoholu. Ewidentnie udawał.

Dobrowolski sięgnął po portfel leżący na stoliku przy łóżku i wyjął z niego dowód osobisty Chimczaka. Chwilę przyjrzał się zdjęciu.

— Ty, ale numer, ja go znam, kilka dni temu zabierałem mu dzieci.

Informacja o dzieciach zdziwiła Martę. Według jej wiedzy Chimczak przez ostatnie lata zarażał HIV-em głównie mężczyzn. Wolała nie myśleć o tym, co z tych dzieci wyrośnie.

Michał w tym czasie nie wypowiedział ani słowa. Nic też nie wskazywało na to, by w ogóle poznał Martę. Teraz podszedł do łóżka Chimczaka i teatralnym gestem zaczął ściągać z prawej dłoni czarną, skórzaną rękawiczkę. Palec po palcu. Wbijał przy tym wzrok w Martę, która czekała przy drzwiach. Przeszył ją dreszcz. Erotyzm w tej sytuacji był czymś kompletnie absurdalnym, ale wbrew logice jej myśli podążały tylko w jednym kierunku.

Tymczasem Michał (jeśli rzeczywiście tak miał na imię) pochylił się nad Chimczakiem i zdecydowanym ruchem dotknął palcem wskazującym wklęsłości za jego lewym uchem, tuż poniżej wyrostka sutkowatego. Dotknął to złe określenie — Michał przytknął palec z taką siłą, że Chimczak wydał z siebie dziki wrzask, przybierając w jednej chwili pozycję pionową. Wyglądało to komicznie, zupełnie tak, jakby Michał uniósł Chimczaka jednym palcem i Marta mimowolnie się uśmiechnęła.

Chimczak przestał krzyczeć i teraz potulnie spełniał polecenia policjantów. Nie oponował, kiedy wyprowadzali go z oddziału. Wychodząc, Michał nawet nie spojrzął na Martę.

— Uff, sprawnie poszło — powiedział ochroniarz, a Marta niemal zabiła go wzrokiem.

Wróciła do swojej dyżurki w nadziei, że zdoła szybko ochłonać, ale tak się nie stało. Nie wiedziała, co wywarło na niej większe wrażenie — fakt, że pacjent groził jej śmiercią, czy ponowne spotkanie z Michałem. To drugie było na pewno czymś bardziej zaskakującym, w końcu na oddziale zamkniętym pacjenci wyrabiali już gorsze rzeczy.

Myślała o Michale podczas reszty dyżuru. Myślała o nim w drodze do domu. Myślała o nim również, kiedy brała prysznic. Myślenie przerwał dopiero dzwonek do drzwi. O tej porze mogła to być tylko pani Maria.

Marta spojrzała przez judasza, otworzyła drzwi i zrobiła krok do tyłu. W progu stał Michał.

— Cześć, Ani. Ani Sakis — powiedział i wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do Marty. Nie oponowała, kiedy zdjął z niej ręcznik.



## Rozdział 6

— Ani Sakis? Serio? — Leżeli oboje nago w łóżku Marty i Michał głaskał ją po włosach. — Po naszym pierwszym spotkaniu próbowałem znaleźć cię w sieci. Wiesz, na co trafiłem?

— Wiem. — Marta roześmiała się.

— Anisakis to jakiś robał.

— Nicień, pasożyt ssaków morskich i ryb — poprawiła go Marta. — Pacjenci przywożą go czasem z wakacji. Musisz przyznać, że ładnie się nazywa.

— Często się tak przedstawiasz?

— Tylko niechcianym absztyfikantom.

— A więc teraz jestem niechcianym absztyfikantem?

— Nie wiem, kim jesteś. Nawet nie wiem, czy faktycznie nazywasz się Michał. Właśnie przespałam się z kompletnie nieznanym mężczyzną.

— I to trzy razy — uściślił Michał. — Faktycznie, było to bardzo, bardzo lekkomyślne z twojej strony. Rodzice nie pozwalają ci rozmawiać z nieznanymi, ale wpuszczanie ich do mieszkania i uprawianie z nimi seksu jest okej?

— Tak, jeśli tym nieznanym jest przystojny policjant, który ratuje moje życie. Dla takich pozwolili mi zrobić wyjątek.

— Czyli mogę mieć pewność, że żaden z twoich dziewięciu braci nie pojawi się tu z bazooką, żeby bronić honoru siostry?

— Raczej nie. Posiadanie bazooki jest w Polsce nielegalne.

— Znasz się na medycynie, znasz się na prawie... Na czym jeszcze się znasz?

— Na tym. — Marta wsunęła rękę pod kołdrę. Michał przeciągnął się i zamruczał jak kot. — Ale to musi zaczekać. — Wyjęła rękę i zwinnie wydostała się z łóżka. — Nic nie jadłam od wczoraj i umieram z głodu. — Michał próbował ją zatrzymać, ale jego palce złapały tylko powietrze. Jęknął.

— Nie marudź, znam się również na gotowaniu. Przekonasz się. Poczekasz tu na mnie czy pomożesz w kuchni?

— Umiem tylko zagotować wodę, ale jeśli masz to w planach, to chętnie pomogę.

Bez skrępowania poruszał się nago i Marta musiała przyznać, że nigdy nie widziała tak doskonale zbudowanego męskiego ciała. A jako lekarz widziała ich wiele.

Planowała ugotować coś wyszukanego, ale w kuchni zmieniła zdanie. Nie chciała tracić czasu. Wrzuciła do garnka jajka i zaczęła kroić marynowane pieczarki oraz kiszzone ogórki. Domowy sos tatarski był jej specjalnością. Michał kreslił ósemki na jej nagich plecach. Zjeżdżał palcem coraz niżej, aż w końcu musiała się poddać i odłożyć nóż. Kochali się w kuchni. Okazało się, że jednak nie była tak głodna, jak myślała.

Za to śniadanie zjedli w łóżku.

— Powiesz mi, jak się nazywasz? — Wsunęła do ust całą połówkę jajka.

— Michał to moje prawdziwe imię. Michał Łazowski.

— Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

— Żartujesz? W szpitalu dowiedziałem się, jak naprawdę się nazywasz. Jestem policjantem, zdobycie adresu to dla mnie pestka.

— A skąd wiedziałaś, że będę chciała z tobą w ogóle rozmawiać?

— Nie wiedziałem. Zresztą, prawdę mówiąc, do tej pory zbyt wiele nie rozmawialiśmy. — Marta uderzyła go poduszką. — Poważnie. Nie wiedziałem, że tak to się skończy. Przyszedłem spytać, czy wszystko u ciebie w porządku. Oddział wyglądał jak po przejściu huraganu. Ten ćpun musiał nieźle szaleć.

— Zawsze w wolnym czasie sprawdzasz samopoczucie obywateli?

— Tylko takich, którzy wpadną mi w oko. I nie chcą z niego wylecieć. A tak na serio, zdarzyło mi się to pierwszy raz. Od naszego spotkania na placu Zbawiciela nie mogę o tobie zapomnieć. Zresztą zaczepianie młodych pięknych kobiet, które spokojnie jedzą sobie zapiekanki, również nie należy do moich stałych czynności. To był impuls. Tak na mnie wtedy popatrzyłaś... O, tak jak teraz... — Michał zbliżył do siebie twarz Marty i mocno ją pocałował. — Sama wtedy powiedziałaś, że jeśli przeznaczenie będzie chciało, abyśmy się znów spotkali, to się spotkamy. No i widocznie chciało.

Marta do niedawna nie wierzyła w przeznaczenie. Ale po spotkaniu z mordercą rodziców zmieniła zdanie. Jerzy Żakowski... Nie zapomniła o nim, nadal pragnęła jego śmierci. Może nawet bardziej niż na początku. Od czasu pamiętnego dyżuru minęło już kilka dni. Bardzo chciała wiedzieć, w jakim jest stanie, ale bała się zajrzeć do systemu informatycznego i sprawdzić historię jego choroby. Na wszelki wypadek wolała nie zostawiać żadnych śladów, które mogłyby łączyć ją z tym pacjentem. Znajdzie sposób, aby dowiedzieć się z innego źródła.

— Coś się stało? Nagle posmutniałaś. — Michał pogładził ją po policzku. Sprawilo jej to wielką przyjemność i zapragnęła, żeby zatrzymał swoją dłoń na jej twarzy jak najdłużej.

— Nic, pomyślałam o pracy.

— Często miewasz takie przygody jak wczoraj?

— Na ogół nie, ale co jakiś czas trafia się świr. Jak to w życiu. A ty, często chodzisz na takie interwencje?

— Niestety, świry trafiają mi się częściej niż tobie. Taka praca. À propos pracy... — Spojrzał na zegarek. — Chciałbym zostać z tobą dłużej, ale nie mogę. — W mgnieniu oka zaczął wciągać spodnie. Marta mogłaby patrzeć na niego bez końca. Przechwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się szelmowsko. Marta również się ubrała i odprowadziła go do drzwi.

— Nikomu nie otwieraj! Wiesz, że na Mokotowie grasuje seryjny morderca. — Michał trzymał jedną rękę na klamce, a drugą bawił się jej włosami, ociągając się z wyjściem.

— Tobie też nie?

— Ja jestem dobrym policjantem. Myślałem, że to już ustaliliśmy. Mnie powinnaś otwierać. O każdej porze dnia i nocy. Szczególnie nocy.

— Oho, czyżbym miała się wkrótce spodziewać jakiegoś nocnego patrolu?

— Teraz, kiedy wiem, gdzie mieszkasz, patrole staną się regularne. To mój zawodowy obowiązek.

— Odbierasz chleb dzielnicowemu.

— To mój znajomy. Zrozumie i wybaczy. — Michał pocałował Martę po raz ostatni i zbiegł po schodach.

Zamknęła drzwi. „Co tu się właściwie wydarzyło?” — pomyślała.

Chwilę potem usłyszała pukanie do drzwi.

— Czegoś zapomniałeś? — spytała, otwierając bez spoglądania przez judasza.

W drzwiach stała pani Maria. Była blada i miała potargane włosy. Wyglądała jak zjawa.

— Martusiu, czekamy na ciebie z twoją babcią. Ugotowałyśmy zupę pomidorową, twoją ulubioną. Z tymi kluskami, co tak je lubisz. Zjesz z nami? Jeszcze ciepła.

Marta skamieniała.

— Pani Mario, babcia nie żyje. Dobrze się pani czuje? Coś pani boli?

— Dziecko, bój się Boga, nie opowiadaj takich rzeczy. Twoja babcia siedzi u mnie w kuchni. Nalałam nam zupy na talerze. Tobie też. Chodź, zjesz porządny obiad. Taka chuda jesteś, ciągle tylko te dyżury i dyżury. Nie dojadasz, nie dosypiasz... Babcia się na ciebie skarży.

— Dobrze, chodźmy, pani Mario, sprawdźmy, kto siedzi u pani w kuchni. Spała pani? Może coś się pani przyśniło?

Sąsiadka mieszkała dokładnie naprzeciwko Marty. Przeszły przez klatkę schodową. Marta chwyciła ją pod rękę — krok pani Marii był chwiejny i ledwie utrzymywała się na nogach. Mieszkanie było puste. Na stole w kuchni stały trzy talerze napełnione wodą.

— Wandziu, Martusia przyszła, możemy zaczynać. Wandziu, Wandziu, gdzie jesteś? Poszła gdzieś... Przed chwilą tu siedziała... Nie rozumiem, prosiła mnie, żebym cię przyprowadziła. Nie wiem, dlaczego teraz gdzieś sobie poszła.

— Już dobrze, pani Mario. — Marta zebrała talerze i wylała z nich wodę. Ich widok przyprowadził ją o głęsią skórkę. — Same zjemy obiad, we dwie. Ja ugotuję. Może być pomidorowa? Najpierw zmierzę pani ciśnienie, dobrze? Usiądzie pani na chwilę? — Sprawnie założyła mankiet aparatu. Ciśnienie i tętno były normalne. Schowała ciśnieniomierz do szuflady kredensu, a potem przeszła do łazienki, wykręciła numer Piotra i pokrótce opisała mu całą sytuację.

— Przyjedziesz zaraz? Jest źle. Wiem, że jesteś po dyżurze, ja przecież też. Nie wiem, co robić. Nie chcę wzywać karetki, nawet nie mam powodu, nie jest agresywna, ale przecież rozmawia z moją zmarłą babcią. Przyjedź, bardzo cię proszę. Ona jest dla mnie jak rodzina.

Pani Maria wyglądała na zagubioną. Marta zrobiła jej herbatę i zaczęła kroić pomidory. Przygotowując posiłek, bacznie obserwowała sąsiadkę i opowiadała jej o Piotrze.

— To mój przyjaciel, odwiedzi mnie za chwilę. Nie pogniewa się pani, jak go tu zaproszę na zupę? Też jest lekarzem. To wyjątkowo sympatyczna osoba, spodoba się pani.

— Dobrze, kochane dziecko, niechże przyjdzie, jeśli chce. Piotr to takie ładne imię. A moje córki to dały wnukom powydziwiane imiona, jakieś takie nie nasze. Żadna się mnie o zdanie nie spytała. Ja to nie uznaję imion, które nie pochodzą od świętych.

Piotr przyjechał szybciej, niż się spodziewała. Wyglądał na wypoczętego, mimo że był na nogach całą noc. Nie był w typie Marty. Lekko łysiał i nosił ogromne okulary, ale rzeczywiście sprawiał wrażenie sympatycznego. Był przy tym naprawdę dobrym człowiekiem, lubił swoich pacjentów i szybko zyskiwał ich zaufanie. A zarazem, co ważne, był jednym z najbardziej normalnych ludzi, jakich znała. W przeciwieństwie do niego większość innych psychiatrów, z którymi miała do czynienia, niewiele różniła się od swoich pacjentów. Marta uwielbiała Piotra i zrobiłaby dla niego wszystko —

poza tym, czego tak naprawdę by chciał, ale czego, na szczęście, nigdy nie miał odwagi głośno wypowiedzieć. Marta wolała, by pozostali tylko przyjaciółmi.

Piotr przywitał się z panią Marią tak, jak gdyby faktycznie przyszedł z wizytą towarzyską. Z apetytem zjadł zupę, którą w międzyczasie Marta zdążyła ugotować. Widać było, że bardzo mu smakowała, co Martę ucieszyło — wiedziała, że dobrze radzi sobie w kuchni, ale lubiła, kiedy inni to doceniali i potwierdzali.

Osobie postronnej mogłoby się wydawać, że pytania zadawane przez Piotra były neutralne, ale Marta zorientowała się, że rozpoczął już wywiad psychiatryczny. Pod pretekstem poszukania w swoim mieszkaniu czegoś na deser, zostawiła ich samych.

Wyszła od pani Marii w odpowiednim momencie. Na klatce schodowej spotkała bowiem Apolinarego. Jego talent do pojawiania się w najmniej odpowiedniej chwili był zadziwiający.

— Wejdiesz do mnie?

— Z przyjemnością. — Był zdziwiony, ale nie ukrywał zadowolenia.

Marta wpuściła go tylko do korytarza, nie zamierzała zapraszać do pokoju — nie pamiętała, w jakim jest stanie po wizycie Michała.

— Polik, jest sprawa. Nie możesz wejść do mieszkania swojej babci przez jakiś czas. Nie wiem, jak długo, najpewniej nie dłużej niż godzinę. Gdybyś mógł poczekać przed klatką, byłoby cudownie.

— Dlaczego, co się dzieje? — Zadowolenie momentalnie znikło z jego twarzy.

— Jest u niej psychiatra. Mój znajomy. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale od jakiegoś czasu dzieje się z nią coś dziwnego.

— Masz na myśli to, że świruje?

— Użyłabym innego określenia, ale w gruncie rzeczy tak, to właśnie mam na myśli.

— Zauważyłem. Myślisz, że powinna trafić do szpitala psychiatrycznego?

— Wcale tak nie myślę. Na razie próbujemy ustalić, co z nią jest nie tak.

— A co ja mam robić?

— Jeszcze nie wiem. Poczekam, aż mój kolega skończy z nią rozmawiać. Wtedy cię zwołam i powiem, jaki mamy plan.

Apolinary pstryknął nerwowo palcami we framugę drzwi, ale posłusznie wyszedł i zbiegł schodami w dół, a Marta odetchnęła z ulgą. Poszło sprawniej, niż myślała. W dzieciństwie nie znoził spełniać poleceń. Bardzo zmienił się od tego czasu. Usiadła na krześle w kuchni w oczekiwaniu na telefon od Piotra. Zadzwoił po dwudziestu minutach.

— Co tak długo? Czekamy i czekamy na te ciastka. Pieczesz je, czy co?

— Już idę. — Wyjęła z szafki markizy truskawkowe i pobiegła do mieszkania sąsiadki.

— O, przyszedł nasz deser. Wypytywałem panią Marię o różne sprawy. Bardzo miło nam się gawędziło, prawda, pani Mario?

— Wybornie, wybornie. Twój kolega to prawdziwy dżentelmen. Mało się już teraz takich spotyka. Tylko zastanawialiśmy się, gdzie zniknęłaś.

— Spotkałam Apolinarego, rozmawialiśmy chwilę. Zapomniał zamknąć samochód, ale zaraz wróci.

— Ja już niestety będę musiał się pożegnać. I tak się zasiedziałem, wpadłem tylko na moment. Marta, odprowadzisz mnie?

Weszli z powrotem do mieszkania Marty.

— I co?

— I pstro. Nie wiem. Myślisz, że psychiatria to jakaś magia? Że chwilę z nią pogadam i będę wiedział, co siedzi w jej głowie? Ma objawy wytwórcze, to zawsze niepokojące. Ale w jej wieku może być mnóstwo przyczyn. Zacząłbym od badania obrazowego głowy.

— Miała rezonans. Jest czysty. Lepiej niż stosownie do wieku, tak powiedziała neurolog.

— Tętnice szyjne?

— Bez żadnych zwężeń, ani śladu miażdżycy. Cholesterol jak u dwudziestolatki. To rzadkość w jej wieku.

— A jednak rozmawia z twoją zmarłą babcią?

— No właśnie.

— Były ze sobą blisko?

— Były najlepszymi przyjaciółkami. Ale ja też byłam blisko ze swoją babcią, a jakoś nie pijamy wspólnych herbatek.

— No dobrze, proponuję na początek to — Piotr zaczął wypisywać receptę — niech zacznie od połówki na wieczór, potem może zwiększyć dawkę do całej tabletki, pod twoją kontrolą. Zobaczymy. Aha, powinnaś zainteresować się tym grzybem w jej mieszkaniu.

— Jakim grzybem?

— Nie widziałaś? Dużo pleśni na ścianach, w zasadzie w każdym pomieszczeniu, do którego zajrzałem. Dziwne, bo budynek wygląda na suchy i dobrze utrzymany. Sprawdź też swoje ściany, na wszelki wypadek. Może coś gdzieś cieknie, trzeba by to było zgłosić do administracji. W jej wieku grzyb na ścianach może źle się skończyć. Zresztą w każdym. Miałem ten problem w swoim poprzednim mieszkaniu, jestem na tym punkcie wyczulony. Dobra, uciekam. Aha, jak potoczyła się ta historia z twojego dyżuru? Wezwałaś policję?

— Tak, wszystko dobrze — Marta mimowolnie się zaczerwieniła — dzięki za pomoc. I wczoraj, i dzisiaj. Jestem ci dozgonnie wdzięczna.

— Nie ma sprawy. Przecież wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko. — Marta zaczerwieniła się jeszcze bardziej. — Daj znać, czy lek pomógł. W razie czego zmienimy na coś innego.

Marta pożegnała Piotra i wróciła do mieszkania pani Marii. Obejrzała ściany we wszystkich pokojach i przeraziła się. Ciemnych plam było rzeczywiście sporo. Dziwne, że nie zauważyła ich wcześniej. Postanowiła porozmawiać z Apolinarym o odgrzybianiu.

Pani Maria nadal wyglądała nieswojo i Marta postanowiła, że dzisiejszej nocy będzie spać w jej mieszkaniu. Zwłaszcza że miała zamiar podać jej nowy lek. Zajrzała przy okazji do lodówki sąsiadki — świeciła pustkami. Jej własna także wymagała pilnej interwencji, więc zdecydowała się zrobić większe zakupy w nowym „Supersamie” przy placu Unii Lubelskiej. Wysłała SMS-a do Apolinarego, który czekał gdzieś na ulicy, a kiedy ten wrócił już do mieszkania, wybrała się na zakupy. Poszła pieszo, w Warszawie nadal była piękna pogoda i Marta z przyjemnością chłonięła promienie ciepłego słońca.

Na przejściu dla pieszych przy ulicy Boya-Żeleńskiego przystanęła na czerwonym świetle. Zza rogatki wyłaniał się wysoki budynek biurowca zbudowanego na miejscu dawnego „Supersamu”. Zaprojektowało go znane warszawskie biuro architektoniczne i sam w sobie nie wyglądał najgorzej. Ale Marta nadal pamiętała zakupy

w „Supersamie”, a jego trójkątna, modernistyczna bryła kojarzyła jej się z dzieciństwem i babcią. Poza tym nowy biurowiec był stanowczo za wysoki jak na miejsce, w którym stał, i zaburzał piękny widok z Łazienek w stronę Belwederu. Na dodatek okropna reklama jednego z banków, zamontowana na szczycie wieżowca, zawsze rzucała się w oczy i kłóciła się z jej poczuciem estetyki.

W „Supersamie” było sporo osób, ale otwarto kilka kas, więc zakupy poszły jej sprawnie. Rozpoczął się sezon na szparagi i nie mogła powstrzymać się, by nie kupić kilku pęczków. Uwielbiała je w każdej postaci, szczególnie te zielone. Mogła jeść je na śniadanie, obiad i kolację, zwłaszcza krótko obgotowane, polane cytrynową oliwą i posypane parmezanem.

Wieczorem zjawiła się u sąsiadki z laptopem. Miała nadzieję, że dziś może rozszerzy poszukiwania związane z Jerzym Żakowskim i zdobędzie wreszcie jakieś informacje na jego temat. Chciała znaleźć punkt zaczepienia. Śledztwo związane z morderstwem jej rodziców zostało przed laty umorzona, a babcia nigdy nie rozmawiała o nim z wnuczkami, zwłaszcza z Martą. Terapia Marty zajęła długie lata i babcia nie chciała psuć jej efektów żadnym nieostrożnym wspomnieniem. Jednak jej samej gromadzenie informacji w sprawie morderstwa córki i zięcia zajęło znaczną część życia. Marcie nieraz udało się podsłuchać rozmowy babci z policją i z panią Marią. Widziała też, że babcia w specjalnej teczce gromadzi dokumenty związane ze zbrodnią. Nigdy nie udało jej się tej teczki odnaleźć, ale niewykluczone, że leżała gdzieś w składziku, między porcelaną z Ćmielowa a kopiami zapłaconych rachunków. Był to istotny powód, by w końcu zabrać się do porządków.

Poszła spać dopiero po północy, nie natrafiwszy w sieci na nic konkretnego. Spała bardzo niespokojnie. Śniło jej się, że ktoś chodzi po mieszkaniu pani Marii. Słyszała wyraźne kroki na korytarzu, a przez szybę w drzwiach widziała poruszające się światło. Ktoś szarpnął za klamkę i wszedł do pokoju. Dostrzegła cień, który zbliżał się do jej łóżka. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Cień stanął obok łóżka i pochylił się nad nią. Przerażona, rozpoznała twarz intruza. Był to Żakowski. Miał na sobie piżamę, zupełnie jak wtedy, w szpitalu. W dłoni trzymał nóż. Był to taki sam nóż jak ten, którym zabił jej matkę. Uniósł go w górę. Marta nie mogła się poruszyć. Zamknęła oczy, czekając, aż ostrze wbije się w jej ciało. Nabierała powietrza, łykając je haustami jak ryba bez wody, próbując wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Wtedy się przebudziła.

I dopiero wówczas krzyknęła naprawdę. Nad sobą zobaczyła pochyloną twarz, ale nie był to Żakowski. Na krześle przy łóżku siedziała pani Maria. Bładość jej skóry wydawała się w ciemności pokoju wręcz fluorescencyjna. Patrzyła na Martę w dziwny, niewidzący sposób, jakby poprzez nią.

— Pani Mario, wszystko dobrze? Dlaczego pani nie śpi? Co się stało? — Marta wstała z łóżka, aby objąć sąsiadkę. W tej samej chwili z kuchni dobiegły ją dźwięki czyjeś obecności. — Pani Mario, kto jest w mieszkaniu? Wpuściła pani kogoś? Czy to Apolinary? Polik, to ty? — W odpowiedzi usłyszała tylko dźwięk tłuczonego szkła. Była przerażona, zupełnie jak przed chwilą w swym śnie. Sięgnęła po komórkę, aby zadzwonić po policję, ale nigdzie nie mogła jej znaleźć. Pani Maria siedziała w bezruchu i wpatrywała się w miejsce, w którym do niedawna leżała Marta.

Marta rozejrzała się po niewielkim pokoju w poszukiwaniu ewentualnego narzędzia do samoobrony. Jedynym, co mogło się nadać, była drewniana figurka hipopotama, zapewne przywieziona pani Marii z egzotycznych wakacji przez któreś z dzieci lub

wnuków. Rzeźba była dość ciężka. Wyrzeźbiono ją z solidnego kawałka drewna i, przy odrobinie szczęścia, faktycznie mogła wyrządzić komuś krzywdę.

— Niech pani idzie za mną, ja wejdę do kuchni, a pani wtedy wyjdzie na klatkę schodową. — Żeby wydostać się z mieszkania, trzeba było przejść obok kuchni. — Gdybym zaczęła krzyżeć, proszę dzwonić do sąsiadów po pomoc. — Pani Maria nadal siedziała nieruchomo i nic nie wskazywało na to, by w ogóle zrozumiała, co do niej powiedziano. Marta była zdana tylko na siebie.

Pokój, w którym obie teraz przebywały, położony był na końcu mieszkania. Marta próbowała iść najciszej jak mogła, ale stary parkiet na podłodze bardzo to utrudniał. W kuchni ktoś odkręcił kran, więc mogła już wykluczyć zwierzę jako przyczynę hałasu. Co prawda, w kamienicy nigdy nie było problemu z myszami ani szczurami, ale oczywiście brała pod uwagę takie wyjaśnienie. Zawsze było lepsze niż... no właśnie, niż co? Włamanie? Czy włamywacz odkręcałby kran w mieszkaniu, które zamierzał splądrować? Ale w takim razie kto? Marta zbliżała się do drzwi kuchni. Światło w środku było zapalone i częściowo oświetlało również korytarz. Marta ostrożnie zajrzała do środka i zamarła. Poczowała jak miękną jej nogi. Miała nadzieję, że to znowu sen i że za chwilę ponownie się obudzi. Sny we śnie nie należały przecież do rzadkości. W kuchni obok zlewu kłęczała pani Maria i zbierała z podłogi szkło.

— Martusia? Obudziłam cię? Przepraszam, rozbiłam niechący szklankę. Nie mogłam spać. Może przez ten nowy lek, sama nie wiem. Musiałam się czymś zająć, a nie namoczyłam wczoraj naczyń w zlewie. Jak już zaczęłam nalewać wodę, to pomyślałam, że właściwie mogę je od razu umyć. Ta szklanka... Martusia? Co się stało? Marta?

Marta pobiegła do pokoju, w którym spała. Nie było w nim nikogo. Na krześle, na którym przed chwilą widziała panią Marię, leżała komórka i laptop.

— Marta, co się stało? — Sąsiadka stała w drzwiach pokoju, wycierając mokre ręce kuchenną ścierką.

— Nic, zupełnie nic. Myślałam, że dzwoni mi komórka. — Marta starała się zachowywać normalnie, choć czuła, że piżama przykleja jej się do pleców. — Nie obudziła mnie pani, nie spałam. Też nie mogę spać.

— Zrobić ci ziołowej herbaty?

„Raczej podać neuroleptyk” — pomyślała Marta.

— Tak, chętnie — powiedziała. Spojrzała na zegarek. Było krótko po czwartej. Budzik nastawiony był na szóstą trzydzieści, więc na sen dzisiaj raczej nie miała już szans. Wypiła herbatę i wróciła do łóżka. Nie gasiła światła, bo to, co ją spotkało, było tak przerażające, że bała się siedzieć po ciemku. Nie wierzyła w duchy ani zjawiska nadprzyrodzone, choć w „Błęńskiej” nasłuchiwała się przeróżnych historii. Teraz, po raz pierwszy w życiu, sama miała takie doświadczenie, dlatego intensywnie starała się znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie. Pomyślała o rzeczach, które dziś jadła i piła, może to był jakiś trop — przypadkowe spożycie halucynogenu. Ziołowa herbata, którą właśnie w siebie wlała... Pani Maria zachowuje się dziwnie, może to skutek ziół? Przecież Marta nawet nie sprawdziła, co zawierała mieszanka, którą sąsiadka jej zaserwowała. W pierwszym odruchu miała ochotę sprowokować wymioty, ale uświadomiła sobie, że wypiła herbatę dopiero przed momentem. Wcześniej piła i jadła wyłącznie rzeczy, które sama przygotowała.

Wtedy spojrzała na szarą pleśń za łóżkiem. Czyżby...? Nigdy nie słyszała, aby pleśń powodowała urojenia... Nasilenie astmy czy alergie, owszem. Ale halucynacje? Na

wszelki wypadek zeszkrobała kawałek tynku ze ściany. Zaniesie go jutro do Krainy Oz, jak nazywano w „Błęńskiej” budynek, który mieścił szpitalne laboratorium oraz zakład patomorfologii. Nie mając nic lepszego do roboty, otworzyła laptopa i zaczęła wyszukiwać informacje na temat nawiedzonych miejsc w Warszawie. O ulicy Mokotowskiej nie było nic. Oprócz „Błęńskiej” wyniki dotyczyły głównie Muranowa, dzielnicy zbudowanej na ruinach getta. Podobno nigdy nie uprzątnięto gruzów, które pogrzebały setki ciał, po prostu zbudowano na nich nowe osiedle. Czasami, podczas prac ziemnych, wykopywano ludzkie kości i przedmioty należące do przedwojennych mieszkańców. Czytała relacje współczesnych mieszkańców Muranowa, będących świadkami paranormalnych zdarzeń na strychach czy w piwnicach bloków. A nawet we własnych mieszkaniach. Podobno drzwi potrafiły same otwierać się i zamykać, a na schodach widywano lewitujące postacie. Natknęła się na wywiad z pewnym emerytem, który twierdził, że przez lata prześladował go dybuk, i pomogła dopiero interwencja rabina. Czytając opowieść o tym, co działo się w mieszkaniu mężczyzny, Marta dostała gęsiej skórki i z ulgą zamknęła laptopa, gdy wreszcie zadzwonił budzik.



## Rozdział 7

Na oddziale zakaźnym nadal nic nie było wiadomo na temat śmierci Szymańskiego. Wszyscy zostali już przesłuchani przez policję, niektórzy nawet kilka razy, ale jak na razie śledztwo nie posunęło się do przodu. Leszek Skalski wyraził nadzieję, że morderca nigdy nie zostanie odnaleziony, a gdyby jednak go złapano, sprawca powinien otrzymać nadzwyczajne złagodzenie kary. Jakieś upomnienie czy coś w tym stylu. Wszyscy zgromadzeni w gabinecie lekarskim popatrzyli na niego z udawanym potępieniem, ale większość miała dokładnie takie same odczucia. Szymański nie oszczędzał nikogo z obecnych. Mobbing stanowił jego hobby.

Jednak Martę bardziej interesował inny zgon.

— A jak tam ortopedzi? Czytają czasem Szczeklika czy nadal potrzebują konsultanta do każdej leukocytozy? Kiedyś na dyżurze wezwali mnie do gorączki, a pacjent nie miał nawet trzydziestu ośmiu — rzuciła w powietrze, licząc na to, że ktoś podejmie temat.

— Ostatnio, na szczęście, odpuścili. Chyba Stary coś im w końcu powiedział. Mieliliśmy niedawno jakąś konsultację, ale stan pacjenta rzeczywiście był poważny. Wydaje mi się, że przenieśli go na OIT.

— Tak? A pamiętasz, jak ten pacjent się nazywał?

— Nie, musiałbym sprawdzić. Czemu?

— Nie, nie sprawdzaj, pytam z ciekawości. — Marta zalogowała się w szpitalnym systemie, wchodząc w rejestr osobowy pacjentów oddziału intensywnej terapii. Szybko przebiegła wzrokiem listę i poczuła uderzenie gorąca. Zobaczyła na niej Żakowskiego. Został wypisany z oddziału wczoraj, ale tryb wypisu mogłaby sprawdzić tylko w jeden sposób — klikając w jego nazwisko, co niewątpliwie zostałyby odnotowane w pamięci systemu informatycznego szpitala. A tego chciała uniknąć, bo jak dotąd żaden ślad nie łączył jej z Żakowskim. I nie zamierzała, by jakikolwiek połączył ją w przyszłości.

Miała już kolejny powód, by odwiedzić Krainę Oz, która znajdowała się na drugim końcu szpitalnego parku, w budynku wyglądającym jak ogromny dworek szlachecki. Na początku istnienia szpitala mieściły się tu mieszkania lekarzy, ale wiele lat temu zdecydowano, by przenieść do niego centralne laboratorium oraz patomorfologię. Obiekt położony był w najładniejszej części parku, dlatego chętnie zapuszczali się w tę okolice zarówno pacjenci, jak i ich rodziny. Miejsce to, w ocenie wszystkich, miało wyjątkowy urok, a drzewa poranione kulami podczas wojny wzbudzały refleksje tylko u najstarszych mieszkańców Warszawy.

Budynek został nazwany przez pracowników „Błęńskiej” Krainą Oz z dwóch powodów. Po pierwsze, prowadziła do niego ścieżka wybrukowana żółtą kostką. Po drugie, ta część szpitala była swoistą wyrocznią — padały tu odpowiedzi na wiele pytań związanych z procesem diagnostycznym pacjentów. Odpowiedzi, które mogły być kluczowe dla przyszłości wielu z nich. Dla Marty był jeszcze trzeci powód — tutaj pracowała jej najlepsza przyjaciółka ze studiów, Dorota Kraheńska.

Dorota była najlepszą studentką na roku. Przy tym, co rzadko idzie w parze, również jedną z najbardziej lubianych. Towarzyska, kontaktowa i bardzo pomocna,

aktywnie udzielała się w samorządzie studenckim i chętnie pomagała w nauce tym, którzy mieli problemy z zaliczeniem egzaminów. Od początku studiów pragnęła zostać patomorfologiem, co wielu uważało za dziwactwo, które jej z czasem przejdzie. Kiedy uzyskała najlepszy wynik na egzaminie końcowym, wszyscy sądzili, że będzie jednak ubiegać się o przyjęcie na rezydenturę z dermatologii, okulistyki czy radiologii — specjalizacji powszechnie uważanych za dochodowe. Ale Dorota była konsekwentna i wybrała patomorfologię, tak jak zapowiadała. Mimo młodego wieku, została kierownikiem zakładu patomorfologii w „Błęńskiej” i intensywnie pracowała nad swoją habilitacją.

Marta i Dorota zaprzyjaźniły się po pierwszym roku studiów, kiedy wspólnie pracowały na pediatrii w ramach obowiązkowych praktyk wakacyjnych. Razem z nimi odbywał je Norbert Krahelski, starszy od nich o dwa lata. Cała trójka żyła się ze sobą tak bardzo, że nawet po zakończeniu praktyk kontynuowali wspólne spotkania przy piwie oraz wyjścia do kina czy na koncerty. Po jakimś czasie Marta zauważyła, że między Dorotą i Norbertem zaczyna rozwijać się coś więcej niż przyjaźń. Pobrali się jeszcze na studiach, a rok po tym, jak skończyła je Dorota, urodził się Adaś. Marta była druhną na weselu, została również matką chrzestną małego. Po śmierci babci spędzała z nimi święta (Kamila z mężem często wyjeżdżali na święta z Warszawy) i traktowała ich jak własną rodzinę.

Norbert wybrał specjalizację z pediatrii. W trakcie rezydentury dorabiał do niewielkiej szpitalnej pensji, jeżdżąc w karetce jako lekarz zespołu ratowniczego. Miesiąc przed egzaminem specjalizacyjnym został zaatakowany nożem przez agresywnego pacjenta, którego znaleziono nieprzytomnego w jakimś mieszkaniu-melinie. Jak się później okazało, człowiek ten przedawkował heroinę. W czasie transportu do szpitala doszło u niego do zatrzymania krążenia i Norbert podjął akcję reanimacyjną. Bardzo skuteczną. Tuż po odzyskaniu przytomności pacjent wyjął nóż, o którym załoga karetki nie miała pojęcia, i wbił go w klatkę piersiową najbliższej siedzącej osoby — Norberta. Niestety, wiedział, jak się nim posługiwać, i Norbert zmarł krótko po tym, jak dowieziono go do szpitala.

Po śmierci Norberta jego zabójca nie trafił do więzienia. Uzależnienie mieszane oraz schizofrenia paranoidalna, będąca rezultatem przyjmowania opiatów, potraktowane zostały jako okoliczności łagodzące. Umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym i po dwóch latach zwolniono. Marta spotykała go czasem na oddziale zamkniętym — był zakażony HIV, poddawano go leczeniu antyretrowirusowemu oraz, oczywiście, regularnie otrzymywał metadon.

— Chce mi się wyć, kiedy widzę tę kreaturę. — Marta zwierzała się niedawno Dorocie. — Ma rentę, mieszkanie opłacane przez miasto i otrzymuje paczki z Banku Żywności. Ostatnio słyszałam, jak poucza pracownika socjalnego, które jogurty ma zapakować, a które może sobie wsadzić w dupę. Użył dokładnie tego określenia. Leki na HIV, które przyjmował do tej pory, okazały się nieskuteczne. Brał je, jak chciał i wirus zmutował, stał się oporny. Marchlewski włączył mu zestaw drugiego rzutu, za piętnaście tysięcy miesięcznie. Oczywiście wszystko z publicznych składek zdrowotnych. W tym moich. Czuję się, jakby ktoś napluł mi w twarz. Twój mąż, ojciec twojego dziecka a mój przyjaciel nie żyje, a ta szuja chodzi bezkarnie po świecie. Na dodatek traktowany jest jak jakiś książe. Wiesz, mam ochotę go zamordować. Autentycznie o tym myślę.

— Nie wskrzesisz w ten sposób Norberta i niczego nie zmienisz. Za to trafisz do więzienia i stracę również siebie — odpowiedziała wówczas Dorota, która nie wierzyła, by Marta mogła faktycznie kogokolwiek zabić. Czuła się jednak w obowiązku, by studzić emocje przyjaciółki. Mimo że kochała Norberta bardziej niż kogokolwiek na tym świecie, a po jego śmierci to głównie Adaś nadawał sens jej życiu, już dawno wybaczyła zabójcy męża. Wierzyła, że tak trzeba. W Marcie gniew nie zgasł mimo upływu lat, a każde wspomnienie Norberta wywoływało na nowo poczucie krzywdy. Dorota była pewna, że duży wpływ na odczucia przyjaciółki miało makabryczne morderstwo jej rodziców. Nie mogła jednak nic na to poradzić.

Marta weszła do Krainy Oz przez ogromne, drewniane drzwi i skierowała się do sali prosektorium. Sekretarka powiedziała, że tam właśnie znajdzie Dorotę. Rzeczywiście, już od progu dostrzegła przyjaciółkę pochyloną nad stołem sekcyjnym. Na stole leżała wychudzona kobieta w wieku około siedemdziesięciu lat. Obok Marta dostrzegła mózg, płuca i serce nieboszczki. Dorota natomiast z uwagą kroїła na plastry jej wątrobę.

— Spójrz, piękny rak wątrobowokomórkowy, już dawno takiego nie widziałam. Ogromny. Nieprawdopodobne, że pacjentka nie umarła wcześniej. — Pokazała Marcie jeden z bezkształtnych kawałków.

— Faktycznie, uroczy.

— Widzę, że cię nie zachwycił.

— Za to ty jesteś w swoim żywiole. — Dorota uwielbiała przeprowadzać sekcje zwłok. Należało to do jej obowiązków. Autopsji nie było jednak w szpitalu zbyt wiele. W przypadku większości zmarłych pacjentów odstępowano od sekcji na życzenie rodziny. Można było tak zrobić, gdy przyczyna śmierci była oczywista. Jako patomorfolog Dorota wykonywała głównie oceny preparatów histopatologicznych dla oddziałów zabiegowych i dla onkologii. Było to dla niej zajęcie monotonne. Dodatkowo pracowała jako lekarz sądowy (to była jej druga specjalizacja), wykonując sekcje osób zmarłych w dramatycznych okolicznościach i ustalając przyczynę ich śmierci. Marta wiedziała, że jej przyjaciółka najchętniej zajmowałaby się tylko sekcjami, ale ocena preparatów pod mikroskopem była bardziej dochodowym zajęciem i pochłaniała mniej czasu. Dorota była zaś samotną matką, miała na utrzymaniu dziecko i siebie.

— Żebyś wiedziała. Właśnie widzisz przed sobą przykład prawa serii. Przez długie tygodnie nie przysyłają mi nikogo do krojenia, a tu bum, trzecie zwłoki w ciągu kilku dni.

— Tak? Kto jeszcze umarł? — Marta starała się, by jej głos brzmiał obojętnie.

— Młoda dziewczyna z wewnętrznego i facet z ortopedii.

— Z ortopedii? Kto? Konsultowałam tam ostatnio kilku pacjentów.

— Wszyscy tam kogoś konsultowali. Co ortopedzi zrobiliby bez lekarzy innych specjalności... Nie pamiętam nazwiska. Czekaj. Jakiś Żurawski... Żakowski... Tak, Żakowski. Jerzy Żakowski. To któryś z twoich?

— Nie, pierwszy raz słyszę. Na co zmarł? Chyba za często im tam pacjenci nie schodzą?

— Rzadko. Jak już to ci po wypadkach, z urazami wielonarządowymi. Planowi bardzo rzadko. Ten był przyjęciem planowym, wymiana biodra. Myślałam, że może jakiś zator, ale okazało się, że niewydolność wielonarządowa. Posocznica, sądząc po dokumentacji. Włączyli mu ostry koktajl antybiotykowy, ale na nic nie zareagował.

„A zatem tryb wypisu — zgon pacjenta” — pomyślała Marta. Poczwała ulgę. I znów wyrzuty sumienia z powodu braku wyrzutów sumienia.

— Wiesz — kontynuowała Dorota — zdziwiłam się, bo dziś pytał o niego prokurator.

Marta poczuła na plecach chłód.

— Rodzina chce skarżyć ortopedów o błąd w sztuce?

— Nie, chodzi o coś innego. Był znany policji, zamieszany w jakąś sprawę kryminalną. Nie wiem, nie powiedzieli mi dokładnie, o co chodzi. Chcieli tylko wykluczyć udział osób trzecich.

— I co powiedziałaś?

— Sprawa jest jasna. Przyczyna zgonu była naturalna, jeśli tak to mogę określić. Nagła, ale żadnego celowego działania tu nie było.

Chłód ustąpił.

— Nie mogę jednak przestać o tym myśleć. Może to głupie, ale zastanawiam się, czy ten człowiek nie był przypadkiem zamieszany w morderstwa kobiet na Mokotowie.

— „Bestia z Mokotowa”? Myślisz, że on mógł być tym mordercą?

— Nie wiem, ale sposób, w jaki prokurator zadawał mi pytania... I mam wrażenie, że sam sugerował jakieś powiązania... Wspominałam ci już kiedyś, że przeprowadzałam autopsję dwóch zamordowanych przez „Bestię” kobiet. To najbardziej brutalne zabójstwa, jakie w życiu widziałam. Morderca czerpał perwersyjną przyjemność z ich śmierci, torturował je w niewyobrażalny sposób. Wiesz, że dwie ostatnie ofiary preparował za życia?

— Jak to preparował?

— Pamiętasz zajęcia z anatomii na pierwszym roku? Właśnie tak. Wybierał jakąś konkretną część ciała, w przypadku jednej z ofiar była to dłoń, a drugiej — stopa. Najpierw oddzielał skórę, potem przecinał kolejne struktury. Robił to oczywiście nieumiejętnie, ale myślę, że korzystał z atlasu anatomicznego albo jakiegoś innego źródła informacji. Nie wiem, w jakim celu robił te pseudosekcje. Być może po to, by zwiększyć cierpienie swych ofiar. Może to go kręciło. Poza próbami zabawy w von-Hagensa ciała nosiły też ślady innych obrażeń, zadanych ostrymi i tępymi narzędziami. Na sam koniec miażdżył im głowy.

— To potworne — Marta była zszokowana — nie podają takich informacji w mediach. Mówią tylko, że morderstwa były brutalne.

— Dla dobra rodzin i śledztwa nie powinni podawać nic więcej. A wracając do tego Żakowskiego, tak jak ci wspominałam, pytania prokuratora sugerowały, że mógł mieć coś wspólnego ze sprawą tych morderstw. Tak przynajmniej te pytania odebrałam. Dziwne to wszystko, najpierw Szymański zamordowany na dyżurze, teraz jakiś Żakowski, który umiera naturalnie, ale jednak w niezbyt naturalnych okolicznościach... No, ale tak dawno się nie widziałyśmy, a ja gadam tylko o pracy. — Zreflektowała się nagle Dorota. — Co u Ciebie słysząc, Marta? Przyszłaś do mnie towarzysko?

— Wyobraź sobie, że tym razem nawet nie przyszłam do ciebie. Ale będąc w okolicy, postanowiłam sprawdzić, co porabia moja najlepsza przyjaciółka. Jak widzę, to samo, co zawsze.

— W trwałym i niezmiennym szukaj oparcia...

Marta spytała jeszcze, jak ma się jej chrześniak i pożegnała Dorotę, umawiając się z nią na kawę i plotki po pracy. Przyszła do Krainy Oz, by dowiedzieć się, czy

Żakowski nie żyje, ale również i po to, by załatwić sprawę w pracowni mykologicznej. Jej nieobecność na oddziale zakaźnym mogła zostać zauważona w każdej chwili. I tak dziwiła się, że jak dotąd nikt jeszcze nie potrzebował jej tu i teraz, natychmiast.

Przeszła przez sekretariat, wspólny dla zakładu patomorfologii oraz centralnego laboratorium, którego częścią była pracownia mykologiczna. Pomachała sekretarce, pani Hannie, ta odmachała perfekcyjnie wymodelowanymi w szpic hybrydami w odcieniu hawajskiego błękitu.

Widok paznokci sekretarki przypomniał Marcie opowieść Doroty o tym, jak po śmierci Norberta poszła do banku, aby zamknąć ich wspólne konto. Usłyszała, że jest to niemożliwe, bo do zamknięcia konta potrzebna jest zgoda męża.

— Ale przecież ja właśnie pani powiedziałam, że mój mąż zmarł. Trzyma pani w ręku jego akt zgonu.

— To prawda, ale nasze procedury mówią wyraźnie, że do zamknięcia konta bankowego potrzebna jest zgoda wszystkich współwłaścicieli.

— Proszę pani, to jakiś absurd, mój mąż nie żyje, jak miałby wyrazić na to zgodę?

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę pani pomóc. Bez oświadczenia woli pani męża nie mogę zamknąć tego konta.

— Wiesz, Marta — opowiadała już po wszystkim Dorota — siedziałam tam przed nią, z aktem zgonu, który dostałam tydzień wcześniej, z oczami opuchniętymi od płaczu, słuchając tych idiotyzmów, a jedyne, o czym mogłam myśleć w tamtej chwili, to jej długie, niebieskie paznokcie. Siedziałam tam i zastanawiałam się, jak ona się nimi podciera. W wyobraźni widziałam drobinki kału wcisnięte głęboko pod płytkę paznokcia. Czy to nie głupie?

Od tej pory ta historia przypominała się Marcie za każdym razem, kiedy widziała kobietę z długimi szponami. Również teraz wyobraziła sobie hybrydy pani Hanny w połączeniu z papierem toaletowym. To dopiero było głupie!

Weszła do centralnego laboratorium. Nawet gdyby nie wiedziała, gdzie właśnie przebywa, zapach od razu by jej to zdradził. Kojarzyła go jeszcze ze studiów. Tak pachniały zajęcia z mikrobiologii, na których studenci medycyny prowadzili hodowlę kolonii bakterii na płytkach Petriego. Zaopatrzeni w ezy z pietyzmem pobierali materiał biologiczny i kreślili zygzaki na miękkim podłożu. Potem sterylizowali ezy nad palnikami, żeby pozbyć się drobnoustrojów, i powtarzali czynności z nowymi koloniami. Gdy kolonie wyrastały, tworzyli preparaty i pod okularum mikroskopu upewniali się, co tak naprawdę wyhodowali. Zapach, który towarzyszył koloniom bakterii, podłożom i różnym odczytnikom chemicznym, a który teraz wyraźnie wyczuwała we wdychanym powietrzu, był bardzo charakterystyczny. Dorota nazwała go kiedyś „smrodem starych smarków”.

Pracownia mykologiczna położona była na końcu, ale przechodząc obok pokoju socjalnego, dostrzegła osobę, której szukała.

— Witaj, Marku, przyszłam spytać, co u ciebie słychać.

— Marta, ty jeszcze nigdy nie przyszłaś bezinteresownie. Ale i tak cię lubię — Marek odpowiedział z pełnymi ustami, bo właśnie kończył jeść kanapkę. Był specjalistą mikrobiologii lekarskiej i od kilku lat pisał doktorat z zakażeń grzybiczych. Mykologia była jego pasją i Marta nie mogła zrozumieć, dlaczego napisanie doktoratu z dziedziny, którą uwielbia, zajmuje mu tyle czasu. To prawda, z rzadka przychodziła do laboratorium wyłącznie w celach towarzyskich, ale wiele razy pomagała Markowi zawodowo, nie oczekując rewanżu z jego strony, więc wiedziała, że nie będzie mógł jej

odmówić. Wyjęła pojemnik z kawałkami tynku przerośniętego pleśnią i zamachała nim przed oczami Marka.

— Mam bardzo małą, tycią prośbę. Potrzebuję zidentyfikować gatunek tej pleśni.

— Skąd to pochodzi?

— To próbka z mieszkania mojej sąsiadki. Długa historia, może kiedyś ci opowiem.

— Wiesz, że powszechnie dostępne preparaty grzybobójcze działają na wszystkie gatunki grzybów w naszych mieszkaniach? Nie musisz ich identyfikować.

— Przecież powiedziałam, że to długa historia. Ten koniecznie muszę.

— Dobra, pod jednym warunkiem. Jeśli wyjdzie coś ciekawego, to chcę znać tę historię ze szczegółami.

— Dlaczego uważasz, że wyjdzie coś ciekawego?

— Bo ty zawsze mnie w coś wkręcasz. Nie narzekam, ale coś mi mówi, że i tym razem nie będzie to żadne *Cladosporium*. Więc jak, umowa? Obiecujesz opowiedzieć mi tę historię?

— Obiecuję. Dostaniesz ją na wyłączność.

Marta wyszła z Krainy Oz i nabrała powietrza, wypełnionego wonią krzewów kwitnących wokół szpitala. Pomyślała, że wiosna to jej ulubiona pora roku. Przechodzący obok mężczyzna z wyglądu przypominał nieco Michała. Z nadzieją zerknęła na ekran komórki, ale nie było żadnej nowej wiadomości.

Wieczorem leżała na kanapie, oglądając jakiś serial i zastanawiając się, czy powinna odezwać się pierwsza. Wtedy rozległ się dźwięk domofonu.

— Dobry wieczór, tu policja. Otrzymaliśmy informację, że podobno lubi pani zapiekanki. Musimy to sprawdzić. Nasz jednoosobowy patrol właśnie w tej chwili czeka przed wejściem do budynku, żeby eskortować panią do placu Zbawiciela. Funkcjonariusza już pani zna.

Marta roześmiała się, założyła kurtkę i sfrunęła w dół po schodach, myśląc o tym, że rzeczywiście lubi zapiekanki, zwłaszcza jedzone w towarzystwie pewnego przystojnego stróża prawa.

## Rozdział 8

— Kiedy doczekam się śniadania przygotowanego przez ciebie? — Marta stała nago w swojej kuchni, smarując chleb masłem.

— Wierz mi, byłoby to dla ciebie wydarzenie traumatyczne. Lepiej, żeby nigdy nie miało miejsca. — Michał porwał ze stołu kromkę, zanim Marta zdążyła położyć na niej plaster pomidora. Przy okazji całował ją dłuższą chwilę w szyję, zostawiając ślad, który z pewnością wzbudzi ciekawość Doroty. Marta umówiła się z nią po południu i już teraz zastanawiała się, czy powinna wspomnieć o Michale. Znali się zaledwie kilka dni, poza tym „znali” nie było najodpowiedniejszym słowem. To prawda, od pierwszej chwili wybuchła między nimi namiętność, fizycznie nie mieli siebie dość, ale trudno to przecież nazwać znajomością. Nie rozmawiali dotąd o niczym ważnym. Właściwie to rozmawiali raczej niewiele i Marta nie była pewna, czy w ogóle mają szansę na coś więcej niż niezobowiązujący seks. Zresztą nie szukała związku. Rozwód z Mikołajem pochłoniął tyle energii, że zobowiązania na razie ją zniechęcały. Jednocześnie była zbyt staroświecka, by szukać rozrywki na jedną noc przez Tindera albo inne tego typu wynalazki. Poza tym, ze względu na pracę, mogłoby to skończyć się dla niej niezręcznie. Co jeśli facet, z którym właśnie się przespała, któregoś dnia okazałby się jej pacjentem? Z Michałem sprawa była łatwiejsza. Wszystko stało się spontanicznie, bez jej inicjatywy. Był sympatyczny, szarmancki, miał poczucie humoru. I praktycznie nic o nim nie wiedziała, co dodawało pikanterii ich spotkaniom. A jednocześnie nie był obcy, znała jego nazwisko, wiedziała, że jest policjantem — raczej nie ryzykowała uduszenia w łazience przez jakiegoś zwyrodnialca.

Nad ostatnim wątkiem zastanowiła się nieco dłużej. Czy faktycznie? Był policjantem, ale czy policjant nie mógłby okazać się mordercą? Podobnie jak strażak piromanem, celowo wywołującym pożary, by je potem gasić? Widziała już przecież takie rzeczy na filmach. I czy rzeczywiście znała nazwisko Michała? Przedstawił się, ale mógł skłamać. Nigdy nie zweryfikowała tego, co powiedział. Nie sprawdziła go, na przykład w Internecie. Nie chciała, nie potrzebowała — ale może jednak powinna?

— Coś się stało? — Michał najwyraźniej dostrzegł na jej twarzy burzę myśli.

— Nie, nic, pomyślałam tylko, że nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy poważnie. O nas, o tym, co lubimy... Co robimy w czasie, kiedy nie jesteśmy ze sobą...

— Jeśli chcesz, to możemy. Zacznijmy od ciebie — jak to się stało, że tak piękna kobieta mieszka sama, na dodatek w tak ogromnym mieszkaniu?

— A skąd wiesz, że mieszkam tu sama?

— Bo nigdy oprócz ciebie nie widziałem tu nikogo innego. A nie jest tak? Mieszka tu ktoś jeszcze?

— Mój mąż. I moje dzieci. Mąż zabrał je na tydzień do teściów. Nie wspominałam o nich wcześniej?

— Dałaś mi słowo, że nikt nie strzeli do mnie z bazooki.

— Dałam słowo, że nie oberwiesz z bazooki od moich braci. Nie wspominałam o mężu. Poza tym on ma inne sposoby na pozbycie się kochanków żony.

Michał uśmiechnął się, ale bez przekonania.

— Tak tylko żartuję. Nie mam męża. Nie mam narzeczonego. Nie mam chłopaka. Nie mam dzieci. Miałam kiedyś męża, ale już nie mam. Nie mam nawet psa, który mógłby cię ugryźć. Jesteś bezpieczny.

— Miało być na poważnie.

— Na poważnie, jesteś bezpieczny. A ja? Też jestem bezpieczna?

— No cóż, mam kota. Ale jeśli będziesz trzymać się z daleka od jego ulubionego fotela, to też będziesz bezpieczna.

— Czyli żadna zazdrosna żona nie zagłąda mi właśnie przez okno?

— Musiałaby użyć drona. Mieszkasz na pierwszym piętrze.

Marta ukłuta go widelcem.

— Auć. Okej, nie mam żony. Nigdy nie miałem. Raz było blisko, ale nic z tego nie wyszło. Policjanci nie są idealnym materiałem na trwałe związki.

— Jak to nie? Podobno masz kota.

— Ciągłe tylko śpi i je. Nigdy nie interesuje się tym, o której wracam i kogo przyprowadzam do sypialni.

— O, to masz własną sypialnię? Bo na razie spotykamy się wyłącznie w mojej. Często do niej kogoś zapraszasz?

— Niezbyt. W swojej lubię spać. A na przykład w twojej najbardziej lubię robić to...

— Podszedł do Marty, żeby zademonstrować. Marta przymknęła oczy.

— Czyli to już koniec naszej poważnej rozmowy?

— Teraz zrobimy sobie przerwę na inne poważne rzeczy. Ale potem możemy kontynuować.

Przenieśli się do sypialni. Seks na blacie kuchennym miał w sobie coś pikantnego, zwłaszcza w razie nagłego przypływu pożądania, ale nie był wolny od wad. Zwykle w najmniej odpowiednich momentach któreś z partnerów natrafiało na zabłąkaną łyżkę lub rozsypane okruchy i romantyzm zamieniał się w komedię. Łóżko było wygodne i Marta mogła skupić się wyłącznie na doznaniach, na dodatek własnych. Michał miał magiczne dłonie. Delikatnie muskał nimi miejsca na jej ciele, które potem obsypywał pocałunkami. Jego język był ciepły i wilgotny i miała wrażenie, że pobudzał w jej skórze miliony zakończeń nerwowych jednocześnie. Był najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała, i z chęcią rewanżowała mu się swoimi pieszczotami.

Kiedy wrócili do rozmowy, było już po trzynastej. Marta miała wolny weekend, bez żadnego dyżuru. To nie zdarzało się często i miała nadzieję, że spędzi go w towarzystwie Michała.

— Może pójdziemy jutro do kina? Dziś po południu umówiłam się z przyjaciółką. Ale niedzielę mam całą wolną. Może pójdziemy na jakiś film albo zrobimy wspólnie coś innego, oprócz tego? — Wskazała ręką na łóżko, w którym leżeli.

— Ale ja najbardziej lubię robić z tobą właśnie to — odpowiedział Michał i pocałował ją w czubek dłoni.

— Nie powiedziałam zamiast tego. Powiedziałam oprócz tego — roześmiała się Marta.

— Chciałbym. Bardzo. Ale jutro pracuję.

— W niedzielę?

— Jestem policjantem. W poniedziałek też nie mogę, będę poza Warszawą. Ale może spotkamy się we wtorek? Kino brzmi super. Ty wybierz film.

— We wtorek mam dyżur.



— Widzę, że lekarze też nie są idealnym materiałem na związku. Za dużo pracujesz, czy ktoś już ci to kiedyś mówił?

Marta pomyślała o Mikołaju. Oboje byli lekarzami, oboje musieli dyżurować. I choć starali się brać dyżury w tym samym czasie, często nie było to możliwe. W rezultacie przebywali ze sobą coraz rzadziej. W trakcie rozwodu Mikołaj zrzucił całą winę za to na Martę.

— Nikt nigdy nie narzekał. Jesteś pierwszy.

— Wybaczali ci, bo masz wiele innych zalet. — Michał znów ją pocałował. Tym razem w usta.

— Tak? Jakich na przykład?

— Na przykład... prowadzisz świetną kuchnię. — Michał uśmiechnął się swoim szelmowskim uśmiechem.

— Jadłeś u mnie tylko jajka i kanapki.

— To były najlepsze jajka i kanapki, jakie jadłem w życiu.

— Nie musisz się tak przymilać. I tak cię lubię.

— Naprawdę? Lubisz mnie? — Udał zaskoczonego.

— Tak, lubię. Chociaż wcale cię nie znam. Chyba wiem więcej o twoim penisie niż o życiu, przekonaniach, marzeniach...

Michał wybuchnął śmiechem.

— I znowu to samo. Przecież już mnie znasz.

— Owszem, powiedziałeś, jak się nazywasz. Ale może zmyśliłeś to nazwisko i jesteś kimś zupełnie innym.

— Jestem Michałem Łazowskim, tak jak powiedziałem. Dlaczego miałbym kłamać?

— Nie wiem, ludzie kłamią z różnych powodów. Może na przykład, wbrew temu, co mówisz, istnieje jakaś pani Łazowska czekająca na zapracowanego męża. A może nie lubisz zobowiązań i któregoś dnia planujesz po prostu zniknąć z mojego życia. Bez niepotrzebnych wyjaśnień, bez tego całego dramatu. A może jesteś „Bestią z Mokotowa” i nie zdradzasz swej tożsamości z oczywistych powodów...

— Dlaczego wspomniałaś „Bestię z Mokotowa”? — Michał nagle spoważniał.

— Nie wiem, tak jakoś przyszło mi to do głowy. Wszyscy o nim mówią. W radiu, w telewizji. Przestrzegają kobiety przed nieznanymi. A ja, co robię? Sypiam z takim jednym.

— Marta, powiedziałem ci prawdę. Michał Łazowski to moje prawdziwe nazwisko.

— Wstał z łóżka, podniósł spodnie i wyjął portfel. Wrócił do Marty i podał jej plastikowy kartonik.

— Hej, no coś ty, droczyłam się tylko. Nie musisz się przede mną legitymować. To już przesada. — Marta broniła się, ale w końcu wzięła do ręki jego dowód osobisty. — Michał Eugeniusz Łazowski? Eugeniusz Łazowski?!

— Zaczyna się. — Michał przewrócił oczami. — Wiem, że to staroświeckie imię. Nie musisz się nabijać.

— Eugeniusz Łazowski — powtórzyła Marta, otwierając szeroko oczy. — Czy twoja rodzina nie pochodzi czasem ze Stałowej Woli?

— Tak, moi rodzice nadal tam mieszkają. Ja przyjechałem na studia do Warszawy i już tu zostałem. Skąd wiesz?

— Tak jakoś przyszło mi to do głowy. Ze względu na pewien zbieg okoliczności. Eugeniusz Łazowski to bardzo znana postać wśród polskich lekarzy. Jesteś z nim spokrewniony?

— Nie, nie jestem, to akurat przypadkowa zbieżność nazwisk. Ale rzeczywiście, drugie imię otrzymałem przez pamięć o nim. Tak przynajmniej twierdzą moi rodzice. Nieprawdopodobne, jesteś pierwszą osobą spoza Stalowej Woli, która o nim słyszała. Odkąd mieszkam w Warszawie, nikt nigdy nie zwrócił na to uwagi.

Marta interesowała się historią medycyny. Na dodatek ta dotycząca Łazowskiego związana była z jej specjalizacją — chorobami zakaźnymi. Eugeniusz Łazowski podczas drugiej wojny światowej pracował niedaleko Stalowej Woli razem z innym lekarzem, Stanisławem Matulewiczem. Matulewicz odkrył, że krew pacjentów zakażonych pewną niegroźną bakterią o nazwie *Proteus* daje pozytywny wynik testów na tyfus płamisty, wówczas bardzo niebezpieczną chorobę. Matulewicz podzielił się tą wiedzą z Łazowskim, który wpadł na pomysł, by celowo zarażać mieszkańców Stalowej Woli i okolic *Proteusem*. Dzięki temu mogli wykazywać w swoich raportach wysoki odsetek pozytywnych wyników badań w kierunku tyfusu płamistego. W ten sposób udało im się przekonać Niemców, że w okolicy Stalowej Woli panuje epidemia tej choroby i odtąd Niemcy unikali tego miasta jak ognia, bojąc się przeniesienia infekcji na swoich ludzi. Łazowski i Matulewicz przez lata ocalili tysiące mieszkańców przed wywózką na roboty przymusowe do Niemiec oraz śmiercią w obozach koncentracyjnych.

— Łazowski i Matulewicz to wybitne postaci. A ich historia to temat na film. Chciałabym, żeby kiedyś ktoś to nakręcił — westchnęła Marta.

— Czyli tym sposobem poznałaś mój największy sekret, moje drugie imię. I, jak widzisz, zostawiłem cię przy życiu. Czy w takim razie możemy uznać temat „sypiam z nieznanym” za zamknięty?

— No nie wiem, zobacz, ilu ciekawych rzeczy dzięki temu dowiedziałam się o tobie.

— I możesz dowiadywać się kolejnych, tylko przestań podejrzewać mnie o to, że jestem seryjnym mordercą. Moja duma policjanta tego nie zniesie. — Michał schował portfel i zaczął się ubierać. — I ja też chętnie posłuchałbym czegoś o tobie. Pokontynuujmy więc wymianę informacji w śróde, skoro nie możesz we wtorek. Zapraszam cię na prawdziwą randkę, z kinem, tak jak chciałaś. Liczę na wzajemność w opowiadaniu o sobie. W końcu ja też nic o tobie nie wiem. Może tak naprawdę to ty jesteś „Bestią z Mokotowa”.

— Nawet jeśli jestem, to nic ci nie grozi. Giną wyłącznie kobiety. Kolacja, jak rozumiem, u mnie?

— Nie, kolacja tym razem u mnie. Nie gotuję, ale coś wymyślę. Nie patrz tak, myślałem, że chcesz poznać mojego kota. I przekonać się, że żadna pani Łazowska nie dzieli ze mną sypialni.

Po wyjściu Michała Marta długo myślała o jego zaproszeniu. Wyglądało na to, że niezobowiązujący seks zaczynał zmieniać się w obiecującą znajomość. Z policjantem, co być może nie było najlepszym pomysłem. W końcu miała na sumieniu zabójstwo człowieka. Z drugiej strony, jej sumienie od czasu pamiętnego wieczoru na ortopedii było ślepe, głuche i nieme. Prawie w ogóle nie myślała o tamtej nocy. Spało jej się cudownie, nie pamiętała, kiedy ostatni raz wstawała tak wypoczęta. Na dodatek nie było żadnych dowodów na jej udział w śmierci Żakowskiego. Ba, nie było żadnych dowodów na to, by w jego śmierć zamieszany był ktokolwiek. Powikłania po zabiegach przecież się zdarzają, a zakażenia nadal mogą kończyć się śmiercią pacjentów, mimo powszechnego dostępu do antybiotyków. To była sprawa oczywista. Tak, Marta była spokojna, że nikt, tym bardziej Michał, nie powiąże jej z Żakowskim. A jego

możliwości i znajomości mogły jej się jeszcze przydać. Przecież chciała dopaść drugiego mordercę rodziców i dowiedzieć się czegoś więcej o ich śmierci. Czuła, że była na to gotowa. A Michał mógł jej w tym bardzo pomóc.

Krótko przed czwartą wyszła z mieszkania. Była umówiona z Dorotą punkt czwarta, ale miały się spotkać przy placu Konstytucji, zaledwie trzysta metrów od Mokotowskiej, a Dorota zawsze się spóźniała, więc Marta nie musiała się spieszyć.

Idąc wzdłuż Mokotowskiej, a następnie Koszykowej, mijają zaparkowane samochody. Każdy z nich miał wetkniętą za wycieraczkę niewielką ulotkę. Przechodząc obok, czytała zachęcające reklamy: „Ania i Iza. Całodobowo”, „Magda — po francusku też bez”, „Zapraszamy wszystkich kibiców — strzel gola”. Ta część Śródmieścia miała dobrą opinię, Marta nie widywała tu żadnych szemranych typów. A jednak nie było dnia, aby takie ulotki nie zjawiały się na szybach aut. Kreatywność agencji towarzyskich była przy tym imponująca — jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej przeczytać dwóch takich samych haseł.

Był kolejny piękny dzień i miały z Dorotą posiedzieć na zewnątrz. Ustaliły, że pierwsza, która dotrze do placu Konstytucji zajmie miejsce w ogródku restauracji „Manneken”. Oczywiście była to Marta. O dziwo, kolejka oczekujących na stolik była krótka i Marcie udało się usiąść w dość prywatnym kącie, ocienionym wielkim krzewem. Tak jak lubiła. Na dodatek krzew okazał się kawowcem, który zaczynał kwitnąć. Z wielkim zainteresowaniem przyjrzała się kwiatom. Ciekawe, czy dałoby się takiego giganta wyhodować w mieszkaniu? Poczowała pragnienie, ale zdecydowała poczekać z zamówieniem na Dorotę. Na szczęście ta przyszła już po kilku minutach.

— Dlaczego zawsze musimy umawiać się gdzieś w Śródmieściu? — Dorota nie byłaby sobą, gdyby o to nie spytała.

— Bo obie mamy tu dobry dojazd.

— To znaczy ty masz dobry dojazd, a raczej dojście piesze. Ja muszę przedzierać się przez całe miasto.

— Bo mieszkasz na Białołęce. Ty masz dobry dojazd tylko na Białołękę — roześmiała się Marta. — Ale jak ktoś chciał dom z ogródkiem...

— I mnóstwo terenów zielonych. Nie zapominaj o przyrodzie. — Dorota miała psa i ośmioletniego syna. Nikomu nie pozwalała zapomnieć, co liczyło się dla niej najbardziej. — A tak przy okazji tematu metrów kwadratowych. Spłaciłaś już Kamili tę jej połowę po babci?

Podeszła kelnerka. Obie wybrały po lemoniadzie. Marta, jak zwykle, zdecydowała się na naleśniki ruskie. Dorota również zamówiła naleśniki, ale z malinami i mascarpone. Lubiała jeść obiad na słodko. Marta pomyślała, że mogłaby wygrywać zakłady, obstawiając, co Dorota weźmie. Ile to już lat były najlepszymi przyjaciółkami? Straciła rachubę czasu.

— Jeszcze nie — odpowiedziała Marta, kiedy kelnerka odeszła od stolika. — Mikołaj nadal nie przelał mi pieniędzy za mieszkanie na Żoliborzu. Jego osobisty rottweiler, Widaj, powiedział, że Mikołaj jedzie na oparach. Bo Tępa Dzida zamarzyła o domu w Konstancinie. Nie wiem, skąd jej w ogóle przyszedł do głowy ten pomysł z Konstancinem. W każdym razie Mikołaj musi kupić dom. Jest ortopedą, praktycznie mieszka w szpitalu, ale to, co zarobi, i tak nie wystarcza na jej kaprysy. Chyba go przeszacowała.

W rozmowach Marty z Dorotą, Dagmara Góralska zawsze pozostawała Tępą Dzidą. Na początku Marta używała określenia Wary Obciągary, z powodu ust Dagmary,

monstrualnie powiększonych kwasem hialuronowym w Wiadomo Jakim Celu, ale Dorota uznała, że jest to zbyt wulgarnie. Nawet zważywszy na okoliczności. Natomiast Tępa Dzida była, w ocenie Doroty, dobrym kompromisem między okolicznościami a kulturą osobistą.

— Ale, co ciebie obchodzi jej kaprysy? Jesteście po rozwodzie, połowa mieszkania jest twoja, masz prawo do tych pieniędzy. Tym bardziej, że ona się tam wprowadziła. Myje się w twojej wannie, trzyma ubrania w szafie, którą ty wybrałaś, gotuje w twojej kuchni...

— Pieprzyj mojego męża...

— Byłoby męża. Ale poza tym masz rację. Te pieniądze, to ostatnie, co cię z nim łączy. Niech wreszcie je odda i zniknie z twego życia.

— Myślisz, że tego nie chcę? Popeliłam błąd, uważając, że mimo wszystko będziemy w stanie rozstać się z Mikołajem jak cywilizowani ludzie. I uwierzyłam w kłamstwa Widaja. Teraz oczywiście żałuję. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale ta szuja próbowała w trakcie rozwodu wyszabrować ode mnie jakieś pieniądze z mieszkania po babci.

— Chyba żartujesz. Przecież spadek nie wchodzi w skład majątku wspólnego.

— Oczywiście, że nie wchodzi. Ale po śmierci babci jeszcze przez rok byliśmy małżeństwem. W tym czasie mieszkanie stało puste. Jakoś nie mogliśmy z Kamilą zdobyć się na porządkowanie rzeczy po babci, zresztą do tej pory tego nie zrobiliśmy. Ale wspólnie pokrywałyśmy co miesiąc wszystkie opłaty. Zapłaciłyśmy też za drobne naprawy. Wyobraź sobie, że Widaj chciał, żebym oddała Mikołajowi połowę sumy, którą przez ten rok wyłożyłam. Bo wszystko, co zarabiałam, będąc żoną Mikołaja, było majątkiem wspólnym.

— Nie wierzę, że to zrobił. Nigdy nie przepadałam za Mikołajem, ale nie sądziłam, że zniży się do takiego poziomu. Jak to się skończyło?

— Należałam czynsz na moją połowę mieszkania na Żoliborzu. Uznałam, że Tępa Dzida jest lokatorem i wobec tego musi płacić.

— I płaci?

— Nie — westchnęła Marta. — Ale to położyło kres gierkom Widaja. Zgadzałam się z tobą, niczego innego nie chcę, tylko dostać swoje pieniądze i wreszcie mieć święty spokój. Nie chcę już nigdy oglądać ani Mikołaja, ani Tępej Dzidy, ani Widaja. — Nie przyznała się do tego, ale tak naprawdę czegoś jednak jeszcze chciała.

Marta wypijała przyniesioną w międzyczasie lemoniadę i — przywoławszy wzrokiem kelnerkę — zamówiła kolejną. Wiedziała, że przyjdzie dzień, kiedy wyłoży karty na stół. Miała same asy i tak naprawdę nie mogła się doczekać, kiedy to nastąpi. Już dawno przygotowała plan zemsty za całe zło i upokorzenie, których doświadczyła w związku ze zdradą i rozwodem. Nie chciała jednak dzielić się tym planem z przyjaciółką. Wiedziała, że Dorota nie pochwała nieczystych zagrań i będzie próbowała przekonać Martę, by ta odpuściła. Ale jak w takiej sytuacji można grać fair? Jak w sprawiedliwy sposób odwzajemnić się mężowi, zapładniającemu jakąś cycatą idiotkę w czasie, kiedy jego żona przeżywa żalobę po stracie najbliższej osoby — babci, która zastąpiła jej rodziców? Marta podziwiała religijność przyjaciółki i łatwość, z jaką przychodziło jej puszczanie w niepamięć najgorszych zbrodni. Dorota wybaczyła nawet mordercy własnego męża. Ale Marta taka nie była. Uważała, że przebaczenie zachęca innych do niewłaściwego postępowania. Brak kary za popełnione zło, niezależnie od skali zła, nie uczy poprawy. Jest wręcz sprzeczne

z podstawowymi prawami fizyki — każda akcja musi przecież równać się reakcji. Marta była gotowa na reakcję wobec byłego męża, czekała jedynie na odpowiedni moment.

— A Kamila? Nie naciska na spłatę swojej części mieszkania? — Dorota drażyła temat.

— Chyba nie, zresztą nie wiem. Chce, żebyśmy sprzedały mieszkanie i żebyśmy znalazła sobie inne, ale raczej wynika to z troski o mnie niż o finanse. Zresztą mam nadzieję, że niedługo dostanę swoją kasę, a tym samym ona swoją. A jak Adaś? Z kim go zostawiłaś? — Marta miała już dość drażenia spraw rozwodowych i mieszkaniowych.

— Z psem Sabą i królikiem Tuptusiem. Adaś ma już osiem lat, jest dużym chłopcem. Ale jeśli chcesz zmienić temat, to lepiej opowiedz o tej malince, którą masz na szyi.

— Jeszcze nie wiem, czy jest o czym. — Marta odruchowo dotknęła szyi i uśmiechnęła się.

— Znam go?

— Nie. Zresztą ja właściwie też go nie znam.

— Chcesz mi powiedzieć, że kiedy szłaś na spotkanie ze mną, jakiś obcy facet uraczył cię na ulicy soczystym całusem w szyję? Bo nie chcę słyszeć o żadnych szybkich randkach. Wiesz, co o nich sędzę.

— Nic z tych rzeczy. Nie aż tak obcy. Sprawdziłam mu nawet dowód osobisty.

— Jezu, Marta, tylko nie mów, że to jakiś pacjent z twojej poradni!

Marta roześmiała się.

— Większość pacjentów z poradni chorób zakaźnych gustowałaby raczej w moim byłym mężu. Ale masz rację, poznaliśmy się w szpitalu. — Marta postanowiła nie wspominać o pierwszym spotkaniu z Michałem na placu Zbawiciela. — To właściwie długa historia mimo krótkiej znajomości, ale mogę ci ją streścić w kilku zdaniach.

Nadeszły zamówione naleśniki i relacja siłą rzeczy nieco się przedłużyła.

— Wasza znajomość jest taka filmowa. — Dorota rozmarzyła się, kiedy Marta skończyła wreszcie opowiadać. — Próbuję sobie wyobrazić sytuację, kiedy to ja poznaję atrakcyjnego nieznajomego w pracy. Hmm... Na przykład psuje się chłódnia na zwłoki i dzwonię do naszego serwisu w Kobyłce. Przyjeżdżajcie, bo posoka cieknie na posadzkę! Wtedy zjawia się on, przystojny blondyn z kręconymi włosami. Trzy ruchy śrubokrętem i temperatura ponownie w normie, zgodna z rozporządzeniem ministra zdrowia w sprawie postępowania ze zwłokami i szczątkami ludzkimi. Mój bohater! Rzucam mu figlarne spojrzenie, a w nim narasta pożądanie. Mocno mnie obejmuje, namiętnie całuje i szepcze, że wcale mu nie przeszkadza, że trzymam w jednej ręce nerkę, a w drugiej mózg...

— Wariatka! — Marta parsknęła śmiechem. — Myślisz, że gdyby Michał podczas naszego spotkania widział, jak robię nakłucie lędźwiowe albo próbuję zacewnikować pacjenta ze stulejką, to by mnie później próbował przelecieć? Wiałyby, gdzie pieprz rośnie.

— Kiedy mi go przedstawiś?

— Nie wiem, może nigdy. Jest powiewem świeżości w moim życiu, taką wiosną, ale czy w ogóle coś z tego będzie? To się dopiero okaże. Jest zabójczo przystojny. Z wyglądu przypomina trochę Mikołaja. Tobie by się nie spodobał. Zawsze mnie ostrzegasz przed takimi facetami.

— A tobie tylko tacy w głowie! Masz pod nosem Piotrka Kępińskiego, który wskoczyłby za tobą w ogień. Wszystko dla ciebie zrobi. Lekarz, psychiatra, sympatyczny, dobry, zaangażowany... i co się okazuje? Wszystkie te cechy automatycznie go dyskwalifikują. To musi być koniecznie jakiś szaleniec biegający z bronią.

— Michał nie jest szalenicem biegającym z bronią. Chyba...

— Jest policjantem. Oczywiście, że to szaleniec biegający z bronią. Och, Marta, Marta. Jesteś nie-re-for-mo-wal-na. Życzę ci jak najlepiej, ale ty nigdy nie uczysz się na własnych błędach.

— Wytłumacz mi, w jaki sposób przeszliśmy od „jakie to romantyczne” do „to szaleniec biegający z bronią”?

— Powiedziałaś, że jest podobny do Mikołaja. W taki sposób.

— Tylko z wyglądu.

— Mówiłaś, że go nie znasz. Skąd wiesz, jaki ma charakter?

— Proszę cię, daj mi się nim nacieszyć. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to nic z tego nie wyjdzie. Zmieńmy temat. Na przykład... co słyhać u ciebie? Jakies malinki, o których ty chciałybyś mi poopowiadać?

— Spotykam się z Leszkiem Skalskim.

Marta zrobiła dziwny ruch ręką. Tak, jakby chciała odpędzić muchę, która właśnie siadała na jej słonce do napoju. Albo popędzić Dorotę, żeby opowiedziała coś więcej. Właściwie to sama nie była pewna, co ten ruch oznaczał. W rezultacie przewróciła szklankę z lemoniadą, która wylała się najpierw na stół, a potem na jej spodnie. Ale Marta zupełnie się tym nie przejęła. Jej najlepsza przyjaciółka spotykała się z kimś po raz pierwszy od pięciu lat i to za jej plecami. Na dodatek tym kimś był kolega Marty z oddziału zakaźnego.

— Mów. Chcę wiedzieć wszystko.

## Rozdział 9

Cały niedzielny ranek Marta spędziła, rozmyślając nad tym, co opowiedziała jej Dorota. Nie była pewna, czy cieszy się z nowego związku przyjaciółki. Zawsze lubiła Leszka, chociaż się nie przyjaźnili. Wydawał się bardzo uczciwy. Mówił bez ogródek to, co myślał. Ale bywał zbyt zasadniczy. A miał bardzo wyraziste poglądy, które niektórzy nazywali brakiem politycznej poprawności. Nie przeszkadzało jej to w pracy zawodowej, zresztą w wielu sprawach miał rację, ale zastanawiała się, czy w życiu prywatnym również dostrzegał rzeczy jako białe lub czarne, bez odcieni szarości. Z drugiej strony, Dorota również miała zdecydowane przekonania, których nie bała się wyrażać, mimo że nierzadko przysparzało jej to wrogów. Teraz Marta będzie musiała spotykać się prywatnie z obojgiem i miała nadzieję, że nie zmieni to jej relacji z Dorotą. Poza tym mimo że od śmierci Norberta minęło pięć lat, ciągle postrzegała Dorotę jako jego żonę. Oczywiście sama namawiała przyjaciółkę do ułożenia sobie życia na nowo, ale kiedy wreszcie miało to nastąpić, poczuła jakiś trudny do wytłumaczenia żal. Jak gdyby Dorota zdradzała Norberta.

Marta otworzyła laptopa. Musiała przygotować prezentację na temat wirusowego zapalenia wątroby typu A, czyli żółtaczkę pokarmową. Prezentacja przeznaczona była dla lekarzy rodzinnych, którzy w „Błęńskiej” odbywali swój staż cząstkowy z chorób zakaźnych. Co prawda, prowadziła wykłady już od kilku lat i miała ten temat dobrze opracowany, ale lubiła aktualizować swoje prezentacje i dodawać ciekawostki nawet tam, gdzie nowych doniesień było niewiele. Dzięki temu rezydenci lepiej zapamiętywali fakty medyczne związane z chorobami zakaźnymi.

Żółtaczka pokarmowa generalnie jest chorobą nudną. Wirus wnika do organizmu drogą pokarmową i wywołuje rozmaite objawy — żółtce i świąd skóry, nudności, wymioty, bóle brzucha, zmęczenie. Nie ma leczenia przyczynowego. Zalecany jest odpoczynek, odpowiednia dieta i unikanie alkoholu. Koniec wykładu. Wszyscy śpią. Ale, ale, proszę państwa, czy wiecie o tym, że wirusowe zapalenie wątroby typu A jest w Polsce tak naprawdę chorobą weneryczną, a zakażenia następują głównie podczas kontaktów seksualnych, zwłaszcza analnych? W tym momencie słuchacze przestają odczuwać senność, nadstawiają uszu. Tak, tak, proszę państwa. Owoce morza, zwłaszcza surowe ostrygi jako czynnik ryzyka to banał. W ten sposób ludzie zarażają się na Lazurowym Wybrzeżu czy na Costa Brava. W Polsce droga pokarmowa wygląda zupełnie inaczej. Spójrzcie na przekrój wiekowy i szczegółową charakterystykę pacjentów. Kto dominuje? Młodzi mężczyźni. No więc, nie jest to przypadek... I w tym momencie słuchają już wszyscy. Marta wiedziała, jak należy robić wykłady. Seks był idealnym wabikiem. Niezależnie od tego, czy słuchaczami byli studenci medycyny, lekarze czy grupa dziewcząt spod Siedlec, ten jeden konkretny temat działał stymulująco lepiej niż kawa i głośne upuszczanie przedmiotów.

Sięgnęła po *Atlas anatomii człowieka* Sobotty, musiała spojrzeć na schemat budowy wątroby. Atlas miała jeszcze z czasów studiów, zapisany był jej notatkami i uwagami. Ale, ku jej zdziwieniu, nie znalazła go tam, gdzie zawsze stał. Jeszcze raz przeszukała pierwszy rząd książek. Jej książki nie mieściły się w jednym rzędzie, dlatego układała je na półkach podwójnie. Atlas Sobotty darzyła dużym sentymentem

i była pewna, że nigdy nie wsadziłaby go do drugiego rzędu, ale oczywiście mogła go tam schować przypadkowo. Właśnie wyciągała z półki inne atlasy medyczne, sprawdzając, co kryje się za nimi, kiedy zadzwonił telefon. Jedna z książek upadła jej na stopę. Marta zaklęła paskudnie i spojrzała na wyświetlacz telefonu. Dzwonił książę piekiel, jej były mąż.

— Mam nadzieję, że dzwonisz z informacją, że przelew za moją część mieszkania jest już w drodze — warknęła, odbierając połączenie.

— Dzień dobry, ciebie również miło słyszeć. Dzwonię z innego powodu.

— Nie interesują mnie inne powody. Prosiłam, żebyś do mnie nie dzwonił. Już nigdy.

— Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego i chcę, żebyś dowiedziała się tego ode mnie. Proszę cię, posłuchaj mnie przez chwilę i się nie rozłączaj.

— Masz chwilę. Czas start.

— Wiesz, zrozumiałem, że nie da się pojąć teraźniejszości bez przeszłości, bez historii. To ona nas definiuje, czyni takimi, jakimi jesteśmy. Moją historią jesteś ty, bez ciebie nie mógłbym być tym, kim teraz jestem.

— Dobra, chwila minęła, rozłączam się.

— Poczekaj! Chciałem ci podziękować. Za wszystko. Nawet za negatywne emocje. Bo one również doprowadziły mnie do miejsca, w którym teraz jestem. A dzisiaj zrozumiałem, że jest to miejsce, w którym chciałbym zostać już na zawsze. Jestem tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy w życiu. I wiem, że ty również się do tego przyczyniłaś. Mimo naszej burzliwej historii, dzisiaj chcę pamiętać tylko dobre chwile. Chciałbym, żebyśmy zagrzebali topory i mogli pozostać... nawet jeśli nie przyjaciółmi, to przynajmniej bliskimi osobami. Bo przecież byliśmy sobie bliscy. Pamiętasz jak między nami było kiedyś pięknie?

— Wiesz co? Wpisz to sobie do pamiętniczka, namaluj szlaczek i wklej suszoną lawendę. A tymczasem ja się rozłączam. Czekam na informację o przelewie. Mam nadzieję, że była to ostatnia z twojej strony próba kontaktu w innej sprawie.

— Marta, poczekaj, proszę. Tym razem naprawdę mówię szczerze. Wybaczam ci wszystko i chcę, żebyś ty również mi wybaczyła. To dla mnie ważne, bo w moim życiu wydarzyło się właśnie coś pięknego. Kilka godzin temu urodził mi się syn.

Przez moment po obu stronach zapanowała cisza. Ale tylko przez chwilę.

— Jesteś pewien, że to twoje dziecko?

— Co? — Temperatura głosu Mikołaja obniżyła się do minus trzydziestu stopni. — Widzę, że z tobą nie da się już rozmawiać normalnie. Może rzeczywiście nie powinienem był dzwonić.

— Ale ja mówię poważnie. Na twoim miejscu zrobiłbym test na ojcostwo. Nie rozłączaj się. Spójrz na to. — Marta otworzyła galerię zdjęć w swoim telefonie, wybrała folder, który czekał na tę okazję i wysłała pierwsze zdjęcie.

Niektórzy ludzie gardzą stereotypami, błędnie nazywając je uprzedzeniami lub krzywdzącymi opiniami. Dla Marty stereotypy były życiowym drogowskazem, który jeszcze nigdy jej nie zawiódł i który wielokrotnie ratował jej skórę. Kiedy przywożono do szpitala czecheńskich pacjentów z ośrodka w Lininie, zawsze badała ich w bliskiej obecności kogoś z ochrony. Kiedy widziała osoby z kolczykami w dziwnych miejscach, zawsze była pewna, że w historii ich choroby znajdzie konsultację psychiatryczną. Po tym, jak dowiedziała się o zdradzie Mikołaja, przejrzała zdjęcia Dagmary na jej profilu facebookowym. Nawet na zdjęciach ze wspinaczki na Giewont w oczy rzucały się



głównie jej piersi i usta. Marta pomyślała wtedy, że takie kobiety nie marnują energii i kapitału, stawiając na jednego konia. One zawsze dywersyfikują swoje inwestycje, zwłaszcza te poważne, takie jak wybór męża. Dlatego wynajęła prywatnego detektywa i pewnego dnia, po miesiącu, otrzymała pokazną teczkę ze zdjęciami. Nie była specjalnie zaskoczona tym, co przedstawiały.

Otworzyła teczkę jeszcze tego samego wieczoru, po pracy, siadając wygodnie w fotelu z kieliszkiem wina w ręce. Na jednym ze zdjęć Dagmara całowała się z dziobatym blondynem. Na innym obściskował ją dystyngowany starszy mężczyzna. Na jeszcze innym obejmowała czule typa w bejsbolówce. Ale najlepszym zdjęciem było to wykonane na parterze jednego z mieszkań w Miasteczku Wilanów. Naga Dagmara siedziała okragiem na kroczu równie nagiego faceta, który ścisnął w dłoniach jej sutki. Marta widziała go po raz pierwszy w życiu, ale detektyw zapewniał, że jest to znany aktor, występujący w jednym z telewizyjnych seriali. Marta nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie, którzy mają w oknach żaluzje, nie używają ich w tak intymnych momentach. Zdjęcia były pikantne i Marta nie była początkowo pewna, czy chce je pokazać Mikołajowi. Dorota zawsze ją namawiała, by wybaczyła byłemu mężowi, zapomniała o nim i ułożyła sobie życie na nowo. Te zdjęcia raczej by w tym nie pomogły. Ale wszystko to, co wydarzyło się później — kolejne kłamstwa Mikołaja, ciąża Dagmary, brak pieniędzy za połowę mieszkania na Żoliborzu — sprawiło, że Marta zmieniła zdanie. I oto kim stawała się teraz — Nemezis, ze smartfonem zamiast gałązki jabłoni.

— Halo, Mikołaj, jesteś tam? — Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza, ale Marta wiedziała, że nie rozłączył się, że patrzy na zdjęcie, które właśnie otrzymał i nie rozumie, co się dzieje, ani nie wie, co go jeszcze czeka. — Spójrz na to, jest jeszcze lepsze. — Klik. — I na to. — Klik. — O, a to moim zdaniem powinno zdobyć jakiegos detektywistycznego Pulitzera. — Klik. Wysłała zdjęcie z gwiazdą serialu. — Nie sądzisz, że jest genialne? Nie zdziwię się, jeśli Machnicki sprzeda je do jakiejś plotkarskiej gazety albo portalu. To detektyw, który zrobił te fotki. Dostarczył mi wszystkie nazwiska, miejsca i daty, gdybyś kiedyś ich potrzebował. Cały segregator pikantnych dokumentów.

— Jesteś chora. Powinnas się leczyć — powiedział Mikołaj i zerwał połączenie.

Marta poczuła ogromną satysfakcję. Było to uczucie niezwykle, wręcz niewyobrażalnie cudowne, jak stodycz po zjedzeniu tabliczki słodkiej czekolady, tylko bez konsekwencji w postaci próchnicy. Nie mogła doczekać się dalszego ciągu. Wróciła do pracy przy prezentacji i poszukiwań atlasu Sobotty, ale co jakiś czas sprawdzała pocztę. Oczekiwana wiadomość nadeszła dopiero po kilku godzinach. Była naznaczona — co zrozumiałe — mocnym ładunkiem emocjonalnym i, jak zwykle, roiała się od błędów ortograficznych. Marta gardziła ludźmi, którzy piszą „na prawdę” i myślą „bynajmniej” z „przynajmniej”. Ale Dagmarą gardziła już wcześniej, dlatego postanowiła skupić się wyłącznie na treści maila. Z przyjemnością czytała złorzeczenia pod swoim adresem i lamenty, jak to zrujnowała najpiękniejszy dzień w życiu Dagmary. Dzień, w którym urodziła dziecko i w którym ojciec tego dziecka jej się oświadczył. Najwyraźniej po obejrzeniu zdjęć Mikołaj zmienił zdanie co do ślubu oraz zażądał testu genetycznego noworodka. List kończył się na życzeniu Marcie śmierci. Marta uśmiechnęła się i odnalazła w komputerze kolejny folder.

Kiedy dowiedziała się o zdradzie Mikołaja, ten przekonywał ją, że to nic nieznaczący romans, który już się skończył, i błąd, którego nigdy więcej nie powtórzy.

Mikołaj przeproszał i zdawał się szczerze żałować. Wierzyła mu i przebaczyła. Nawet wówczas, kiedy okazało się, że Dagmara jest w ciąży, nadal twierdził, że kocha tylko Martę i nie zamierza jej zostawiać. Marta przejrzała na oczy dopiero, gdy przeczytała jego maile i SMS-y, w których o tym samym zapewniał Dagmarę. Pomimo to po wyprowadzce z Żoliborza nadal z nim sypiała. Nie powiedziała o tym nikomu, nawet Dorocie. Mogła gardzić byłym mężem, ale seks z nim zawsze uważała za udany. Przynajmniej do czasu wypłynięcia sprawy ze splatą jej części mieszkania. Za każdym razem po stosunku, kiedy przysnął, robiła mu nagie zdjęcia. Obok kładła program telewizyjny albo okładkę jakiegoś tygodnika, żeby nie mógł wyprzeć się daty wykonania fotografii. Na niektórych uwieczniła również siebie, oczywiście w bieliźnie. Ostatnie zdjęcie pochodziło sprzed czterech miesięcy. Zdjęcia czekały na dzień, w którym Dagmara urodzi dziecko. Marta może i była pamiętliwa i mściwa, ale na pewno nie bezwzględna. A już z pewnością nie była jakąś bezduszną wiedźmą, pragnącą wywołać przedwczesny poród.

Wybrała najbardziej aktualne zdjęcia i wysłała je jako załącznik w odpowiedzi Dagmarze.

Wiedziała, że nie był to koniec korespondencji, więc cierpliwie czekała. Po kilkunastu minutach odezwał się Mikołaj: „Przeżyłaś. Zdjęcia były wykonane bez mojej wiedzy i zgody. Pozwę cię za to”.

Napisała odpowiedź: „Tylko załatw sobie innego prawnika, bo ten gra w obu drużynach”, i otworzyła trzeci folder.

Kiedy w trakcie rozprawy rozwodowej pojawił się temat podziału majątku, wielokrotnie spotkała się z prawnikiem Mikołaja, Konradem Widajem. Mikołaj zapewniał, że chce sprawiedliwego podziału, a Konrad miał być tego gwarantem. Był co prawda najlepszym przyjacielem Mikołaja, jeszcze z czasów dzieciństwa, ale w trakcie trwania związku Marty i Mikołaja stał się kimś w rodzaju przyjaciela domu. Więc również jako przyjaciel Marty miał dopilnować, by wszystko odbyło się w jak najkorzystniejszy dla obojga sposób. Oczywiście była to perfidna gra, w wyniku której Marta straciła znaczną sumę pieniędzy.

Widaj był starym przyjacielem Mikołaja, ale Marta zawsze mu się podobała. Do rozwodu okazywał to w wyrafinowany sposób, jednak po nim stał się bardziej nachalny. Marta postanowiła to wykorzystać i któregoś dnia przyjęła propozycję kolacji w jego mieszkaniu. Bynajmniej jednak nie zamierzała się z nim przespać. Konrad Widaj był wyjątkową szują, nawet jak na prawnika. Na dodatek szują, która nie pociągała jej fizycznie. W zemście na Widaju pomocny okazał się, o dziwo, oddział zamknięty, na którym Marta dyżurowała. Każdy nowo przyjmowany pacjent musiał tam przechodzić rewizję osobistą, aby zapobiec wnoszeniu na oddział narkotyków i alkoholu. Podczas jednej z takich rewizji skonfiskowano spore ilości kwasu gamma-hydroksymasłowego, znanego lepiej jako pigułka gwałtu albo GHB. Oczywiście Marta zawiadomiła policję, ale rano, po dyżurze i całym zamieszaniu związanym z tą sprawą okazało się, że pod jej biurkiem leży zgubiona i zapomniana fiołka z niewielką ilością tej substancji. Po ciężkim dyżurze Marta chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i pójść spać, a wyjaśnienia związane ze zgubą zajęłyby kolejne kilka godzin. Dlatego po prostu wsunęła fiołkę do torebki, postanawiając, że sama zniszczy jej zawartość.

Ale po kilku dniach zmieniła zdanie i zutylizowała GHB, wrzucając je do kieliszka z winem Konrada Widaja.

Kiedy ten zasnął, rozebrała go i zrobiła sobie z nim zdjęcia w pozach, które sugerowały zażyłość. Rano Widaj obudził się przekonany, że poprzedniego wieczoru za dużo wypili i uprawiali seks. Marta nie wyprowadziła go z błędu.

Teraz odszukała tamte zdjęcia i dołączyła je do wiadomości, którą wysłała Mikołajowi. Jej plan poszedł jak po maśle. Mikołaj w ciągu kilku godzin stracił kochankę i zarazem przyszłą drugą żonę, najlepszego przyjaciela oraz — być może — syna, którego tak oczekiwał. Chociaż Marta miała nadzieję, że dzieciak będzie jednak jego. Dziecko z kobietą, która okazuje się lafiryndą i do tego perspektywa alimentów, które Mikołaj musiałby płacić przez długie lata, widując syna pewnie kilka razy w miesiącu, a przy okazji puszczalską niedoszlą żonę — to byłoby piękne zwieńczenie całej historii. Marta uśmiechnęła się na tę myśl i zgasiła światło w sypialni. Było już późno, a rano musiała wstać do pracy.

Spała dobrze i miała przyjemne sny. Kiedy rano zadzwonił budzik, wstała zadowolona i wypoczęta.

## Rozdział 10

W poniedziałek po pracy Marta natknęła się na Apolinarego. Znosił po schodach wiadra i pędzle.

— Odgrzybiam mieszkanie babci. Będę to robił systematycznie, pokój po pokoju, żeby nie musiała wynosić się z mieszkania.

— A poradzisz sobie sam? Ten grzyb wygląda naprawdę źle. Może jednak powinniśmy poszukać profesjonalnej pomocy?

— Dam radę, robiłem to już kilka razy. A tak przy okazji, wielkie dzięki, że opiekujesz się moją babcią. Bardzo się o nią martwię. Zawsze była taka samodzielna, a teraz... Sama zresztą widzisz, co się z nią dzieje. Naprawdę nie wiem, co robić. Nie mogę być u niej codziennie, ty też masz swoje życie i pracę. A tyle się teraz słyszy o oszustach, którzy żerują na starszych ludziach. Zresztą ona ma w mieszkaniu gaz, jej zachowanie może być niebezpieczne dla całej kamienicy. Rozmawiałem z twoim kolegą, psychiatrą, po tym, jak u niej był. Zgodził się ze mną, że dla jej dobra warto byłoby zastanowić się nad jakimś rozwiązaniem prawnym. No wiesz, ubezwłasnowolnienie, nawet czasowe, może wydawać się ekstremalne, ale...

— Masz rację, na tę chwilę wydaje się ekstremalne. Przecież ona zachowuje się tak od niedawna. Poczekajmy, aż zaczną działać leki. Dopiero zaczęła je przyjmować.

— Ile jeszcze mamy czekać? Właśnie od niej wracam, powiedziała na mnie Euzebiusz. Tak ma na imię mój ojciec. Nie poznała własnego wnuka. Z nią jest coraz gorzej.

Marta знала tylko jednego Euzebiusza. Przypominał jeża, poszukiwał innych Euzebiuszów i był bohaterem jej ulubionej książki z dzieciństwa. Innych Apolinarych też nie znała. Widocznie oryginalne imiona dziedziczy się w rodzinie Rzyciów po mieczu.

— To zmienimy leki na inne. Zrobię jeszcze kilka badań. Ubezwłasnowolnienie na razie nie wchodzi w grę.

— Nie chcę być niemiły, ale nie jesteś jej rodziną. Ta decyzja będzie należeć do mojej matki.

— Polik, bez urazy, ale twoją matkę pamiętam tylko z dzieciństwa. Na Mokotowską wróciłam ponad pół roku temu, a jeszcze ani razu jej nie widziałam. Nigdy nie przyjeżdża odwiedzać pani Marii. Rzadko telefonuje. Nie ma żadnego prawa podejmować takiej decyzji. Poza tym mówię ci, że jest na to za wcześnie. Do tej pory twoja babcia świetnie sobie radziła, te dziwne dolegliwości zaczęły się dopiero kilka tygodni temu.

„Zbiegły się w czasie z twoim powrotem” — pomyślała Marta, właśnie to sobie uświadamiając.

Zakończyła wymianę zdań pod pretekstem braku czasu i z ulgą pożegnała Apolinarego, wchodząc do swego mieszkania. Nie zdejmując kurtki, wykręciła numer Piotra.

— Powiedziałeś wnukowi pani Marii, że należałoby ją ubezwłasnowolnić?

— Co takiego?

— Właśnie z nim rozmawiałam, twierdzi, że tak mu sugerowałeś.

— Ja? Zamieniłem z nim dwa zdania. Z czego jedno to dzień dobry. Jedyne, co mogę mu zasugerować, to wizyta u otolaryngologa, bo najwyraźniej ma problemy ze słuchem.

— Czyli wymyślił sobie tę rozmowę z tobą?

— Marta, w życiu nie rozmawiałbym z nikim na temat ubezwłasnowolnienia kobiety, z którą rozmawiałem piętnaście minut. To raz. A dwa, dlaczego on w ogóle chce ubezwłasnowolnić własną babcię?

— Dobre pytanie. Nie wiem, ale się dowiem. Muszę kończyć. Idę sprawdzić, co u niej słyhać. Podobno właśnie skończył odgrzybiać jej mieszkanie.

— On sam? To sprawdź, co pani Maria ma w swojej filizance. Bo nie zdziwiłbym się, gdyby właśnie popijała środek pleśniobójczy.

Ta rozmowa, choć krótka, zmartwiła Martę. Co prawda Piotr wyolbrzymiał czasem pewne fakty, na przykład przypisywał Marcie cechy psychopatyczne na podstawie mało znaczących przesłanek. No i miał tendencję do przesady, kiedy w grę wchodzili mężczyźni ubiegający się o jej względy (a Apolinary mógł wyrzucić na nim takie wrażenie), i dawał temu wyraz już w przeszłości. Ale może tym razem dostrzegł jednak coś, czego ona nie widziała. Ponownie pomyślała o ewentualnym zatruciu. Może było to działanie jakichś leków, które pani Maria przyjmowała nieświadomie? To w żadnym wypadku nie wyłączałyby Apolinarego z grona podejrzanych, wręcz przeciwnie. Marta była prawie przekonana, że przyczynił się do pogarszania stanu zdrowia swej babci. Nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób, ale postanowiła zrobić wszystko, by się tego dowiedzieć.

Na wszelki wypadek zadzwoniła do Marka, żeby spytać, jak mu idzie z identyfikacją gatunku pleśni.

— Marta? Dobrze, że dzwonisz. Możesz przyjechać do Krainy Oz? Tak, teraz. To ważne. Wiem już, co rośnie na ścianie u twojej sąsiadki, ale to nie jest na telefon. To tak nieprawdopodobne, że musimy pogadać osobiście. Chcę usłyszeć tę historię, na którą obiecałaś mi wyłączność.

Marta westchnęła. Dopiero wyszła z „Błęńskiej” i nie miała ochoty znowu tam wracać. Z drugiej strony, sama przecież poganiała Marka. Poza tym odkrycie, o którym wspominał, bardzo ją zaintrygowało.

Nie musiała zakładać kurtki, bo nawet nie zdążyła jej zdjąć po powrocie z pracy. Po wyjściu z mieszkania weszła na chwilę do pani Marii sprawdzić, czy faktycznie było z nią tak źle, jak mówił Apolinary. W korytarzu czuć było dziwny zapach, który przybierał na intensywności przy drzwiach jednego z pokoi. Ściany były tam wilgotne i ciemne. Widocznie od tego pomieszczenia Apolinary zaczął odgrzybianie. Stało w nim plastikowe wiadro, na dnie którego Marta zauważyła resztki jakiejś substancji, prawdopodobnie środka pleśniobójczego. Na wszelki wypadek napełniła cieżką kałówkę, którą zawsze nosiła w torebce. Gdyby ogłoszono konkurs na najdziwniejszą zawartość damskiej torebki, Marta miałaby szansę na podium. Oprócz jednorazowych rękawiczek i maseczki do sztucznego oddychania, które rutynowo ma ze sobą wielu lekarzy, Marta zawsze nosiła również pojemnik na mocz i kał. Po co? Nie potrafiła wyjaśnić. Mikołaj często sobie z tego żartował, kiedy jeszcze byli małżeństwem. Teraz nadszedł ten moment, kiedy pojemnik w końcu się przydał.

Pani Maria, wbrew temu, co mówił Apolinary, była w dobrej formie. Najpierw plotkowała na temat sprzedawczyni z warzywniaka na rogu, a potem nie mogła

nachwalić się swego wnuka, który cały dzień walczył z pleśnią. Potem zaczęła streszczać Marcie przebieg porannego spotkania z przyjaciółkami.

— Martusiu, mówię ci, jakie to ludzie mają przygody z sąsiadami. Krysia opowiadała o takim jednym z góry, co nad nią mieszka, który złamał nogę, a że toaletę ma w sieni, wiesz, jak to ciągle w tych starych kamienicach na Pradze, to kupę do woreczka foliowego robił. A worki przez okno wyrzucał. No i pewnego dnia zieleni miejska przyjechała wykosić te chabazie, co to im pod oknami zarosły. Tak szybko, jak weszli w krzaki z kosiarkami, tak szybko, z krzykiem, z nich wypadli. Cali na brązowo umorusani. — Marta mimowolnie skrzywiła się z obrzydzeniem. — A z kolei Hela to ma takiego sąsiada, który z balkonu na jej psa szczeka i specjalnie go denerwuje. Mówi, że jak psu wolno, to jemu tym bardziej. A jej córka, co to ma dom w Ożarowie, to jej opowiadała, że któregoś dnia sąsiadka z pretensjami do niej przyszła, że jej ślimaki przez ogrodzenie przełażą do niej na ogród. Jej ślimaki, wyobrażasz sobie? Tak sobie pomyślałam, jakie ja to mam szczęście, że mam takich dobrych sąsiadów. A ty najlepsza jesteś z nich wszystkich, jak moja wnuczka rodzona!

Tak, najwyraźniej pani Maria była w doskonałej formie. Marta bez obaw mogła zostawić ją samą i wrócić do „Błęńskiej”.

Jak można się było spodziewać, przemieszczanie się po Warszawie o tej porze dnia było koszmarem i dojazd do szpitala zajął Marcie niemal godzinę. Zapchane ludźmi autobusy, korki na jezdniach... Prawdziwą udręką byłoby nawet dojście pieszo, odkąd kilka lat temu miasto zgodziło się na wprowadzenie systemu elektronicznych hulajnóg. Spacerowanie po chodnikach zamienionych w autostrady przestały być przyjemnością, a stały się walką o życie. Marta marzyła o powrocie do czasów, kiedy chodnik oznaczał miejsce do chodzenia. Oddział ortopedyczny „Błęńskiej” pełny był pacjentów ze złamanymi kończynami po zderzeniu z wariatami na hulajnogach, takich jak nastolatek, który przed chwilą prawie w nią wjechał. Ich operacje finansowane były ze środków publicznych, czyli z kieszeni wszystkich. Firma wypożyczająca hulajnogi przynosiła zyski wyłącznie swoim właścicielom. No, może jeszcze urzędnikom z warszawskiego ratusza, którzy od wielu lat przyzymkali oczy na te „drobne” niedogodności pieszych.

— Oby to było dobre — wysapała, kiedy dotarła wreszcie do pracowni mykologicznej.

— Jest jeszcze lepsze. Sam nie mogę w to uwierzyć. Zobacz sama, mam to małeństwo pod mikroskopem.

Marta spojrzała przez okular.

— Na co patrzę?

— Mała podpowiedź: workowiec, pasożyt, wytwarza przetrwalniki.

— Jechałam przez pół miasta, żeby brać udział w „Jeden z dziesięciu”? Nie maltretuj mnie. Co to jest?

— *Claviceps purpurea*.

— Czyli co?

— Znasz go lepiej jako buławinkę czerwoną.

— Buławinka czerwona? Niemożliwe. Przecież to pasożyt żyta.

— Dokładnie. A precyzyjniej — zbóż, zwłaszcza żyta. Wytwarza przetrwalniki, zwane sporyszami, zawierające toksyczne substancje. Jeśli wraz z ziarnem zostaną zjedzone przez zwierzęta albo ludzi, na przykład w chlebie upieczonym z takiego

ziarna, wtedy dają objawy zatrucia: konwulsje, halucynacje, wymioty... W przeszłości zanieczyszczenie upraw sporyszem dorowadziło do wielu tragedii. Pewnie słyszałaś o procesie czarownic w Salem — słynnym szaleństwie, które ogarnęło to małe amerykańskie miasteczko w siedemnastym wieku. Uważa się, że mogło mieć związek z masowym spożyciem zanieczyszczonej mąki. Buławinka miała również wpływ na bieg historii — w 1722 roku wojska konne cara Piotra Wielkiego zostały powstrzymane przez Turków pod Astrachaniem tylko dzięki masowemu zatruciu sporyszem. Ucierpieli wtedy zarówno żołnierze, którzy jedli felerny chleb, jak i ich konie, które zjadły siano skażone grzybem. Zatrucie sporyszem, czyli ergotyzm, zdarzało się szczególnie często w średniowieczu, kiedy to nazywano je „ogniem Świętego Antoniego”. To od nazwiska patrona, do którego zwracano się o pomoc. Na przykład w samym tylko 994 roku w Akwitaniu zmarło z powodu ergotyizmu 40 tysięcy ludzi.

— Jestem pod wrażeniem twojej wiedzy. Przygotowałaś się jak do telewizyjnej śniadaniowej.

— Obecnie sporysz bardzo rzadko występuje w zbożach. — Marek kontynuował niewzruszony, udając, że nie usłyszał komentarza. — Poddaje się je specjalnym opryskom prewencyjnym. Czyści się też materiał siewny. Oczywiście mówię teraz o zbożach przeznaczonych na mąkę. Bo istnieją specjalne uprawy, celowo zainfekowane buławinką w celu pozyskania sporyszu i izolacji jego alkaloidów wykorzystywanych w medycynie.

— Jak na przykład ergotaminy, używanej do leczenia migren?

— Dokładnie. W takim samym celu prowadzi się też hodowle grzyba na sztucznych pożywkach, ale są one ciągle jeszcze technologicznie niedopracowane i mało opłacalne. To takie raczej eksperymenty, z zastosowaniem odpowiednich składników odżywczych, specjalnego oświetlenia, właściwej temperatury... Ale buławinka rosnąca na ścianie, w domowych warunkach? To czyste szaleństwo. Dosłownie szaleństwo. Legalne uprawy prowadzi się w celu pozyskania surowca dla przemysłu farmaceutycznego. Ale pozostaje kwestia upraw nielegalnych...

— Po co ktoś miałby nielegalnie uprawiać buławinkę?

— Serio? A mówi ci coś nazwisko Albert Hofmann?

— Nie.

— Tak myślałem. — Marek spojrział na Martę z przesadnym politowaniem. — To szwajcarski chemik, który pracował dla jednego z koncernów farmaceutycznych, zajmując się badaniem rozmaitych substancji, roślinnych i zwierzęcych, które mogłyby w przyszłości zostać wykorzystane jako leki. W latach czterdziestych poprzedniego wieku przedmiotem jego badań była właśnie buławinka i jej sporysz. Udało mu się pozyskać kwas lizergowy, substancję pośrednią w syntezie dietyloamidu kwasu lizergowego.

— LSD...

— LSD, kwas, znaczek, kryształek... Ilu użytkowników, tyle nazw. Hofmann przypadkowo połknął niewielką ilość substancji podczas pracy w laboratorium. Doznał wtedy dziwnego uczucia oszołomienia. Chciał to powtórzyć, oczywiście dla dobra nauki. Nie wiedział jeszcze wówczas, jaka powinna być dawka minimalna potrzebna do wywołania tego efektu i przypadkowo przekroczył ją dziesięciokrotnie. No więc po zażyciu takiej ilości LSD źle się poczuł i zdecydował, że dojdzie do siebie w domu. A że do pracy przyjechał rowerem, to i rowerem musiał z pracy wrócić.

Podczas jazdy jego stan się pogarszał — ubzdurał sobie, że sąsiadka z domu obok jest czarownicą, zaczął widzieć dziwne kolory i kształty układające się wokół niego jak kalejdoskop... Miał po prostu klasyczną „jazdę po kwasie”. Nawiasem mówiąc, rocznica tej jazdy jest do dzisiaj obchodzona przez niektórych jako „Bicycle Day” czyli Dzień Rowerowy.

— Sugerujesz, że w mieszkaniu mojej sąsiadki ktoś zajmuje się produkcją LSD?

— Nie. Twierdząc tylko, że na ścianie jej mieszkania rośnie grzyb, który może być wykorzystany również do produkcji LSD. Skąd się tam wziął, tego nie wiem. Nie rozumiem również, jakim sposobem jego cykl rozwojowy przebiega bez udziału zależnych traw. Jedyne, czego jestem pewny, to to, że osoba, która będzie to wiedziała, może stać się obrzydliwie bogata.

— Nic z tego nie rozumiem, ale mam niejasne przeczucie, że ta breja może pomóc w odpowiedzi na twoje pytania. — Marta wyjęła kałówkę napełnioną szarawą ciecżą.

— Co to jest? — Marek wziął do ręki pojemnik i przyjrzał mu się nieufnie.

— Coś, czym wnuk mojej sąsiadki smaruje jej ściany. Mam podejrzenie graniczące z pewnością, że nie jest to żaden fungicyd.

— Jaki wnuk? O kim mówisz?

— No tak, tu dochodzimy do momentu, w którym winna jestem ci wyjaśnienie, twoją historię na wyłączność.

Marta opowiedziała Markowi o halucynacjach pani Marii i swoich, gdy została u niej na noc, oraz o możliwym powiązaniu tych spraw z Apolinarym.

— Jezus, Marta, jeśli to prawda, to musimy zawiadomić policję.

— Myślisz, że wnuczek działa w jakimś gangu narkotykowym?

— To byłaby opcja optymistyczna.

— Optymistyczna? To co byłoby opcją pesymistyczną?

Marek westchnął.

— Wiesz, że sporysz buławinki jest jedną z pierwszych znanych w historii broni biologicznych? Był wykorzystywany przez Asyryjczyków już w szóstym wieku przed naszą erą do zatrucia żywności i studni wrogów. Zdajesz sobie sprawę, co można zrobić z pleśnią, która łatwo porasta każdą powierzchnię i wywołuje tak nasilone halucynacje?

— Nie.

— Ja też nie, przynajmniej nie do końca, ale jej potencjał silnie do mnie przemawia. Dlatego musimy o wszystkim zawiadomić policję.

— Ale co im powiemy? Że w mojej kamienicy rośnie grzyb, którego wdychanie wywołuje narkotyczne tripy? Człowieku, jak to wyjdzie na zewnątrz, będę miała pod domem pielgrzymki narkomanów, nie mówiąc już o dziennikarzach goniących za sensacją! Poza tym udział czynnika ludzkiego, czyli Apolinarego, jest tylko moją teorią. Nie mam na to żadnego dowodu. Być może to jakiś zapomniany gatunek pleśni, który powstał bez udziału człowieka i sobie rośnie w co drugim domu. Sam powiedziałeś, że się ich nie identyfikuje, tylko tępi powszechnie dostępnymi środkami. Może stąd tyle historii o duchach? Bo ludzie się tego nawdychają i widzą rzeczy, które nie istnieją. Jak ja i ten twój profesor Hofmann. Ba, może ten grzyb rośnie nawet w naszym szpitalu i dlatego „Błęńska” ma opinię najbardziej nawiedzzonego miejsca w Warszawie. A co jeśli okaże się, że Apolinary jest dobrym, porządnym wnukiem, który faktycznie próbuje się pozbyć grzyba z mieszkania babci, a ja wymyślam jakieś niestworzone historie, bo facet był w dzieciństwie ekscentryczny i go nie lubię?



Marek nie wydawał się przekonany. Słuchając Marty, nie przestawał marszczyć czoła.

— Ale coś musimy zrobić. To naprawdę bardzo podejrzana sprawa.

— Ostatnio przytrafiają mi się same niecodzienne historie. Ta akurat nie jest najdziwniejsza. Zresztą sam powiedziałeś, że to nietypowa buławinka. Być może to jakiś inny gatunek grzyba, a ty popełniłeś błąd w identyfikacji.

— Mam stuprocentową pewność, że to buławinka. Nie popełniłem żadnego błędu. Ja nie popełniam błędów.

— No tak, zapomniałam, że ty nie popełniasz błędów. — Przewróciła oczami Marta.

— No dobrze, zrobimy tak — ty postarasz się ustalić, czym jest ciecz, którą ci dziś przyniosłam, a jak już się to uda, to zastanowimy się, co dalej.

— Okej, możemy tak zrobić. Zadzwoń, jak czegoś się dowiem. Ale nadal uważam, że powinniśmy komuś o tym wszystkim powiedzieć.

— Obiecuję, że powiemy. Musimy tylko mieć więcej informacji. Teraz wracam do domu. Padam z nóg i nie jadłam jeszcze obiadu. W odróżnieniu od ciebie mam życie prywatne i staram się mieszkać u siebie, a nie w szpitalu.

— Z tego co wiem, średnio ci się to udaje. Ale fakt, mnie nie prześcigniesz w nadgodzinach, za które nikt mi nigdy nie zapłaci.

To akurat było prawdą. Dyrektorka szpitala nie płaciła za nieplanowe nadgodziny. O 15.35 wszyscy pracownicy medyczni, poza dyżurnymi, mieli kończyć pracę. Oczywiście szpital to nie fabryka makaronu i jeśli parę minut przed wyjściem do domu zdarzała się nagła resuscytacja albo pilne przyjęcie, nikt nie myślał o wychodzeniu. Tyle tylko, że lekarze wykonywali te czynności za darmo. Bo przecież od 15.35 już nie pracowali. Wynagrodzenie za nadgodziny przysługiwało tylko pracownikom administracyjnym. Nie było w tym nic dziwnego, bo pion administracyjny składał się głównie z krewnych i znajomych pani dyrektor.

— Tylko nie wracaj przez żaden park. Dzisiaj znaleźli kolejną zamordowaną kobietę. Wyłowili ją ze stawu w parku Promenada. Ludzie myślą, że to kolejna ofiara seryjnego zabójcy. Mokotów to twoje okolice, prawda?

— Niezupełnie. Mieszkam na ulicy Mokotowskiej. To Śródmieście Południowe. Ale Mokotów zaczyna się kilka ulic dalej.

— Marta Wolska ze Śródmieścia, mieszkająca na ulicy Mokotowskiej... Hm... Chyba nie mogłabyś być bardziej warszawska.

— Mogłabym jeszcze mieć na imię Sawa... Ta kobieta, została zamordowana dzisiaj?

— Ktoś znalazł ją rano, w parku. Nie podali, kiedy nastąpiła śmierć. Zamówić ci taksówkę?

— Nie, dzięki, poradzę sobie.

Marta nie bała się, choć w stronę głównej bramy musiała przejść przez park. Ale, pomimo zmroku, alejki były dobrze oświetlone, a wokół kręcili się ludzie. W autobusie, który miał dowieźć ją prawie pod mieszkanie, również spodziewała się jakichś pasażerów. Marta poruszała się po Warszawie komunikacją publiczną. Nie miała samochodu, bo ze względu na to, że mieszkała w centrum miasta, nie miałyby go gdzie parkować. Poza tym komunikacja publiczna w Warszawie była w miarę wygodna i sprawna. Korzystali z niej praktycznie wszyscy mieszkańcy. Zresztą Warszawa była do niedawna jednym z najbezpieczniejszych miast świata i morderstwa zdarzały się tu niezmiernie rzadko. Co za przypadek, że jedno z nich

miało miejsce w „Błęńskiej”, na dodatek na jej oddziale. Znów pomyślała o Szymańskim. Nie wiedziała, dlaczego zwykle przychodził jej do głowy wówczas, gdy myślała o morderstwach kobiet. Przecież zginął w szpitalu mniej więcej w tym samym czasie, gdy znaleziono zwłoki kolejnej ofiary. Może to jakieś wewnętrzne, samospełniające się proroctwo po tym, jak puściła plotkę, że Szymański mógł być „Bestią”. No cóż, teraz przynajmniej można go było wykluczyć z kręgu podejrzanych. Chyba że zabójców było kilku albo Szymański był zamieszany w morderstwa w jakiś inny sposób. Oczywiście, w szpitalu miało miejsce jeszcze jedno zabójstwo. Nie zapomniiała o Żakowskim. Ale przynajmniej w tym przypadku była pewna, że nie miało ono związku z „Bestią z Mokotowa”. Chociaż... Czy aby na pewno? Zabójca jej rodziców, który odnajduje się po tylu latach, akurat w jej szpitalu... A co, jeśli ona sama jest również ofiarą, ofiarą jakiejś manipulacji? Jeśli spotkanie Żakowskiego wcale nie było przypadkowe? Co, jeśli te wszystkie zdarzenia mają ze sobą jakiś związek?

Ta myśl nie opuściła jej nawet po powrocie do domu i towarzyszyła w trakcie zasypiania.

Tej nocy Marta nie spała dobrze i śniła koszmary, których na szczęście nie pamiętała po przebudzeniu.

# Rozdział 11

Marta zaczynała dyżur dopiero o 15.35. Pierwszą połowę dnia postanowiła przeznaczyć na ciągle odkładane porządki w swoim starym pokoju, teraz przekształconym w składzik. Po śmierci babci wyposażyła go w dodatkowe szafy i półki. Poustawiała w nich pudła z przedmiotami, których dalszych losów nie była pewna. Mieszkanie było wielkie i właściwie nie potrzebowała tego pomieszczenia, doskonale mieściła się w pozostałych.

Marta miała zaledwie pięć lat, kiedy zamordowano jej rodziców. Przeżyła traumę, będąc świadkiem morderstwa, i babcia nigdy nie pozwalała nikomu rozmawiać o zabójstwie przy wnuczkach. Kiedy Marta dorosła, również nie pytała babci o szczegóły zbrodni. Z jakiegoś powodu obie z Kamilą założyły, że było to morderstwo na tle rabunkowym. Ale sny, które zaczęła miewać od pewnego czasu, wskazywały na coś innego. Zresztą nie tylko sny. Dzięki nim również na jawie Marta zaczęła przypominać sobie coraz więcej szczegółów tragicznej nocy. W taki sposób odtworzyła w pamięci twarz jednego z morderców. Była również przekonana, że napastnicy czegoś szukali. Marcie wydawało się także, że babcia prowadziła własne śledztwo dotyczące śmierci córki i zięcia, a dokumenty trzymała w specjalnej teczce, którą teraz Marta chciała odnaleźć.

Wystawiła na korytarz wieżę książek, przez co utorowała sobie drogę do pierwszej szafy. Książki były w dobrym stanie i pięknie wydane, choć Marta nie przepadała za ich autorami. Postanowiła oddać je Kamili. Była pewna, że siostra chętnie je przygarnie. Powoli na korytarzu zaczęły rosnąć sterty różnych rzeczy do oddania, dzięki czemu Marta przekopywała się stopniowo w głąb pokoju. Jednak już wiedziała, że będzie to praca, która zajmie jej nie dni, a tygodnie. Sprawy nie ułatwiały ważne dla niej niegdyś przedmioty, na które co rusz natrafiała — każdy musiała wziąć do ręki i przeżyć jakiś fragment dzieciństwa na nowo. Zastygła, kiedy natrafiła na brązowego pluszowego misia z wytartym nosem. To była jej ulubiona zabawka z lat przedszkolnych, z którą nigdy się wówczas nie rozstawała. Nazwała misia Alfred Miodowicz i nie rozumiała, dlaczego dorośli śmiali się, kiedy tak na niego mówili. Miała go przy sobie wtedy, gdy patrzyła na śmierć własnej matki. Jeszcze wiele lat po morderstwie rodziców nie mogła zasnąć bez Alfreda i każde jego zaginięcie gdzieś w czeluściach mieszkania kończyło się gwałtownym wybuchem płaczu i poszukiwaniami na wielką skalę. Zniosła go teraz do swojej sypialni, ale straciła ochotę na dalsze porządkowanie. Zresztą było już dość późno, a musiała jeszcze zjeść coś przed dyżurem.

Do „Błęskiej” dotarła, jak zwykle, przed czasem. Nie lubiła się spóźniać ani się spieszyć, dlatego zawsze precyzyjnie planowała czas dojazdów, tak by być wcześniej, niż musiała. Mając w zapasie dodatkowe minuty, wstąpiła do szpitalnej apteki. Kolejka była spora, ale nie był to problem.

Kiedy była już blisko okienka, do apteki wszedł starszy, przygarbiony mężczyzna. Nie zwracając uwagi na ludzi stojących w kolejce, podszedł do okienka.

— Czy mogę prosić o szklankę wody? — spytał łamiącym się głosem. Marta miała nadzieję, że nie zasłabnie. Gdyby miała go reanimować, żaden zapas czasu nie

uchroniłby jej przed spóźnieniem.

Aptekarka natychmiast przerwała swój, przydługi już, elaborat na temat maści na hemoroidy, o które pytała niezdecydowana czterdziestolatka, i popędziła na zaplecze. Widocznie niepokojąca myśl o reanimacji jej również przemknęła przez głowę. Szybko wróciła, niosąc szklanę z wodą, którą podała staruszkowi.

— Chce pan sobie usiąść? Tam stoi krzesło. — Wskazała dłonią. — Zaprowadzić pana?

Staruszek pokiwał przecząco głową. Otworzył usta i wyjął sztuczną szczękę. Wsadził ją do szklanki, przepłukał kilka razy i założył z powrotem. Potem oddał szklanę z wodą zdumionej aptekarce i bez słowa wyszedł z apteki. Po chwili ciszy wszyscy, łącznie z aptekarką, wybuchnęli śmiechem.

Atmosfera w aptece rozluźniła się i kolejka zaczęła sprawnie iść do przodu. Do czasu. Kobieta z rudą grzywą, stojąca tuż przed Martą, poza realizacją recepty potrzebowała dodatkowo kremu pod oczy, kremu przeciwzmarszczkowego na noc i wybielającej pasty do zębów. Nie przejmując się czekającymi, z uwagą studiowała teraz drobny druk na opakowaniach przynoszonych przez farmaceutkę, udając, że nazwy w stylu *cocamidopropyl, titanium dioxide* czy *PEG-100 stearate* mają dla niej kluczowe znaczenie. Gdyby apteki sprzedawały karmę dla zwierząt, Ruda w tej chwili wahałaby się między dodatkiem wędzonego łososia, delikatnego kurczaka, a soczystej wołowiny. Nawet jeśli stanowiłyby 0,000001 procent uzupełnienia ścięgien, mączki kostnej i masy sojowej.

W konkursie na najlepszy krem pod oczy zwyciężyło wreszcie różowe opakowanie i Ruda dojrnęła do etapu płatności, która zakończył się niepowodzeniem po raz pierwszy, drugi i trzeci. Marta z niecierpliwością spoglądała na zegarek.

— Bardzo panią przepraszam, ale to jest jakiś nowy rodzaj karty. My jeszcze nie mamy tak nowoczesnych terminali. — Farmaceutka wydawała się szczerze zmartwiona. Choć równie dobrze mogła to być profesjonalnie wystudiowana poza osoby pracującej z ludźmi, w rodzaju „jestem przesadnie miła, dzięki temu unikam kłopotów”.

— Ojej — Ruda klasnęła w pulchne dłonie — to ja panią przepraszam. To przecież karta lojalnościowa Gino Rossi!

Po wyjściu z apteki Marta sprawnie przeszła labirynt szpitalnych korytarzy i szybko weszła na oddział chorób zakaźnych. W dyżurce lekarskiej panował harmider. Dostrzegła Leszka Skalskiego i podeszła do jego biurka.

— Będę cię obserwować — powiedziała, wskazując dwoma palcami ręki na swoje oczy, a następnie na oczy Leszka.

— Tak, wiem od Doroty, że już ci o nas powiedziała — westchnął. — Bo rozumiem, że tego dotyczy ten wymowny gest. Ale co konkretnie będziesz obserwować?

— Czy jej nie krzywdzisz, jasna sprawa.

— Znasz mnie już długo. Możesz rozwinąć tę myśl? Jak niby miałbym ją skrzywdzić?

— No, jest wiele możliwości. Myślą, mową, uczynkiem, zaniedbaniem...

— Aha. A jeśli ją skrzywdzę, to co?

— To cię zabiję. To chyba oczywiste.

— Dobra, przekonałaś mnie. W takim razie nie będę jej krzywdził. Tylko wolałbym, żebyśmy nie gadali tu o mnie i Dorocie. Jest za dużo ludzi. Nie chcę plotek. Sama

rozumiesz. Jest inna sprawa, o której chciałbym z tobą pomówić, bo właściwie nie mam z kim.

— O, to miłe, że chcesz porozmawiać ze mną, bo nie masz z kim.

— Chodź do kanciapy, nie chcę, żeby inni usłyszeli. — Leszek zignorował jej sarkazm.

Kanciapa była niewielkim, wielofunkcyjnym pomieszczeniem, wykorzystywanym na oddziale głównie przez lekarzy do przeprowadzania wywiadów z pacjentami przebywającymi w wieloosobowych salach, w których nie było prywatności.

— Chcesz uniknąć plotek w miejscu pracy i prowadzisz mnie na oczach innych do kanciapy? Jesteś na najlepszej drodze do tego, by Dorota dowiedziała się od kogoś życzliwego, że zdradzasz ją z jej najlepszą przyjaciółką.

Leszek nie podchwycił żartu i Marta pomyślała, że albo jego związek z Dorotą jest już bardzo poważny, albo tak poważne jest to, o czym chce z nią pogadać. Poszła za nim bez słowa. Kiedy weszli do kanciapy, Leszek dokładnie zamknął za sobą drzwi.

— Podstuchiłem rozmowę Starego z Marchlewskim. Marchlewski ma zostać zastępcą ordynatora.

Przydomek Stary należał do ordynatora oddziału zakaźnego. Marchlewski był lekarzem pracującym na oddziale zamkniętym. Tajemnicą poliszynela było to, że cała trójka, razem z Szymańskim, kiedy ten jeszcze żył, prowadziła wspólnie szemrane interesy.

— Jesteś tym zaskoczony? Marchlewski to władzidup. I wie o Starym dużo za dużo. To przecież naturalny wybór.

— Nie, ale jestem zaskoczony tym, kto jeszcze uczestniczył w tej rozmowie.

— Kto?

— Feld i Salpeter.

Marta uniosła brwi. Dobrze знаła obu cwaniaków. Filip Feld był jednym z pierwszych pacjentów zakażonych HIV w Polsce. Kiedy innym chorym wydawało się, że HIV to wyrok śmierci, Feld postanowił działać w myśl słynnego amerykańskiego przysłowia: „Kiedy życie daje ci cytryny, zrób z nich lemoniadę”. Założył organizację pozarządową o nazwie „Nowa nadzieja”, zajmującą się prawami osób zakażonych HIV, zwalczaniem ich stygmatyzacji oraz lobbowaniem za powszechnym dostępem do leków antyretrowirusowych. Bez niego oraz ludzi związanych z „Nową nadzieją” nie odbywała się w Polsce żadna konferencja poświęcona HIV i AIDS. To on walczył jak lew, by budżet programu lekowego Ministerstwa Zdrowia, związanego z finansowaniem leczenia antyretrowirusowego, miał dużo zer. Oczywiście wszystko dla dobra pacjentów.

Tyle wiadomo z oficjalnych informacji, których Feld chętnie udzielał w wywiadach zachwyconym dziennikarzom, rozpyłującym się nad działalnością „Nowej nadziei”. Marta znała jednak drugie dno tej historii. Tak naprawdę Feld pracował w przeszłości jako męska prostytutka i w ten sposób zaraził się HIV. Jeden z jego klientów zajmował wówczas wysokie stanowisko w firmie farmaceutycznej produkującej leki antyretrowirusowe drugiego i trzeciego rzutu. Takie leki kosztowały kilkakrotnie, a nawet kilkunastokrotnie więcej niż leki pierwszego rzutu i mogły być podawane pacjentom tylko wówczas, gdy leki pierwszego rzutu były nieskuteczne lub powodowały u nich poważne działania niepożądane. To oczywiście nie wystarczało firmie farmaceutycznej, której zależało na zwiększeniu sprzedaży. Wykorzystano więc ideę organizacji pacjenckich, znanych na Zachodzie już od dawna, a które w Polsce

dopiero wówczas raczkowały. Organizacje takie, mające zwykle status fundacji, teoretycznie powinny być zakładane z inicjatywy samych pacjentów — osób chorych na daną chorobę — by nadzorować procesy legislacyjne związane z leczeniem oraz opieką. W praktyce zdarza się, że powoływane są do życia przez „słupy” — ludzi opłacanych przez firmy farmaceutyczne produkujące konkretny lek.

Takie firmy znajdują osoby chore na daną chorobę, które zdradzają talenty medialne — wygadane, z nienaganną prezencją oraz odpowiednio kliwią historią życia, którą można ładnie sprzedać w mediach. Feld spełniał te kryteria, z wyjątkiem ostatniego. Jego historię zmodyfikowano więc na potrzeby całego przedsięwzięcia i oficjalnie na stronie fundacji można było przeczytać, że jej założyciel zaraził się HIV podczas przetaczania krwi, której potrzebował z powodu poważnych obrażeń doznanych w wypadku samochodowym. W powstałej nie z jego winy kolizji miał uratować młodą matkę i jej półroczne dziecko. Firma farmaceutyczna zapewniła „Nowej nadziei” pieniądze niezbędne do działania organizacji oraz profesjonalną opiekę prawną, jak również usługi agencji PR, która poprzez opłacanych dziennikarzy snuła w pismach branżowych katastroficzne wizje świata, które mogą się ziścić, jeśli Ministerstwo Zdrowia nie sfinansuje leków X i Y. Dodatkowo wybitnie wygadany Feld zajmował się praniem mózgow lekarzy leczących HIV. Dzięki temu, że przyjeżdżał na wszystkie ich konferencje, z czasem przeszedł z większością na „ty”. Do każdego podchodził indywidualnie — niektórym wystarczyły niezrozumiałe wykresy, innym informacje, że „tak się robi w cywilizowanych krajach zachodnich”, a jeszcze inni potrzebowali delikatnych zachęt oferowanych już w kularach. Najczęściej jednak kulary rezerwowane były dla profesorów i ordynatorów, którzy tylko sobie znanymi sposobami potrafilি później skłonić podwładnych do odpowiednich działań.

Marta była tym zszokowana. Od kolegów innych specjalizacji słyszała, że takie same mechanizmy rządzą finansowaniem leków na stwardnienie rozsiane czy raka piersi. I że wszędzie są takie same, niezależnie, czy jest to Warszawa, Londyn czy Nowy Jork. Intuicja podpowiadała jej, by unikać polityki i schodzić z drogi takim ludziom jak Feld czy Stary. Wiedziała, że są zdolni do wszystkiego i nieraz była świadkiem, jak niszczyli jej kolegów tylko dlatego, że ci stawiali zbyt duży opór. Marta uważała się za przeciętną kobietę, która pragnie tego, co reszta zwykłych kobiet — męża, dzieci i pracy, za którą będzie mogła utrzymać siebie i dokładać się do utrzymania przyszłej rodziny. Dlatego nie była zadowolona z tego, że Leszek wybrał właśnie ją do tej rozmowy, i wcale nie chciała wiedzieć, co powie dalej. Zwłaszcza że w całą sprawę wplątany był też inny czarny charakter, Wiktor Salpeter.

Salpeter był lobbystą. Prowadził w Warszawie firmę o nazwie „WS Public Affairs Management”, w skrócie WSPAM. Oficjalnie, jak przystało na firmę lobbingsową, zajmowała się ona „obroną interesów swoich klientów poprzez nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z politykami i instytucjami publicznymi”. Tak przynajmniej można było przeczytać na stronie internetowej. Salpeter rozpowszechniał na prawo i lewo informacje o swoich rzekomych powiązaniach ze służbami specjalnymi, dzięki czemu jego klienci mogli liczyć na parasol ochronny „kolegów” oraz „wsparcie” w prokuraturze. Oczywiście nie było to prawdą. W rzeczywistości Salpeter był zwykłym przestępcą, byłym członkiem jednego z podwarszawskich gangów i miał na koncie pokaźną liczbę odsiadek za rozboje i kradzieże. Otwarcie legalnej działalności biznesowej dawało mu nowe możliwości działania w sensie prawnym, bo w praktyce nadal parał się tym samym, co

dotychczas — korumpowaniem, wymuszaniem, zastraszaniem oraz, oczywiście, kradzieżami. Marta zetknęła się z tą kreaturą już w przeszłości i nigdy więcej nie chciała mieć z nią nic do czynienia. Uważała, że Salpeter może mieć na sumieniu znacznie więcej niż rozboje i najzwyczajniej w świecie bała się go.

— Skąd wiesz, o czym rozmawiali? — spytała Leszka, choć wcale nie chciała znać odpowiedzi.

— Koło gabinetu Starego jest składzik, w którym trzymamy zapasy pościeli, ręczników, fartuchów, rękawiczek, masek...

— Na miłość boską, wiem, co tam trzymamy! No i...?

— Kiedyś, zupełnie przez przypadek, odkryłem, że gabinet Starego i składzik przedzielone są wewnętrznymi drzwiami. Nikt ich nigdy nie zamurował, zostały jedynie zasłonięte ścianką gipsową i szafą. Któregoś dnia szukałem tam czegoś i niechcący strąciłem z półki pudełko z chustkami do dezynfekcji. Wpadło pod szafę i musiałem się tam schylić, żeby je wydostać. Wtedy usłyszałem, jak Stary głośno nawija. Tak wyraźnie, jak gdyby stał obok mnie. Okazało się, że ścianki gipsowej nie wystarczyło na całą wnękę drzwiową i na dole jest dziura odsłaniająca drzwi. A pod drzwiami wielka szpara. Jeśli zbliżysz się do niej odpowiednio blisko, możesz usłyszeć każde słowo wypowiedziane w gabinecie Starego. Od tego czasu wykorzystuję czasem to odkrycie...

— To znaczy podsłuchujesz jego rozmowy?

— Tylko, jeśli dotyczą mnie albo tematów ze mną związanych.

— Proszę, oświeć mnie, jakim cudem spotkanie Starego, Marchlewskiego, Felda i Salpetera miałyby dotyczyć ciebie?

— Nie bezpośrednio. Ale jeśli spotykają się w gabinecie Starego, który jest konsultantem wojewódzkim chorób zakaźnych, na dodatek w największym szpitalu klinicznym w Polsce, który prowadzi najwięcej badań klinicznych i który jest ośrodkiem wiodącym, jeśli chodzi o leczenie HIV i AIDS oraz wirusowych zapaleń wątroby — a sama wiesz, jaka kasa płynie z programów lekowych — to z całą pewnością coś się święci. Coś, co wpłynie na pracę moją, twoją i wszystkich na tym oddziale. Takim cudem.

— No dobrze, ale dlaczego mi o tym wszystkim mówisz? Co ja mam z tym wspólnego?

— Bo jesteś jak piskorz, wyślizgujesz się z każdego syfu. A ja chyba niechcący wdepnąłem w jakiś megasyf. Chcę, żebyś mi poradziła, co mam zrobić, bo to, co usłyszałem, jest naprawdę grube.

— Mówisz poważnie? W takim razie mój instynkt piskorza podpowiada mi, żebyś zapomniał o wszystkim, co tam usłyszałeś. I żebyś nigdy z nikim więcej o tym nie gadał. A przede wszystkim, żebyś wymazał z pamięci naszą rozmowę. — Marta była naprawdę wściekła. Leszek natrafił na jakąś aferę. Już sama wiedza o niej mogła rodzić poważne konsekwencje, potencjalnie również dla niej.

— Nie mogę ot tak o tym zapomnieć.

— Dlaczego nie możesz?

— Bo to wszystko nagrałem. Całą ich rozmowę. Od początku do końca.

— Na miłość boską, Leszek. — Marta podniosła głos. — Natychmiast wykasuj to nagranie!

— Nie chcesz wiedzieć, o czym rozmawiali?

— W żadnym wypadku. Trzymaj mnie od tego z daleka. Mówię poważnie.

— To też będzie trudne.

— Dlaczego?

— Bo zapisałem tę rozmowę w chmurze. Na wszelki wypadek zrobiłem pewne zabezpieczenie. Raz w tygodniu muszę logować się do konta. Jeśli tego nie zrobię, rozmowa zostanie przesłana do ciebie.

— Ale ja jej nie chcę!

— Nie krzycz. Dostaniesz ją tylko wtedy, jeśli coś mi się stanie. Wtedy zdecydujesz, czy chcesz ją wykasować, czy przesłuchać.

— Zmień te ustawienia! Wyślij do kogoś innego. A najlepiej wykasuj.

— Może tak zrobię. A może nie. Na wszelki wypadek wolałem, żebyś o wszystkim wiedziała. — Leszek wyszedł na korytarz.

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! Mówię, że nie chcę wiedzieć! Przestań mnie w to wciągać! — Ostatnie zdanie Marta wyrzeszczała do zamkniętych drzwi.

Spojrzała na zegarek. Musiała wracać na oddział, przejąć dyżur. Kopnęła z wściekłością w plastikowy kosz na śmieci i wyrzuciła z siebie soczysty stek przekleństw.



## Rozdział 12

Rozmowa z Leszkiem zepsuła jej humor. Myślała o niej praktycznie przez cały dyżur. Dobry nastrój wrócił jej dopiero rano, kiedy dotarła do domu. Po południu miała randkę z Michałem i nie mogła się jej doczekać, ale przed spotkaniem musiała odespać nieprzespaną noc. Przed pójściem do łóżka zadzwoniła do Michała, uzgodnić wybór filmu. Co prawda dał jej wolną rękę, ale wolała się upewnić.

— O szesnastej w kinie „Luna” jest niezły thriller. Lubisz thrillery?

— Uwielbiam. Już się bałem, że wybierzesz jakąś dziadowską komedię z młodym Stuhrem.

Marta roześmiała się.

— Czyli na komedie ze Stuhrem mam chodzić sama albo z koleżankami?

— Tak. Jeśli w ogóle musisz na nie chodzić...

— A po kinie kolacja...

— U mnie.

— Czyli gdzie?

— Zobaczysz.

— To zobaczysz jest daleko?

— Nie za bardzo.

— Tajemniczy jesteś. Nic nie mogę od ciebie wyciągnąć. A co będzie na kolację?

— Niespodzianka.

— Nie lubię niespodzianek.

— Dlaczego?

— Bo wiem, czego chcę. Osoby, które wiedzą, czego chcą, nie lubią niespodzianek. Niespodzianki okazują się zwykle tym, czego nie chciały.

— Nie marudź. Ta ci się spodoba.

— Oby! A pamiętasz, że nie jem mięsa?

— A znasz dowcip o tym, jak rozpoznać wegetarianina?

— Nie. Jak?

— Sam ci to powie.

— Ha, ha, bardzo śmieszne.

— Pamiętam, żeś niemięsożerna. Wszystko mam pod kontrolą. Kładź się wreszcie, nie spałaś tej nocy. A nie wiadomo, czy dam ci usnąć kolejnej...

Marta miała nadzieję, że nieprędko. Pożegnała się z Michałem i zasunęła na okno zasłony zaciemniające. Kosztowały fortunę, ale były warte każdej złotówki, zwłaszcza wtedy, kiedy trzeba było odsypiać dyżur przy pełnym, majowym słońcu. Była w trakcie wyciszania komórki, kiedy ta nagle zaczęła pulsować żółtym światłem. Dzwonił Marek Leśniowski. Marta westchnęła i odebrała.

— Wiem już, czym jest ta szara breja, którą mi podrzuciłaś do analizy — Marek mówił przejętym głosem.

— Czym?

— Możesz do mnie podjechać?

— Do Krainy Oz? Jestem po dyżurze. Kładłam się właśnie spać.

— No i? Położysz się później.

— Ale ja padam z nóg i jestem już w piżamie... — Marcie zależało na rozwiązaniu zagadki, ale nie dzisiaj. Dzisiaj miała randkę z Michałem. — Nie możesz powiedzieć przez telefon?

— Wolałbym nie, ale niech ci będzie. — Marek nie był zachwycony. — Miałś rację, ta breja to nie żaden fungicyd. Wręcz przeciwnie, to bardzo skomplikowana pożywka do hodowli buławinki. Nie udało mi się jeszcze zidentyfikować wszystkich jej składników, ale z tego, co już mam i co mogłem sprawdzić w rejestrze patentów, jej skład nie został dotąd zastrzeżony. Co oznacza, że potencjalnie to żyła złota. Jak myślisz, dlaczego nikt dotąd tego nie opatentował?

— Nie wiem, nie miał czasu, padał z nóg po dyżurze...

— Dobra, wróćmy do naszej ostatniej rozmowy, kiedy powiedziałem, że musimy to zgłosić, a ty obiecałaś, że tak zrobimy, jeżeli tylko uzyskamy więcej informacji. Pamiętasz? Mamy już te informacje, więc co teraz?

— Pomyślę o tym.

— Pomyślisz? Twój sąsiad biega z wiadrami nieopatentowanej pożywki wartej miliony, a ty o tym pomyślisz?

— Sam mówiłeś, że on może być częścią jakiejś grupy. Nie chcę, żebyśmy znaleźli się w niebezpieczeństwie. W takich sprawach nie działa się pochopnie. Obiecuję, że się nad tym zastanowię, ale nie teraz. Teraz muszę iść spać.

— Wiedziałem, że tak to się skończy, jeśli powiem ci wszystko przez telefon. Marta, to poważna sprawa, musimy się naradzić. Kiedy...

— Marek, naprawdę muszę kończyć. Odezwę się.

— Marta, Marta, nie rozłączaj się, trzeba... — Marta nie usłyszała dalszego ciągu. Telefon migał jeszcze kilka razy, ale nie zwracała na to uwagi. Poczowała wyrzuty sumienia. W końcu sama wciągnęła Marka w tę sprawę, a teraz go po prostu ignorowała. Ale musiała dobrze rozważyć, co robić dalej, a w tym momencie mogła myśleć jedynie o spaniu. Przyłożyła głowę do poduszki i wyrzuty sumienia natychmiast zniknęły. Usnęła jak kamień.

Budzik zadzwonił o czternastej. Marta wstała natychmiast. Normalnie spałaby dłużej, ale perspektywa spotkania z Michałem działała jak dobra kawa. Podeszła do lustra i przyjrzała się sobie krytycznie. Musiała zrobić się na bóstwo. No dobra, z tym bóstwem to trochę przesada, powinna skupić się na rzeczach wykonalnych, czyli zacząć od paskudnych worków pod oczami. Wynik długoletniego dyżurowania i wiecznych nerwów. Wzięła prysznic i spędziła w łazience następane czterdzieści minut, wklepując w twarz rozmaite kremy i inne mazidła, po których worki stały się mniej widoczne. Zadowolona z efektu podeszła do szafy i wybrała luźną sukienkę w kwiatki. Chciała wyglądać trzpiotowato i wiosennie, a sukienka odejmowała jej kilka lat.

Kiedy przechodziła przez plac Zbawiciela, kilku siedzących przy stolikach „Trzeciego Planu” mężczyźni spojrzeli w stronę Marty z zainteresowaniem, co zdecydowanie poprawiło jej humor.

Michał czekał przed kinem „Luna”. Wyglądał jak aktor filmowy i trzymał w ręku ogromną, czerwoną różę. Marta nie lubiła róż, zwłaszcza czerwonych, ale od Michała przyjąłaby nawet oset.

— Jest śliczna. Uwielbiam róże. — Wzięła głęboki wdech, udając, że wacha różę i uważając, by nie powąchać jej naprawdę. Nie lubiła również zapachu róż. — Na dodatek ślicznie pachnie — skłamała.

— Wyglądasz jak zwykle pięknie. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam. — Michał pochylił się i pocałował ją w usta. Marta oceniła w duchu, że początek ich randki był nadzwyczaj udany i zasługiwał na podobnie udany dalszy ciąg.

W „Lunie” usiedli w ostatnim rzędzie, na jednym z podwójnych foteli. Chcieli być blisko siebie i migdalić się podczas seansu, jak na klasycznej randce. Jednak, ku ich zaskoczeniu, film okazał się rewelacyjny i zajęci byli głównie oglądaniem. Choć oczywiście w nudniejszych momentach przypominali sobie, że są na randce.

— To co robimy teraz? Masz samochód czy bierzemy taksówkę? — spytała Marta, kiedy wyszli już z kina.

— Idziemy piechotą.

— Dokąd?

— Niedaleko. Zobaczysz. Chodź! — Michał objął ją w pasie i zaczął prowadzić w stronę placu Unii Lubelskiej.

Po kilku minutach skręcili w ulicę Litewską i zatrzymali się przed wejściem do jednej z kamienic. Michał zaczął wstukować kod do domofonu.

— Mieszkasz na Litewskiej? Dlaczego się nie przyznałeś? Jesteśmy praktycznie sąsiadami.

— Fakt. Chciałem cię zaskoczyć.

Kiedy weszli do mieszkania, Marta uniosła kciuki w geście uznania. Nie spodziewała się, że Michał jest takim estetą. Mieszkanie, choć niewielkie, urządzone było niezwykle elegancko, w formie studia, w odcieniach szarości i czerni.

— Fiu, fiu... A policjanci narzekają, że niewiele zarabiają — powiedziała, rozglądając się dookoła.

— Lekarze też tak o sobie mówią, a niektórych stać nawet na apartamenty w centrum Warszawy — odwzajemnił się Michał.

— Nie jest jeszcze mój, ale to długa historia, której nie będę teraz opowiadać — westchnęła Marta.

— Mamy dużo czasu. Proponuję zacząć od kolacji. — Michał zapalił świecę na stole i w mieszkaniu zrobiło się nagle bardzo romantycznie.

— Gdzie jest twój kot? — Marta rozejrzała się dookoła.

— Nie lubi obcych. Wyjdzie, kiedy nabierze odwagi. Daj mu trochę czasu.

— O, widzę, że masz też rybki. Nie wspominałeś o nich. Jest tu jakaś złota, która spełnia życzenia? — Marta podeszła do niewielkiego akwarium stojącego na komodzie i zorientowała się, że to jednak nie akwarium. Z zainteresowaniem przyjrzała się zawartości.

— To formikarium. Z mrówkami — sprostował Michał, choć Marta zdążyła już to sama zauważyć.

— Nie wiedziałam, że można je hodować.

— Są praktyczniejsze od rybek, bo nie potrzebują tak dużego zaangażowania. Zwłaszcza ten gatunek, który mam, Messor barbarus, czyli mrówki żniwiarki. Żywią się nasionami i są mało agresywne. Karmię je raz w tygodniu, wtedy też sprzątam im arenę i zmieniam wodę w poidelku. Uwielbiam je obserwować. To mnie relaksuje. Żyją sobie spokojnie w tym swoim mrówczym świecie i zupełnie im nie przeszkadza, że je podglądam. Żniwiarki mają bardzo złożone podziały społeczne. Spójrz na gipsowe gniazdo, na korytarz w jego prawym dolnym rogu. — Michał podszedł do formikarium i postukał delikatnie w szybę. Mrówki natychmiast się ożywiły. — Widzisz tę ogromną? To królowa. Praktycznie nie opuszcza komory lęgowej. Znosi

jaja, którymi opiekują się mniejsze mrówki, te wokół niej, piastunki. Jak przyjrzesz się uważnie, to zauważysz też żołnierzy, z wielkimi głowami i żuwaczkami. Mają służyć do obrony gniazda, ale w tych warunkach głównie rozłupują nimi ziarna.

— Karmisz je tylko raz w tygodniu? Brzmi idealnie — powiedziała Marta. — Szkoda tylko, że nie spełniają życzeń.

— Moje spełniają. Wypowiedz jakieś.

— Tylko jedno? Złota rybka spełnia trzy — zaśmiała się Marta.

— Mrówki spełniają po jednym, ale mam ich siedemdziesiąt osiem. Albo coś koło tego. Zabraknie ci życzeń do wypowiedziania.

— To chyba mnie nie znasz.

— Na razie znam mało. Ale mam nadzieję, że wkrótce poznam lepiej. — Michał pocałował Martę i ruszył w stronę lodówki. Wyjął z niej dwa garnki i postawił na gazie. Wkrótce mieszkanie wypełnił aromat niosący ze sobą obietnicę dobrej kolacji.

W oczekiwaniu na posiłek Marta rozejrzała się po mieszkaniu. Podeszła do szafki nocnej stojącej przy biurku i podniosła leżącą tam książkę.

— *Cząstki elementarne* Houellebecqa. No proszę, nie wiedziałam, że chłopcy z prewencji mają tak wyrafinowany gust literacki.

— A co, myślałaś, że jak policjant, to z literatury francuskiej czytuje tylko gazetki Carrefoura?

— Coś w tym stylu — odparła złośliwie, kontynuując zwiedzanie mieszkania. Przeszła obok nowoczesnego biurka ustawionego w samym rogu pomieszczenia. Stał na nim laptop i piętrzyły się jakieś dokumenty. Najwyraźniej tutaj Michał pracował, kiedy nie był na komendzie lub na jakiejś interwencji. Nagle coś przykuło jej uwagę. Wzięła do ręki kolejną książkę, tym razem zaskakująco znajomą.

— *Zarys anatomii człowieka* Krechowieckiego? A to niespodzianka. Do czego ci to potrzebne?

— Gdzie ją znalazłaś? — Wyglądał na zakłopotanego.

— Na twoim biurku.

— A, stare dzieje. Nie wiem, po co ją tam położyłem. Może przez przypadek.

— Ale po co ci w ogóle Krechowiecki?

— Został mi z któregoś z kursów medycyny sądowej. Obowiązkowo je odbywamy. Znasz tę książkę?

— Na anatomii uczyliśmy się głównie z Bochenka. Ale tak, Krechowiecki był przydatny na kolokwia. Macie w prewencji kursy z medycyny sądowej? — spytała z powątpiewaniem.

— Marta, w każdym zawodzie człowiek powinien się doksztalać. A w twoim i moim to wręcz niezbędne. Zostaw już to. Podano do stołu, zapraszam. — Michał postawił na stole dwa talerze napełnione gęstą zupą, która pachniała bardzo intensywnie.

Nieprzekonana tłumaczeniem Michała wróciła do stołu. Zapach sprawił, że poczuła się naprawdę głodna.

— To zupa z czerwonej soczewicy? Jest przepyszna — powiedziała, kiedy spróbowała potrawy.

— Tak, czerwona soczewica, mleko kokosowe, pomidory i przyprawy: kumin, kurkuma, garam mas... masa...

— Garam masala. Taka indyjska mieszanka przypraw. Dlaczego czytasz składniki z kartki? — roześmiała się Marta.

— Znajomy jest kucharzem. Pracuje w jednej z wegetariańskich knajp w Warszawie. Poprosiłem go, żeby ugotował coś specjalnego. A na wypadek, gdybyś się dopytywała, kazałem mu napisać listę składników.

— Ty spryciarzu. Co musiałeś zrobić w zamian? Aresztować konkurencję?

— On nie ma konkurencji. Przekonasz się przy drugim daniu. Nawet ja zachodzę do niego na obiad, choć lubię schabowego.

Michał nie kłamał. Pieczony batat z serem feta i granatem był wyśmienity. Marta chętnie poprosiłaby o dokładkę, ale czekał ją jeszcze deser, na który nabierała coraz większej ochoty. Michał czytał jej w myślach.

— Deser? — spytał i pocałował ją w usta.

Przenieśli się na łóżko. Marta zauważyła, że było bardzo wygodne, a pościel pachniała świeżością. Michał przygotował się do pierwszej randki perfekcyjnie. Nic więcej nie zdążyła zauważyć, bo dotyk Michała sprawił, że mogła myśleć tylko o jednym.

Po wszystkim leżeli bez słowa, wtuleni w siebie i spoceni. Ciszę przerwał ogromny rudy kot, który wskoczył na łóżko i zaczął bacznie przyglądać się Marcie.

— Pytałaś o mojego kota. Oto i on.

— Cześć, kocie. — Marta pomachała stopą tuż nad jego głową. Kot nawet na moment nie przestał wpatrywać się w jej oczy. — Jak ma na imię?

— Kot.

— Niech zgadnę — a twoje mrówki nazywają się Mrówki? Bardzo oryginalnie. Ja bym go nazwała Garfield. Bo wygląda, jakby przed chwilą zżarł lazaniec.

— Bo Garfield brzmi bardzo oryginalnie.

— Na pewno lepiej niż Kot. O co w ogóle chodzi z tym Kotem? To na cześć tego aktora?

— Kiedyś dostaliśmy wezwanie do pożaru, w którym zginęła prawie cała rodzina, matka i trójka dzieci. Najmłodsze miało sześć miesięcy. Widok zwęglonych zwłok był straszny, będę go pamiętał do końca życia. Kobieta próbowała osłonić przed ogniem najmłodsze dziecko, które spało razem z nią w łóżku. Ich spalone ciała znaleźliśmy wtopione w siebie jak woskowe świece. — Michał umilkł na chwilę. — Wkrótce okazało się, że pożar nie wybuchł przypadkiem. To było podpalenie, a sprawcą był mąż kobiety i ojciec tych dzieci. Znalazł sobie jakąś babkę, z którą chciał rozpocząć nowe życie. Żona i dzieci tylko mu przeszkadzały. Jakiś czas przed podłożeniem ognia ubezpieczył dom, wykupił też polisy całej rodzinie. Wszystkie okna miały kraty. Sypialnie były na piętrze. Facet w nocy pozamykał ich pokoje na klucz, żeby nie mogli się wydostać, po czym podłożył ogień na schodach, a sam się ulotnił. Zginęli wszyscy obecni w domu. Z jednym wyjątkiem — kota, którego dzieci dostały od dziadków kilka dni wcześniej. Kot spał w kuchni na dole i cudem ocalał, choć ogniem zajął się też parter. Kiedy go znaleźliśmy, nie ruszał się, nie wydawał żadnych dźwięków i byliśmy pewni, że też nie żyje. Ale kiedy ktoś go podniósł, kot otworzył oczy. Zawieźliśmy go do weterynarza. Ten ocenił, że kot nie ma szans na przeżycie. Okazało się jednak, że wracał do zdrowia i podleczoney mógł być oddany do adopcji. Ale z powodu tej blizny po poparzeniu nikt go nie chciał. — Marta dopiero teraz zauważyła na grzbiecie kota olbrzymi keloid, bliznowiec, w okolicy którego nie rosła sierść. Widok był odpychający nawet dla Marty, która widziała w życiu wiele okropieństw.

— Ze względu na bliznę oraz fakt, że kot bał się ludzi i ich unikał — kontynuował Michał. — A wiesz, co dzieje się ze zwierzętami, których nikt nie chce? — Marta

kiwnęła głową. — Nie mogłem pozwolić, by stworzenie, któremu udało się przetrwać tak straszną tragedię, zostało teraz uspijone. Przygarnąłem je, ale nie sądziłem, że tak długo ze mną zostanie. Mam małe mieszkanie, ciągle pracuję i rzadko bywam w domu. Wydawało mi się, że to nie są dobre warunki dla kota. Nie dałem mu żadnego imienia, żeby łatwiej było mi się z nim rozstać. Szukałem dla niego nowego, lepszego miejsca. Bez skutku. Czas płynął, a kot ciągle był ze mną. I tak pozostał Kotem. Bardzo się ze sobą zżyliśmy. — Nagle, jakby na potwierdzenie słów Michała, kot wydał z siebie dziwny dźwięk i oblizał się. — A, zapomniałem ci powiedzieć, że on nie potrafi miauczeć. Weterynarz podejrzewa, że miał oparzenie krtani i doszło do uszkodzenia strun głosowych. Ale i tak doskonale się rozumiemy. Teraz na przykład powiedział, że chce jeść.

— Sądząc po jego gabarytach, pewnie nie mówi nic innego — roześmiała się Marta.

— To fakt, lubi sobie podjeść. I co mogę z tym zrobić? Jest po strasznych przejściach. Przecież nie będę biedaka głodził. Prawda, Kocie? — Kot znów wydał z siebie dziwny dźwięk, zbliżył się do stóp Marty i wsadził do pyska jej paluch.

— Auć, co on robi? Chce mi go odgryźć? Jest aż tak głodny?

— Spokojnie, nie ugryzie cię. Czasami ssie ludziom palce. Ale tylko tym, których lubi. Widzisz, od razu cię polubił.

— To cudownie — odpowiedziała bez przekonania Marta. — Ale może lepiej nasyp mu po prostu karmy dla kotów.

— Nie, dzisiaj już zjadł tyle, ile trzeba. — Kot chyba zrozumiał, bo zawiedziony zeskoczył z łóżka i zaszył się w jakiejś kryjówce. — Wiesz, jaki wyrok dostał ten morderca? — Michał powrócił do przerwanej przez kota rozmowy.

— Ten podpalacz?

— Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat za zabicie czterech osób. Uważasz, że to sprawiedliwy wyrok?

— Uważam, że bardzo niesprawiedliwy. Ale co byłoby sprawiedliwym wyrokiem?

— Kara śmierci.

— Kara śmierci nie wróci życia tej rodzinie.

— Jej brak też nie.

— Dlaczego sądzisz, że kara śmierci byłaby sprawiedliwym wyrokiem?

— Bo kara powinna być proporcjonalna do zbrodni.

— Ale w tym wypadku by nie była. Zabił cztery osoby. Nie możesz go zabić cztery razy. Poza tym, żeby zachować proporcje, musiałby umrzeć w ten sam sposób, w męczarniach, w płomieniach.

— Jeśli o mnie chodzi, nic nie stałoby na przeszkodzie.

— Michał, jakim cudem zaczęliśmy na naszej randce rozmawiać o karze śmierci?

— Masz rację, nie wiem, jak do tego doszło. Wszystko przez mojego kota. Lepiej powiedz coś o tych swoich życzeniach. Jest jakieś największe?

— Hmm... Największe życzenie... — Marta pomyślała przez chwilę. Było ich kilka, ale wszystkie zbyt osobiste, by rozmawiać o nich w łóżku z mężczyzną, z którym nawet nie była w związku. Na szczęście była królową uników. — Jest takie jedno, tylko się nie śmieję.

— No nie wiem, zdecyduję, jak usłyszę. Auć, nie w szczepionkę! — Udał, że rozmasowuje biceps, w który właśnie dostał kuksańca.

— No więc chciałabym, żeby śmieci zawsze przyklejały się do czoła osoby, która je wyrzuca lub zostawia w miejscu, które nie jest do tego przeznaczone.

— Żeby co? — Michał roześmiał się mimo groźnej miny Marty. — To jest naprawdę twoje największe życzenie?

— To jest moje największe życzenie.

— Poważnie?

— A wyglądam, jakbym nie była poważna? Te wszystkie butelki walające się po krzakach, pety na przystankach, psie kupy na chodnikach... Albo kiedy wchodzisz do lasu, a tam leży jakaś stara, rdzewiąca lodówka. Tragedia. Wyobraź sobie, jak cudownie byłoby nauczyć ludzi porządku, tak skutecznie, żeby zaczęli po sobie wreszcie sprzątać. Tyle że mój sposób naprawdę wymagałby złotej rybki albo magicznych mrówek.

— I jak niby miałyby to wyglądać?

— Wyobraź sobie, że śmieci unoszą się z ziemi i przylepiają do czoła tym wszystkim egoistycznym typom, którym nie chce się podejść kilka kroków do śmietnika. Nie mówię, że na zawsze. Ale tak na trzy dni, na przykład. Potem mogłyby odpadać. Wierz mi, trzy dni by wystarczyły, żeby nauczyć ich wszystkich porządku. Gdyby mój sąsiad z góry, który pali na balkonie i wyrzuca pety na chodnik przed kamienicą, położył trzy dni z czołem jak popielniczka albo niunia spod trójki, której nie chce się schylić, żeby podnieść i wyrzucić gówienko swojego Puszka, polansowała się ze śmierdzącym plackiem na czole, to następnym razem upewniliby się pięć razy, czy nie zostawili po sobie żadnej pamiątki.

Michał znowu się roześmiał.

— I gdyby każdy szmaciarz, który wywozi do lasu sedesy i pralki, musiał w tym lesie spędzić trzy dni z łbem przygniecionym tym dziadostwem do ziemi, to mielibyśmy lasy czyste jak łzy dziewic — kontynuowała Marta.

— Tylko mogłoby się zdarzyć tak, że nagle musielibyśmy zmienić zdanie o ludziach, których wydaje nam się, że znamy — wtrącił Michał.

— To prawda, istnieje takie niebezpieczeństwo. Niech tylko spojrzę na twoje czoło, a dowiem się, kim jesteś — zaśmiała się Marta. — W krótkim czasie nastałby taki porządek, jakiego nikomu nie udało się jeszcze wprowadzić. Nawet w Singapurze. Choć tam za śmiecenie i malowanie graffiti karze się chłostać. Gdyby moje życzenie mogło się spełnić, nikogo nie trzeba by było chłostać.

— Fajne życzenie. Aż żałuję, że nie mam złotej rybki.

— Przecież mówiłeś, że twoje mrówki też spełniają życzenia.

— Kłamałem. To był taki podstęp, żeby dowiedzieć się, o czym marzysz.

— Tak właśnie kończą się randki z policjantami. — Marta westchnęła teatralnie. — Tylko wyciągają z człowieka informacje.

— Jeszcze nie wyciągnąłem z ciebie wszystkiego. Zresztą na razie mówisz mi tylko to, co sama chcesz.

— I nic więcej ci już nie powiem. A przynajmniej nie przed deserem. Tylko takim, który ma węglowodany. Dużo węglowodanów i kalorii.

— Ależ nie śmiałym częstować cię żadnym innym — odpowiedział Michał i wyjął z lodówki tort bezowy.

„Mogłabym się w nim zakochać” — pomyślała Marta i sięgnęła po talerz.

## Rozdział 13

Marta pierwszy raz w życiu spóźniła się do pracy. Co prawda tylko kilkanaście minut i tylko dlatego, że kierowca autobusu zamknął jej drzwi przed nosem, ale i tak przywitały ją pełne zdziwienia spojrzenia kolegów przywykłych do tego, że zwykle przychodziła na oddział jako pierwsza. Nie zamierzała się usprawiedliwiać ani tłumaczyć — uznała, że najlepsza randka w życiu była warta nadszarpnięcia reputacji najbardziej punktualnego pracownika. Nie miała też pretensji do kierowcy autobusu. Zawsze uważała, że jeśli komuś zależy na kursie o konkretnej godzinie, powinien tak wychodzić z domu, żeby zdążyć. Tylko że Marcie wyjście z domu przyszło dzisiaj z wielkim trudem. Michał odprowadził ją do mieszkania bardzo późno, właściwie nad ranem, a poprzedniej nocy miała dyżur, którego nie zdążyła dobrze odespać. Desperacko pragnęła kawy i dopiero kiedy w jej dłoni znalazł się dymiący kubek, mogła zacząć czytać raport dyżurnego. Na szczęście z jej pacjentami nie działo się w nocy nic szczególnego.

Dopiero teraz spostrzegła, że w pomieszczeniu panuje nietypowe ożywienie. O tej porze w głównej dyżurce spotykali się lekarze z wszystkich trzech pododdziałów Kliniki Chorób Zakaźnych: zakaźnego dla dorosłych, zakaźnego pediatrycznego oraz zamkniętego, w którym przyjmowano pacjentów zakażonych HIV i uzależnionych od alkoholu oraz narkotyków. O ósmej trzydzieści każdego ranka odbywała się odprawa z udziałem ordynatora, podczas której czytano raport dyżurnego i wspólnie omawiano najtrudniejsze przypadki, które trafiły na oddział. Oczekiwanie na początek odprawy odbywało się zwykle w skupionej atmosferze, a lekarze zajęci byli przygotowaniem się do spotkania. Ale nie dzisiaj.

Podsłuchiwała, o czym rozmawia grupka najbliższej siedzących. Najwyraźniej plotka o mianowaniu Marchlewskiego na zastępcę ordynatora rozeszła się po szpitalu i teraz każdy zajęty był komentowaniem tej informacji.

Marta dostrzegła Leszka Skalskiego, który siedział sam pod oknem i wyglądał, jakby był dzisiaj w wyjątkowo złym nastroju. Wstała ze swojego miejsca, aby usiąść obok niego. Była na Leszka nadal wściekła za ostatnią rozmowę, ale miała do niego sprawę.

Stary gabinet lekarski był ogromny. Mieścił się w oryginalnym dziewiętnastowiecznym pawilonie, co miało swoje wady i zalety. Poza wielkością zaletą pomieszczenia były okna — wielkie i rozciągające się na około trzy czwarte powierzchni ścian. Na dodatek w formie wykuszów, co nadawało gabinetowi uroku starej oranżerii. Na parapetach stały doniczki ze storczykami. Było ich co najmniej pięćdziesiąt. Każda roślina była prezentem od pacjenta. Nikt nie wie, skąd wziął się zwyczaj dawania medykom storczyków, ale trwał od dawna i wszystko wskazywało na to, że będzie trwał nadal. Prawdopodobnie pacjenci i ich rodziny wchodząc do gabinetu i widząc rośliny, sądzili, że będzie to najlepszy prezent. Lekarze bardzo lubili tę tradycję, zwłaszcza kiedy storczyki zakwitły, co zawsze działo się w tym samym czasie. Zupełnie tak, jakby kwiaty się umówiły. Był to widok naprawdę niesamowity i do głównego gabinetu lekarskiego Kliniki Chorób Zakaźnych przybywały wtedy pielgrzymki gości z innych oddziałów i z bloku administracyjnego. Każdy chciał mieć



zdjęcie tej feerii barw i kształtów, a zakaźnicy żartowali, że przez te hordy „turystów” czują się jak w Kioto podczas kwitnienia wiśni.

Wadą gabinetu było to, że latem, kiedy na zewnątrz panowały upały, w środku temperatura często była nawet dziesięć stopni wyższa — w końcu pomieszczenie było swego rodzaju wielką szklarnią. Nie było tu klimatyzacji i nikt nie sądził, by kiedykolwiek mogła zostać zainstalowana. Klimatyzację zainstalowano w szpitalu jedynie na blokach operacyjnych i to dopiero kilka lat temu, po głośnych protestach chirurgów, którzy zagrozili, że powiadomią media o tym, jak pot kapie im w trakcie zabiegów wprost do otwartych brzuchów pacjentów. Przy okazji jeden klimatyzator trafił do gabinetu dyrektorki szpitala, Anny Kujawiak-Pachciarz. Na więcej urządzeń podobno nie było pieniędzy. Dyrekcja placówki nie chciała również sfinansować zakupu i montażu żaluzji w starym gabinecie. W okresach upałów Marta z kolegami musieli więc zaklejać okna papierem i prześcieradłami.

Marta nawet nie zdążyła przywitać się z Leszkiem, kiedy otworzyły się drzwi od gabinetu i do środka weszła dyrektorka szpitala wraz z dwiema pracownicami działu kadr.

— Dzień dobry, jest ósma dwadzieścia osiem. Panią Irenkę poproszę, aby zanotowała tę godzinę — oznajmiła dyrektorka. Jedna z urzędniczek otworzyła notes i wykonała polecenie. — Państwo zdają sobie sprawę z tego, że od kilkudziesięciu minut powinniście być na swoich stanowiskach pracy. Jestem tutaj, bo w dalszym ciągu, pomimo moich usilnych starań, utrzymanie dyscypliny czasu pracy wśród lekarzy graniczy z cudem. Od dawna próbuję to zmienić i od razu uprzedzam, że taka poranna wizyta nie odbywa się ostatni raz. Zamierzam regularnie i skrupulatnie sprawdzać, jak realizujecie państwo obowiązek punktualnego rozpoczynania pracy. Poproszę teraz panią Lidzię o odczytanie nazwisk z listy, a państwa o potwierdzenie obecności. Pani Lidziu, zaczynamy.

Pani Lidzia rozpoczęła wyczytywanie nazwisk lekarzy w kolejności alfabetycznej. Marta zauważyła, że ogólne zdziwienie wywołane niezapowiedzianą wizytą ustąpiło, a na twarzach obecnych w gabinecie osób zaczęły malować się zażenowanie i niesmak.

Wbrew słowom pani dyrektor kontrola nie miała na celu walki ze spóźnieniami. Nie był to poważny problem na oddziale. Spóźnienia zdarzały się, jak wszędzie, ale nie były notoryczne. Kontrola była konsekwencją powstania w szpitalu związku zawodowego. Dyrekcja „szukała haka” na tych, którzy przystąpili do związku, a powtarzające się spóźnienia mogły przydać się do umotywowania ewentualnych zwolnień dyscyplinarnych.

— Skoro rozmawiamy o zegarach... — Zabrał głos Leszek Skalski, a Marta, która właśnie obok niego usiadła, miała ochotę wstać i poszukać sobie innego miejsca. Leszek uwielbiał konfrontacje, więc zanosilo się na przedstawienie. — Wszyscy rozumiemy, że to dla pani dyrektor temat priorytetowy. Zwłaszcza biorąc pod uwagę pani dotychczasowe doświadczenie zawodowe. Mam tu na myśli nauczanie matematyki w szkole podstawowej. Jestem pewien, że nauka zegara stanowiła ważny tego element. — Twarz pani dyrektor wyraźnie spąsowiała. — No i zważywszy na fakt, że w szpitalu nie ma obecnie innych problemów. Jest to przecież szpital doskonały, niczym w Leśnej Górze. Dziwi mnie, że nikt dotychczas nie nakręcił o nas żadnego serialu. No więc, oczywiście, temat zegarów jest ważny...

— Doktorze Skalski, prosiłabym, żeby... — Dyrektorka podjęła próbę przerwania jego wywodu.

— Tym niemniej — kontynuował niewzruszenie Leszek — moglibyśmy dla odmiany porozmawiać o innych zegarach, na przykład o takim przy wejściu do szpitala, na którym odbijalibyśmy kartę, rozpoczynając pracę. I który sam odmierzałby godziny pracy. A wtedy pani dyrektor mogłaby poświęcić swój cenny czas na inne problemy związane z zarządzaniem szpitalem. Zakładając, że takie, oczywiście, w ogóle kiedykolwiek się pojawiają. Ma się rozumieć, jest nam niezmiernie miło gościć panią na naszym oddziale. Tak rzadko opuszcza pani blok administracyjny, że każdy powód, by panią wśród nas powitać jest dobry. — Leszek wstał i teatralnie się pokłonił.

— Doktorze Skalski, temat prowadzenia elektronicznej ewidencji czasu pracy był już kilkakrotnie poruszany na zebraniach ze związkami zawodowymi. Doskonale pan to wie, bo sam go pan inicjował. — Twarz pani dyrektor spąsowiała jeszcze bardziej. Nie znosiła upokorzeń, zwłaszcza publicznych. — I wie pan również o tym, że szpitala nie stać na jego instalację. — Machnęła dłonią zakończoną starannie wypielęgnowanymi, purpurowymi paznokciami, co w wyobraźni Marty natychmiast wywołało wizję dyrektor Kujawiak-Pachciarz podcierającej się, jak w opowieści Doroty o paznokciach. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. „Dzięki, Dorota!”.

— Tak, rzeczywiście, zgadza się. Z ksiąg rachunkowych wynika, że ponieśliśmy ostatnio duże wydatki. Na przykład remont gabinetu pani dyrektor i zakup nowych mebli za ponad dziewięćdziesiąt tysięcy złotych — odpowiedział Leszek. Ciszę, która nastąpiła w gabinecie lekarskim po tych słowach, można było kroić nożem.

— Nie jest pan księgowym, więc tematy finansowe proszę zostawić tym, którzy się na nich znają. Nie mówiąc już o tym, że nie jest to miejsce ani czas, by poruszać takie sprawy. Niech się pan lepiej zajmie pacjentami. Wszystkich państwa żegnam i życzę miłego dnia. — Dyrektor Kujawiak-Pachciarz prawie wybiegła z gabinetu lekarskiego. Za nią podreptały w pośpiechu pani Irenka i pani Lidzia.

Tak naprawdę problemem nie były koszty instalacji licznika czasu pracy. Dyrektor Kujawiak-Pachciarz mogła nie znać się na zarządzaniu szpitalem, ale doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że pracownicy medyczni nie kończyli pracy punktualnie. Na oddziałach nie można było po prostu zamknąć komputera i iść do domu, zostawiając rozpoczęte zadania do następnego dnia. Jeśli coś działo się z pacjentami, wymagało to interwencji natychmiast, tu i teraz. Licznik czasu pracy wymógłby na dyrekcji przyznanie, że pracy jest zbyt dużo, personelu medycznego zbyt mało, a co najważniejsze — że większość osób ma nadgodziny, za które należy im się zapłata.

— Ty chyba nie chcesz już tu pracować — powiedziała Marta do Leszka, jak tylko dyrektorka i jej fraucymer zniknęli za drzwiami. Otwierała już usta, by dodać coś więcej, ale nagle wszyscy obecni w gabinecie rzucili się w jego stronę, wzajemnie się przekrzykując.

— Hola, chwila, nie wszyscy naraz. Tak, to prawda, widziałem te faktury. I tak, to prawda, Kujawiak-Pachciarz faktycznie zrobiła remont swojego gabinetu za dziewięćdziesiąt tysięcy. — Leszek usiadł na stole, aby wszyscy go widzieli. — Na dodatek nie ogłosiła przetargu publicznego, co przy tej kwocie jest prawnym obowiązkiem. Była na tyle sprytna, że podzieliła całość na trzy etapy — adaptację, remont i wyposażenie, dzięki czemu każdy z nich kosztował mniej niż suma obowiązkowa przy przetargu. Kupiła sobie między innymi komplet wypoczynkowy i profesjonalny zestaw stereo. I to wszystko w sytuacji, kiedy tylko na naszym

oddziale zrobiliśmy długą listę podstawowych sprzętów medycznych, które uległy awarii i wymagają natychmiastowej naprawy lub wymiany.

Piekło, które wybuchło w gabinecie lekarskim po jego słowach, oznaczało, że odprawa potrwa znacznie dłużej niż zazwyczaj. Jeśli w ogóle uda się ją przeprowadzić, bo wejście ordynatora tylko nasiliło oburzenie. Marta była jedyną, która nie brała udziału w dyskusji. O całej sprawie wiedziała już wcześniej, powiedziała jej o tym Dorota, której z kolei powiedział Leszek. Rozumiała oburzenie innych, ale jej emocje już ostygły.

— Ty chyba nie chcesz już tu pracować — powtórzyła Marta, kiedy lekarze wreszcie rozeszli się i Leszek został sam.

— Wręcz przeciwnie. Bardzo chcę tu pracować. Lubię swoją pracę, dlatego oczyszczam to poletko z chwastów. Mam nadzieję, że wreszcie wyrośnie na nim coś szlachetnego.

— Życia ci nie starczy, żeby się ich pozbyć.

— A tobie nie przeszkadza to, co się tu dzieje? Nepotyzm, korupcja, bylejałość... I obrywanie nie za swoje winy. Bo jak coś się źle w szpitalu dzieje, to wiadomo, że to wina lekarzy.

— Jasne, że przeszkadza. I co z tego? W innych szpitalach jest tak samo. Mam poświęcić życie na walkę z czymś, co wrosło w ten świat już tak głęboko, że właściwie jest już jego częścią? Wolę robić swoje. I być dobrą w tym, co robię. Pacjenci mnie lubią, nie olewam obowiązków, stale się dokształcam — to jest moja walka.

— Widzisz, ja tak nie potrafię. Kilka tygodni temu na dyżurze nie mogłem zrobić EKG pacjentowi z bólem zastawkowym, bo aparat jest starszy ode mnie i odmówił posłuszeństwa. Musiałem pożyczyć inny, z nefrologii. Zajęło mi to prawie godzinę. Gdyby ten pacjent miał faktycznie zawał serca, mógłby tego nie przeżyć. Dlatego kiedy dowiaduję się, że dyrektor szpitala zamiast wymieniać stare urządzenia medyczne, kupuje sobie sprzęt grający, aby słuchać muzyki w czasie, w którym powinna pracować, to wybacz, ale nie mogę tego tak po prostu zostawić i udawać, że nic się nie stało.

— Nie rozumiesz, że jeszcze kilka takich numerów i nie będziesz miał z kim walczyć? I to nie dlatego, że wykosisz wypaczenia, tylko dlatego, że ciebie już tu nie będzie. Znajdą sposób, żeby się ciebie pozbyć.

— Bez obaw. Założyłem związek zawodowy i jestem członkiem zarządu. Na takich jak ja mówią nietykalni.

— Nietykalni? — Marta postukała się w czoło. — Chyba naoglądałeś się filmów. Jeszcze przedwczoraj próbowałeś mnie wciągnąć w rozwikłanie jakiejś afery z udziałem Salpetera. Ten człowiek ma w dupie związki zawodowe. Jeśli będzie trzeba, znajdą cię spalonego w lesie, z rękami związanymi z tyłu. A prokurator stwierdzi samobójstwo. Tak się kończy włożenie na odciski niewłaściwym osobom. Mam nadzieję, że chociaż Dorotę trzymasz z daleka od tej swojej wojenki?

— Dorota nic nie wie o tamtej naszej rozmowie. Ty też jej nic nie mów.

— Nie zamierzam. Zresztą nic już nie pamiętam. O jakiej rozmowie? — Marta podniosła się z krzesła i nie oglądając się na Leszka, wyszła z gabinetu.

Wzmianka o Dorocie przypominała jej, że musi z nią pilnie porozmawiać. Po głowie chodziła jej wczorajsza randka z Michałem i *Anatomia* Krechowieckiego na jego biurku. Intuicja podpowiadała jej, że coś w wyjaśnieniach Michała było nie tak. Nie

dawało jej to spokoju. A co Dorota mówiła o ofiarach „Bestii z Mokotowa”? Że były za życia preparowane? W dodatku nieumiejętnie, przez laika.

— Cześć Dorota, czy mogę wpaść do ciebie za kilka godzin? Mam parę pytań, a nie chcę ich zadawać przez telefon.

— Świetnie się składa. Oglądam właśnie wycinek wątroby twojego pacjenta po biopsji. W związku z tym też mam kilka pytań. Będę na ciebie czekać.

Marta wróciła do dyżurki. Między lekarzami wywiązała się właśnie burzliwa dyskusja na temat urlopów w lipcu i sierpniu. Była to jedna z bardziej drażliwych materii w „Błęńskiej”. Wielu miało dzieci w wieku szkolnym i zależało im na tym, by spędzić z nimi choć tydzień lub dwa w okresie wakacyjnym, skoro przez resztę roku, z powodu napiętych grafików, kontakty bywały ograniczone. Problem polegał na tym, że w ciągu tych dwóch tygodni musieli dyżurować za nich inni koledzy. A tych ubywało. Średnia wieku lekarzy w „Błęńskiej” nie odbiegała od ogólnokrajowej i wynosiła — jak ktoś obliczył — pięćdziesiąt jeden lat. Na samym oddziale zakaźnym połowa z nich powinna być już na emeryturze.

Marta nie włączała się do rozmowy. Po pierwsze, i tak nie lubiła wyjeżdżać latem z Warszawy, po drugie, właśnie udało jej się rozwikłać zagadkę Ewy Kłos. A przynajmniej tak przypuszczała. Musiała to jeszcze potwierdzić, zadając jej kilka pytań.

Ewa Kłos była jej pacjentką od kilku dni. Przy przyjmowaniu jej na oddział ciągnięto losy, kto będzie jej lekarzem prowadzącym, bo nikt nie chciał tej funkcji pełnić dobrowolnie. Wypadło na Martę. Zwykle najbardziej problematyczni pacjenci byli przydzielani Leszkowi, którego Stary nie znosił, ale tym razem mu się upiekło. Stary poprosił, aby lekarze sami zdecydowali, kto podejmie się opieki nad Ewą. Po krótkiej, lecz intensywnej dyskusji w pokoju lekarskim zdecydowała długość wykałaczek. Marta wylosowała najkrótszą. „Nie co dzień pierwszy maja”, jak zwykła mawiać jej babcia.

Kłos miała dwadzieścia lat. Pół roku wcześniej zaczęła skarżyć się na nawracające wymioty, niezależnie od tego, czy coś zjadła lub wypiła. Pojawiały się kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt razy dziennie. Poza tym nie miała żadnych innych dolegliwości. Nie gorączkowała, nie bolał ją brzuch, nie miała zawrotów głowy. W tomografii komputerowej głowy, klatki piersiowej, brzucha i miednicy nie znaleziono nieprawidłowości. Gastroskopia i kolonoskopia nie dostarczyły żadnych odpowiedzi. Wszystko było w normie. W licznych badaniach laboratoryjnych, które wykonano wielokrotnie, nie znaleziono najmniejszych odchyłeń. A mimo to przez sześć miesięcy zaliczyła pobyty na kilkunastu oddziałach, w tym na gastroenterologii, neurologii, laryngologii, ginekologii i endokrynologii.

Dziewczyna była całkiem sympatyczna i Marcie było jej żal. Rodzice Ewy to jednak inna para kaloszy. Jej ojciec, Bogdan Kłos, był znanym politykiem. Tak często udzielał się w radiu, telewizji i Internecie, że Marta zastanawiała się, czy nie ma brata bliźniaka albo talentu do bilokacji. Matka Ewy, Tamara, zajmowała się biznesem — prowadziła kilka firm, które świetnie prosperowały, ale wyłącznie dzięki koneksjom męża i sprawnym dyrektorom zarządzającym. Sama Tamara nie pamiętała nawet nazw przedsiębiorstw, którym szefowała. Ewa była jedynaczką i Tamara, jak kwoka, nie pozwalała jej wyjść spod swoich skrzydeł. Praktycznie zamieszkała w sali szpitalnej razem z córką, wychodząc do domu po dwudziestej drugiej i wracając przed ósmą rano. Na uwagi pielęgniarek, że przeszkadza w pracy i przebywa na oddziale

poza godzinami odwiedzin, odpowiadała, że jeśli mają jakiś problem, to ona może zadzwonić do dyrektorki szpitala, by pomogła go rozwiązać. To wystarczało, by komentarze cichły. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Bogdan Kłós przyjaźnił się z mężem pani dyrektor, a ta dzięki takim właśnie znajomościom utrzymywała swoje stanowisko.

Pani Tamara potrafiła nawet kilkanaście razy dziennie nękać lekarzy swoimi wyczytanymi w Internecie teoriami na temat choroby Ewy. Groziła też sądem, gdy odmawiali wykonywania absurdalnych badań mających te teorie potwierdzić.

Ewa była kompletnie zahukana. Nie potrafiła odpowiedzieć na większość pytań związanych ze swoim stanem zdrowia. Jak katarzynka powtarzała, że musi spytać mamy. Marta zastanawiała się, jakim cudem dziewczyna może studiować w Szkole Głównej Handlowej, której studenci utożsamiani byli raczej ze zbyt pewnymi siebie bufonami.

Po wykonaniu dużej liczby badań, które jeszcze bardziej wykończyły Ewę, a nie przyniosły żadnych odpowiedzi, stało się jasne, nawet dla Tamary, że przyszła pora na diagnostykę psychiatryczną. O dziwo, ku zaskoczeniu wszystkich, psychiatrzy również nie dopatrzyli się niczego, co mogłoby być przyczyną wymiotów. Owszem, Ewa miała nieco obniżony nastrój, ale na pewno nie była to depresja. A już z całą pewnością nie miała bulimii.

I właśnie wtedy ktoś przypomniał sobie, że przecież Ewa wielokrotnie wyjeżdżała z rodzicami na egzotyczne wakacje. Byli na safari w Kenii, oglądali orangutany na Sumatrze i pływali w Pacyfiku w Kostaryce. A co, jeśli dolegliwości spowodowane były przez jakiegoś pasożyta, którym zaraziła się podczas jednej z tych wypraw?

I w ten oto sposób, po telefonie Bogdana Kłosa do dyrektorki szpitala, dziewczynę w trybie pilnym przyjęto na oddział zakaźny.

Kiedy Marta zobaczyła ją po raz pierwszy, Ewa właśnie skończyła brać prysznic. W trakcie rozmowy zwymiotowała trzykrotnie. Z płaczem spytała, czy może znów wziąć gorącą kąpiel, bo tylko to sprawia, że czuje się lepiej i znikają nudności. Matka potwierdziła, że Ewa w domu spędza pod prysznicem kilka godzin dziennie. To tylko utwierdziło Martę w przekonaniu, że o żadnym pasożycie nie może być mowy, a przyczyna dolegliwości musi być inna, z całą pewnością niezakaźna.

Uważnie przestudiowała grube segregatory z wynikami badań Ewy, które Tamara zostawiła w dyżurce lekarskiej. W domu spędziła długie godziny, czytając opisy przypadków w bazach artykułów naukowych. I wreszcie znalazła rozwiązanie, a przynajmniej tak jej się wydawało.

W trakcie obchodu wyprosiła Tamarę z sali, a kiedy została sama z Ewą, spytała ją, czy często pali marihuanę.

— Ja? Marihuanę? Przecież to nielegalne.

— Ale ja się nie pytam, czy to legalne. Pytam, czy palisz.

— Nie robię nielegalnych rzeczy. — Oburzona wyduła usta.

— Słuchaj, Ewa. Nie jestem z policji. Nie jestem dziennikarzem. Jestem twoim lekarzem. Wszystko, o czym tu mówimy, zostaje między nami, chyba że zechcesz, bym z kimś o tym porozmawiała.

— Nie no, co za pytanie. W życiu tego nie paliłam.

— Naprawdę wolisz posiedzieć tu jeszcze kilka dni? A potem przechodzić przez kolejne badania na innych oddziałach?

Ewa początkowo szła w zaparte. Ale, przyciśnięta, przyznała wreszcie, że pali marihuanę praktycznie codziennie. Zaczęła, kiedy poszła na studia, których szczerze nie znosiła, a które wybrali jej rodzice. Palenie trawki sprawiało, że napięcie i stres nie były tak przykre. Marta wiedziała już, co dolegało dziewczynie.

— Zespół niepowściągliwych wymiotów po kannabinoidach? Nawet nie potrafię tego poprawnie wymówić... — Ewa nigdy nie słyszała o takiej chorobie, nie sądziła też, że marihuana może w ogóle powodować jakieś dolegliwości. Przecież po to ją paliła, by czuć się lepiej.

— Masz, posmaruj się tym, może to cię przekona.

— Sos chili? To jakiś żart?

— Okej, przyznaję, wygląda to dziwnie, ale zaręczam, że pomoże.

Ewa w końcu natarła skórę sosem, ale po długim wahaniu i dosyć nieufnie. Czemu zresztą trudno się dziwić — była w szpitalu i oczekiwała bardziej konwencjonalnych terapii. Efekt był jednak natychmiastowy. Sos chili, zawierający kapsaicynę, działał na te same receptory, co gorąca woda, dzięki czemu dziewczyna odczuła błyskawiczną poprawę bez konieczności brania prysznica.

Na początku Ewa trochę obawiała się wyznania prawdy rodzicom, ale kiedy ci wreszcie usłyszeli diagnozę, odetchnęli z ulgą. Było to na pewno lepsze od egzotycznego pasożyta. A przynajmniej raz na zawsze kończyło długą i żmudną diagnostykę.

Bogdan Kłós próbował odwdziżyć się Marcie po swojemu — wręczając jej grubą kopertę, której Marta nie przyjęła. A widząc jej wyraz twarzy, nie próbował nalegać. Spytał tylko, co innego może dla niej zrobić, bo nie lubi niespłaconych długów, a ten wobec Marty jest wielki.

— Jeśli faktycznie tak panu zależy, to może pan zasponsorować rolety do naszego pokoju lekarskiego. Mamy okna od południa. W lecie pływamy w naszych poliesterowych fartuchach. A szpitala nie stać na ich montaż.

— I to wszystko? W tej kopercie jest znacznie więcej — zdziwił się Kłós.

— Resztę może pan wpłacić na konto szpitalnej fundacji. Zbieramy na remont naszego zakaźnego oddziału pediatrycznego. Chcemy, żeby każda sala przystosowana była do tego, by wygodnie mogli przebywać na niej także rodzice. Przyda się każda złotówka.

— I nie chce pani niczego dla siebie?

— Ja mam już wszystko, czego mogłabym sobie życzyć.

„Poza urlopem, normalną pracą i żywymi rodzicami”.

Kłós sięgnął do kieszeni i wyjął z niej srebrny wizytownik. Wydobył z niego jeden z niewielkich kartoników i podał go Marcie.

— Uparta pani jest. A ja naprawdę nie lubię niespłaconych długów. To mój prywatny numer telefonu. Gdyby wpadła pani kiedyś w jakieś kłopoty, proszę dzwonić. Ja bardzo dużo mogę.

— Jak dotąd, odpukać, udaje mi się unikać kłopotów. Ale taki prezent mogę przyjąć. — Marta uśmiechnęła się i wzięła do ręki kartonik. — Proszę dbać o córkę. I pozwolić na więcej samodzielności w jej wyborach.

Uścisnęli sobie dłonie i rozeszli w przeciwnych kierunkach. Martę najbardziej cieszył fakt, że nie będzie musiała oglądać matki Ewy i po raz dziesiąty odpowiadać na pytanie, dlaczego nie chce wykonać testu transformacji limfocytów.

— Przecież to najlepsze badanie na boleriozę, każdy dobry lekarz powinien to wiedzieć. Tutaj tak pisze — mówiła Tamara głosem pełnym pretensji, podtykając jej pod nos tablet z otwartą stroną internetową jakiejś szemranej przychodni, oferującej jeszcze bardziej szemrane usługi.

— Takie badanie jak na razie nie istnieje w świecie medycyny konwencjonalnej. A poza tym córka nie ma BORELIOZY.

„Poza tym nie pisze, tylko jest napisane”.

Na szczęście inni jej pacjenci mieli problemy typowo zakaźne, a ich rodzice nie mieszkali w szpitalu. Sprawnie dokończyła obchód, sprawdziła wyniki badań swoich pacjentów i uzupełniła karty zleceń. To wszystko zajęło jej kilka godzin, więc do Krainy Oz dotarła dopiero po południu. Porozmawiała z Dorotą na temat pacjenta po biopsji wątroby i przeszła do tematu, z powodu którego tu przyszła.

— Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o „Bestii z Mokotowa”? O tym, że preparuje za życia swoje ofiary? Nie daje mi to spokoju.

— Aż tak cię to ruszyło?

— Nie o to chodzi. Wspominałaś, że u jednej z kobiet próbował preparować dłoń, u drugiej stopę. Czy wiesz, co robił pozostałym kobietom?

— Zajęcia z anatomii zaczęły inspirować go dopiero niedawno. Próbował preparować tylko dwie ostatnie ofiary. A właściwie to możliwe, że trzy. Bo kilka dni temu zabił kolejną kobietę. Nie przeprowadzałam jej sekcji zwłok, więc nie znam szczegółów tego morderstwa. Jego pierwsze ofiary umierały w... hmm... bardziej klasyczny sposób: młotki, noże, piły. Były torturowane przed śmiercią, ale jego celem ewidentnie było zadanie jak największego cierpienia, zanim ofiara umrze. Nikt nie wie, dlaczego nagle zmienił sposób działania. Może ma pomocnika albo coś ważnego się u niego wydarzyło. To sadysta i psychopata. Ofiary wybiera raczej przypadkowo. Trudno przewidzieć, co takim jak on chodzi po głowie.

— A może to inny sprawca?

— Nie, na pewno to ta sama osoba, która na dodatek używała tych samych narzędzi, jestem tego pewna. Przeprowadzałam sekcję zwłok trzech ofiar, w tym tej, która miała wypreparowaną dłoń. Kąt i siła zadawania ciosów, charakterystyczne cechy ran, wszystko to wskazuje na tego samego sprawcę i te same narzędzia...

— Nie uważasz, że może mieć pomocnika?

— Nie mogę tego wykluczyć. To jedna z hipotez. Ale to może ustalić tylko policja.

— A czy myślisz, że morderca wzorował się na czymś, przygotowując ofiary?

— Na pewno. Widać, że tego nie zrobił ktoś mający fachową wiedzę medyczną. Może sprawca oglądał jakiś film z prosektorium dla studentów medycyny...

— A z jakichś ilustracji? Na przykład z książki, powiedzmy *Anatomii Krechowieckiego*?

— *Anatomia Krechowieckiego*? Wątpię. Jest zbyt techniczna. Dużo skomplikowanych opisów i mało ilustracji, na dodatek czarno-białe. Jeśli miałaby to być jakaś książka, to obstawiałabym prędej jakiś atlas anatomiczny.

— Na przykład Sobotty?

— Na przykład. Ale skąd nagle przyszły ci do głowy te właśnie książki? Wiesz coś, o czym ja również powinienam wiedzieć?

— A możesz dowiedzieć się, czy tej ostatniej kobiecie również próbowano preparować jakąś część ciała?

— Tak, będę dziś w Zakładzie Medycyny Sądowej. Pewnie poproszą mnie, bym spojrzała na nią i dokonała porównania z poprzednimi ciałami. Tak naprawdę w takich sprawach najlepiej byłoby, żeby autopsję przeprowadzał za każdym razem ten sam lekarz. Ale przy naszych funduszach i brakach kadrowych jest to niemożliwe. Ale po co ci ta informacja? Wiesz, że nie powinnam z nikim o tym rozmawiać, nawet z tobą? To poufne sprawy. Gdyby ktoś się dowiedział, że ci o tym opowiadam...

— Dobrze wiesz, że nikomu nie powiem. Muszę to wiedzieć, to dla mnie ważne. Powiem ci, dlaczego pytam, ale jeszcze nie teraz. Na razie nie mogę.

— Zaczynam się martwić. Coś się stało?

— Nie, to naprawdę nic ważnego. Próbuję tylko coś wyjaśnić. Nie musisz mi nic więcej mówić, poza tym, czy ostatnia ofiara miała wypreparowaną jakąś część ciała. A jeśli tak, to jaką.

— Czy twoje pytania mają coś wspólnego z Leszkiem?

— Z Leszkiem? — Marta szczerze się zdziwiła. — Dlaczego z Leszkiem? A co on ma do rzeczy?

— Bo oboje jesteście ostatnio jacyś tajemniczy. Nie wiem, co się z wami dzieje.

— Powiedziałam już, że wszystko ci wyjaśnię, ale jeszcze nie teraz. O Leszku nic nie wiem. Nie zauważyłam, żeby ostatnio był jakiś dziwny. Albo inaczej, nie zauważyłam, żeby był dziwniejszy niż zwykle. Bo dla mnie to on zawsze jest dziwny.

Dorota westchnęła.

— No dobrze, na razie dam ci spokój. Wieczorem zadzwonię i powiem ci, czego dowiedziałam się o ostatniej ofierze. Ale więcej nie prosz mnie o nic, co ma związek z tą sprawą, dobrze?

— Nie będę. Obiecuję. Interesuje mnie tylko ta jedna kwestia.

Marta nie mogła powiedzieć Dorocie, co ją martwi, bo było to zbyt absurdalne. Nie potrafiła tego wyjaśnić nawet sobie. Kiedy była na pierwszym roku studiów, po kilka razy powtarzała niektóre z kolokwiów na anatomii. Bloki zaliczeniowe pogrupowane były tematycznie, pod kątem anatomicznej budowy człowieka. Te, których nie zdołała zdać za pierwszym razem, miała opracowane dokładniej, włączając w to notatki na stronach zagubionego atlasu Sobotty. Należały do nich dłoń i stopa. Czy to był przypadek, że morderca wybrał akurat te części ciał ofiar? Możliwe. Ale Krechowicki na biurku Michała ponownie wzbudził w niej wątpliwości. Prawie nic o Michale nie wiedziała. Rozum podpowiadał jej, by była ostrożna. Serce mówiło coś przeciwnego. Na szczęście nie ufała sercu.

Wyszła z Krainy Oz chyłkiem. Nie chciała natknąć się na Marka Leśniowskiego. Nie miała jeszcze żadnego planu, co zrobić w sprawie buławinki i tajemniczej pożywki, którą zostawiła Markowi do zbadania. Początkowo planowała powiedzieć o wszystkim Michałowi i spytać go o radę. W końcu pracował w policji. Ale teraz nie była pewna, czy powinna to uczynić. Podręcznik do anatomii na jego biurku może faktycznie związany był ze szkoleniami, które Michał musiał przechodzić. A może nie. Zaginiony *Atlas anatomii człowieka* Sobotty może leżał gdzieś między innymi jej książkami, dlatego nie mogła go znaleźć. A może nie. Faktem jest, że jego brak dostrzegła po tym, jak poznała Michała. Czy był to przypadek? Prawdopodobnie, ale tych zbiegów okoliczności było ostatnio stanowczo zbyt wiele. Bardzo chciała wierzyć, że te wszystkie dziwne zdarzenia, które miały teraz miejsce w jej życiu, nie były ze sobą powiązane. A jeżeli były? I jeśli ich wspólnym mianownikiem był Michał? Wydaje się idealnym facetem, aż zbyt idealnym...



Michał... Wysłał dziś do niej już trzy SMS-y. Odpisała tylko, że jest zajęta i odezwie się po pracy. Wkrótce będzie musiała do niego zadzwonić. Tylko, co mu powie? Że nie chce się z nim na razie spotykać? Że chce, ale najpierw musi rozwiązać jej wątpliwości? Wyśmiej ją albo uzna za wariatkę. Bo niby, co miałby jej powiedzieć? „Tak, Marta, jestem »Bestią z Mokotowa!“. Przecież gdyby faktycznie był seryjnym mordercą, nie ryzykowałby związku z nią, a tym bardziej nie kradłby jej książek. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że Marta opowie o nim rodzinie i przyjaciołom. A atlas anatomii mógł kupić bez żadnych przeszkód w każdej księgarni medycznej. Po co miałby go zabierać z mieszkania Marty?

Zdecydowała, że musi w końcu dać sobie spokój z tymi bezsensownymi podejrzeniami. To, że zazwyczaj intuicja jej nie zawodziła, nie znaczy, że tak było i w tym przypadku. Michał był pewnie zwykłym policjantem, który nie miał nic wspólnego z „Bestią”. A sprawa seryjnych morderstw nie miała żadnego związku z Martą. Powinna wreszcie przestać o niej myśleć.

Zadzwoniła do Michała od razu po powrocie z pracy. Umówili się w kawiarni w Ogrodzie Botanicznym, do którego oboje mieli blisko. Wpadli na siebie po drodze, przy Agrykoli. Jeden dotyk jego dłoni sprawił, że zapomniała o wszystkich wątpliwościach. Natychmiast wszystko to, co tak ją martwiło — buławinka, seryjny morderca, Krechowiecki, Sobotta — stało się zupełnie nieistotne.

Wróciła do domu późno. Dopiero kładąc się spać, zauważyła, że Dorota próbowała skontaktować się z nią kilka razy, zostawiając w końcu wiadomość głosową. Odsłuchiwała ją: „Marta, gdzie ty się podziewasz? Najpierw zależy ci na informacji, a teraz nie odbierasz telefonu. Ostatniej ofercie również próbowano coś wypreparować, prawdopodobnie przestrzeń zaotrzewnową. Powiesz, o co chodzi? Oddzwoni”.

Wiadomość skończyła się, ale Marta nadal trzymała telefon przy uchu, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Przestrzeń zaotrzewnowa była jednym z tematów, który oblała na anatomii i który był opatrzony jej własnoręcznymi notatkami w zaginionym atlasie, tak jak dłoń i stopa.

## Rozdział 14

Marta obudziła się późno, ale dzisiaj dyżurowała, więc musiała być w pracy dopiero po południu. Zjadła śniadanie i wypita kawę, rozmyślając o wczorajszej wiadomości od Doroty. Żeby poprawić sobie humor, zrobiła obchód roślin, jak nazywała poranne oglądanie swoich kwiatów doniczkowych. Uwielbiała je wszystkie. Uważała rośliny za istoty doskonałe. Żeby żyć, nie musiały nikogo krzywdzić, a energię czerpały ze słońca. Niemal perfekcyjni bretarianie.

Przegląd zaczęła od wielkiego bananowca stojącego w centralnym punkcie salonu. Był jej ulubieńcem. Kilka dni temu wypuścił nowy liść, z pięknym bordowym wybarwieniem. Bardzo ją to ucieszyło, bo bananowiec miał już kilka lat i z wiekiem tracił ciemne wzory na młodych liściach. Ale dłuższe dni czyniły cuda: wszystkie rośliny brały udział w wiosennym konkursie piękności. Jedne przeżyły w górę łodygi, inne przyciągały wzrok Marty kwiatami, a jeszcze inne — jak bananowiec — regenerowały liście. „To mi przypomina, że ja też muszę wreszcie zregenerować swoją szafę”, zmarszczyła czoło Marta. Grafiki jej pracy nie ułatwiał planowania życia prywatnego. Dni, kiedy miała wolne przedpołudnia, jak dzisiaj, wykorzystywała głównie do odsypiania dyżurów, ale zaległości związanych ze snem i tak nigdy nie udawało się w pełni nadrobić.

Obejrzała starannie swoje rośliny w poszukiwaniu ewentualnych wełnowców i przędziorków, ale na szczęście, nie znalazła żadnego niechcianego współlokatora. Mogła ze spokojem wrócić do porządków w swoim starym pokoju, przekształconym w składzik. Planowała robić je powoli, ale systematycznie, choć — chwilowo — udawało jej się tylko to pierwsze. Nie traciła nadziei na znalezienie teczki babci, tej z materiałami o morderstwie rodziców. Miałyby wówczas jakiś punkt zaczepienia, mogłaby poprowadzić własne śledztwo. Miała też nadzieję, że po lekturze zawartości teczki przypomni sobie jakiś nowy szczegół z feralnej nocy, dzięki któremu wpadnie na trop drugiego mordercy. Nadal nie poprosiła Michała o pomoc w zdobyciu informacji ze śledztwa. Wciąż uważała, że było za wcześnie na zwierzenia. Poza tym, gdy wreszcie zaczynała mu ufać, działo się coś, co sprawiało, że na nowo nabierała wątpliwości.

Od pewnego czasu zastanawiała się, czy istnieją przepisy, dzięki którym mogłaby uzyskać dostęp do akt związanych z morderstwem rodziców bez angażowania w to Michała. Po prostu — wypełniając jakiś formularz albo podpisując jakiś wniosek. Oczywiście mogła o to zapytać Kamilę, która była prawnikiem, ale obawiała się, że siostra zacznie odwozić ją od tego pomysłu. Kamila wręcz obsesyjnie dbała o to, by temat rodziców nie pojawiał się w ich rozmowach zbyt często. Być może był to wpływ babci, która przez lata pilnowała tego równie starannie. Zresztą miała ku temu dobre powody. Po śmierci rodziców Marta przestała mówić. Dopiero po długiej i żmudnej terapii zaczęła wypowiadać pierwsze słowa. Długo nie pamiętała również przebiegu zdarzeń tamtej nocy. Została znaleziona przez policję obok zwłok matki, ale nie potrafiła nikomu opowiedzieć, jak doszło do śmierci rodziców i kto się do niej przyczynił. Przez wiele lat sama nie potrafiła zrozumieć ani wyjaśnić tego, co się z nią wówczas działo. Dopiero na studiach medycznych, podczas zajęć z psychiatrii,

dowiedziała się, że taki stan nie jest czymś niezwykłym. Nosi nazwę fugi dysocjacyjnej i może mu towarzyszyć mutyzm, czyli brak możliwości mówienia. Osoby w stanie fugi mają całkowitą niepamięć wsteczną — pozostawiają za sobą przeszłość, wymazując ją ze wspomnień. Jest to dla nich rodzaj mechanizmu obronnego po to, by już więcej nie cierpieć. Zrozumienie tego zjawiska pomogło jej pozbyć się wyrzutów sumienia, które odczuwała przez lata. Przecież nie tylko nie pomogła wtedy rodzicom, ale również i później nie przydała się policji w dotarciu do morderców. Nie dawało jej spokoju także to, że śmierć rodziców nie została pomszczona. Zresztą nawet teraz Marta nie uznawała zemsty za dokończoną. Żakowski nie był jedynym sprawcą, choć tylko jego sobie przypominała. Na razie.

Sny o przebytej tragedii zaczęły pojawiać się wiele lat temu, ale nigdy tak wyraźne jak ostatnio. Nie mówiła o nich ani babci, kiedy ta jeszcze żyła, ani Kamili. Bo i po co? W policji uznaliby ją za wariatkę, gdyby zgłosiła się z informacją, że po tylu latach właśnie coś sobie przypominała, w dodatku we śnie. Co prawda, przestępstwo jeszcze się nie przedawniło, ale sny świrów nie są podstawą do wznawiania śledztw.

Kiedy dowiedziała się o śmierci Żakowskiego, przez chwilę żałowała, że nie pozwoliła mu żyć. Mogła przecież spróbować wydostać od niego jakieś informacje. Szybko jednak doszła do wniosku, że ten plan nie miał szans powodzenia. Co bowiem miałyby zrobić? Podejść i spytać, dlaczego zabił jej matkę i kto go nasłał? Nie tylko, że niczego by się nie dowiedziała, ale sama mogłaby przy tym ucierpieć.

Marta najbardziej nienawidziła swego niezdecydowania. Jednego dnia, jak teraz, koniecznie chciała wyjaśnić zagadkę śmierci rodziców. Innego była przekonana, że powinna to zostawić, tak jak życzyłyby sobie babcia. Przecież mogła nie poradzić sobie z prywatnym śledztwem albo, co gorsza, rozsypać się w jego trakcie na kawałki. Kiedy umarł Żakowski, stała się bardziej pewna siebie. Uznała, że wystarczy namierzyć drugiego mordercę i ewentualnie osobę lub ludzi, którzy zlecili zabójstwo rodziców, a znajdzie się również sposób wymierzenia im kary. Należało tylko nie ustawać w poszukiwaniach.

Zazdrościła Kamili, której było łatwiej — kiedy rodzice odeszli, miała dwa lata. Nie pamiętała ani matki, ani ojca. Jedyną rodziną były dla niej Marta i babcia. Dla Marty wspomnienie rodziców było ciągle żywe i przychodziły takie chwile, nawet teraz, kiedy była już dorosłą kobietą, że bardzo za nimi tęskniła.

Sztafa rupieci wyniesionych ze składziku znów pokaźnie urosła i Marta pomyślała, że na dzisiaj wystarczy tego sprzątnięcia. Znajdowane przedmioty jak zwykle wywoływały wspomnienia, a ona za kilka godzin rozpoczynała dyżur — powinna wcześniej pozbyć się wszystkich niepotrzebnych emocji. Nie mając nic innego do roboty, Marta zdecydowała się na spacer po Łazienkach — karmienie karp i podziwianie kompozycji kwiatowych w najpiękniejszym parku Europy było dobrym pomysłem niezależnie od okoliczności.

— Karolciu, nie biegnij z tym gofrem, bo się przewrócisz! — krzyknął gdzieś obok kobiety głos. Marta spojrzała w stronę kolejki przy kawiarni „Tu Madam”, skąd jak mała torpeda nadbiegała trzylatka z blond kucykiem. W rękę trzymała gofra z dżemem, więc Marta przezornie zesłała jej z drogi. Trzylatka potknęła się o kamień i zgodnie z przewidywaniami kobiety straciła równowagę. Gofr wypadł jej z ręki i wylądował na trawie, skąd niemal natychmiast został porwany przez wronę. Dziewczynka wydała z siebie przerażający pisk, którego częstotliwość pozwalałaby na rozbijanie kryształów. Marta pośpieszyła w stronę pałacu Na Wyspie, by jak

najszybciej wydostać się ze strefy rażenia hałasu. Przy rzeźbie Satyra w ostatniej chwili uchyliła się przed lecącym w stronę jej głowy dyskiem. Z jakiegoś powodu grupka rozrehotanych dwudziestolatków uznała, że zabawa latającym talerzem zaledwie kilkanaście metrów od okien pałacu Na Wyspie to świetny pomysł na sobotnie popołudnie. Nieopodal inna grupa ludzi w skupieniu przyglądała się półnagiemu mężczyźnie, który uczył ich, jak utrzymywać równowagę na linie. Lina rozpięta była między pniami dwóch miłorzębów. Przy akompaniamencie chrzęszczącej kory, podczas każdego mocniejszego szarpnięcia, lina działała jak heblarka, uwalniając w powietrze mnóstwo wiórów.

Marta straciła ochotę na spacer i nawet tłuste sumy, chciwie pożerające wrzucane do wody przysmaki, nie były w stanie przekonać jej do pozostania w parku. Przed wyjściem zrobiła jeszcze jedno okrążenie wokół Stawu Łazienkowskiego. Tuż za amfiteatrem, pod wielkim krzewem rododendronu zauważyła opalającą się na kocu parę. Dziewczyna miała na sobie jedynie bikini, a jej partner kąpielówki w różowe flamingi. Przechodząc obok, Marta usłyszała, jak rozmawiają ze sobą po hiszpańsku.

Tego było za wiele. Marta tęskniła za czasami, kiedy Łazienki były najelegantszym parkiem w Warszawie, a spacer wypielęgnowanymi alejkami był jak podróż w czasie. Dzisiaj niewiele różnił się od pobliskiego Pola Mokotowskiego czy Morskiego Oka. Właściwie jedyną zasadniczą różnicą był brak psich bomb czyhających na czyste podeszwy oraz nieobecność rowerzystów wjeżdżających w pośladki spacerowiczów.

W swojej opinii nie była osamotniona. Kiedyś poruszyła ten temat w rozmowie z Kamilą i — o dziwo — siostra w pełni się z nią zgodziła, choć na ogół nazywała Martę malkontentką. „Przestań wreszcie tyle narzekać, czasami naprawdę trudno z tobą wytrzymać. Wszystko przez to, że taka niewyspana chodzisz. Kiedy skończysz już to całe dyżurowanie? Po trzydziestce człowiek powinien zacząć się szanować”.

— Pamiętam czasy, kiedy dostawało się burę od strażnika parku za samo wejście na trawę — odpowiedziała tym razem na utyskiwanie siostry Kamila. — A ostatniej zimy widziałam, jak dzieciaki zjeżdżały na sankach spod Belwederu w stronę Stawu Belwederskiego. Kompletnie zryły ziemię jak jakieś dziki. Park jest częścią muzeum i tak powinien być traktowany. Jak ktoś ma ochotę na sanki, to może pójść gdzie indziej. Sama skarpa warszawska ma kilka kilometrów długości, w okolicy jest pełno gór.

Po powrocie z Łazienek Marta miała jeszcze sporo czasu do rozpoczęcia dyżuru. Postanowiła zadzwonić do Michała i w końcu powiedzieć mu o buławince. Co prawda nie ufała mu w pełni, ale najzwyczajniej w świecie brakowało jej pomysłu, co robić dalej. Sprawa buławinki była pilna i trzeba było działać. Marek Leśniowski czekał na jej decyzję. Ale przede wszystkim musiała pomóc pani Marii, zanim spotka ją coś złego. Nawet jeśli Michał nie będzie w stanie pomóc, to na pewno doradzi, do kogo innego powinna się zwrócić.

Michał był w pracy. Wysłuchał Marty, nie przerywając ani razu, choć zdawała sobie sprawę, że mówiła dość chaotycznie. Nie bardzo wiedziała, od którego momentu powinna zacząć i co jakiś czas dodawała brakujące wątki.

— Gdzie jest teraz ta próbka? — spytał tylko, gdy skończyła.

— U mojego kolegi z pracy, Marka Leśniowskiego. Jest mikrobiologiem. — Po drugiej stronie coś zaszleściło. Michał notował to nazwisko.

— Zajmę się tym. Mam tylko jedną prośbę. To właściwie nie jest prośba, a polecenie. Do czasu, kiedy ci na to nie pozwolę, nie mów temu wnukowi sąsiadki, że

wiesz coś w sprawie tej pleśni. W ogóle uważaj, by nie wyczuł, że dalej się tym interesujesz. A najlepiej unikaj go i z nim nie rozmawiaj.

— A co z panią Marią? Trzeba jej jakoś pomóc.

— Pomożemy. I to już wkrótce. Ale na razie zostaw tę sprawę mnie. Daj słowo, że będziesz się trzymać od tego z daleka.

— Zobaczę, co da się zrobić.

— Mówię poważnie, nie mieszaj się w to, dopóki ci nie powiem, że możesz — podniósł głos.

— W porządku, już dobrze, zrozumiałam. Nie będę się w to mieszać.

Ale tylko jak skończyli rozmowę, Marta poszła do mieszkania sąsiadki. Ściany wyglądały coraz gorzej — szare plamy były widoczne gołym okiem właściwie na każdej z nich.

— Pani Mario, zamówię jakąś profesjonalną ekipę. Apolinary nie radzi sobie. Widocznie jest już tego za dużo. — Marta chciała oszczędzić sąsiadce informacji, że jej ukochany i z pozoru troskliwy wnuk ma coś wspólnego z plagą, która nawiedziła jej dom.

— Może masz rację, dziecko. Niech tak będzie. Apolinary jest uparty jak osioł. Chce sam wszystko robić. Dobry z niego chłopak, ale przecież nie musi się znać na wszystkim. Ja też już widzę, że codziennie jest gorzej. Mówiłam mu, że może ten lek na grzyba to za słaby jest. Może jakiejś innej firmy trzeba by kupić.

— Pani Mario, zamówimy firmę, która zna się na rzeczy i ma jakiś skuteczny preparat. Raz na zawsze pozbędziemy się tej pleśni. A potem ładnie odmalujemy pani mieszkanie. Zresztą już dawno powinno być odmalowane, więc nie ma tego złego...

— No, ja to nawet myślałam o malowaniu. W telewizji widziałam, że teraz taki kolor kawa z mlekiem jest modny. Na jednej ścianie w salonie za telewizorem bym taki chciała. A reszta ścian biała... — rozmarzyła się pani Maria.

— Zrobimy tak, jak pani zechce. Pójdziemy razem na zakupy i wybierzemy najładniejszy kolor, jaki tylko wpadnie pani w oko. — Marta pogłaskała ją po dłoni. — Czy Apolinary dzisiaj będzie?

— Chyba tak, ostatnio prawie codziennie przychodzi. Próbuje mi z tym przeklętym grzybem pomóc. Smaruje i smaruje te ściany, biedny chłopak, aż mi go żal.

— Mam dzisiaj dyżur, ale wychodzę do pracy dopiero po południu. Gdyby się pojawił w ciągu dwóch godzin, niech mu pani powie, żeby do mnie zająztał. Dobrze?

— Oczywiście, powiem mu. Dziękuję ci, dziecko kochane, że tak się o mnie troszczysz. Twoja babcia była z ciebie zawsze taka dumna. Zawsze to powtarzała. Ja też jestem z ciebie bardzo dumna. To wielkie szczęście, że cię mam, jesteś jak moja wnuczka.

— Nie ma sprawy, pani Mario. I jeszcze jedno. Niech pani spakuje potrzebne rzeczy i przeniesie się do mnie. Do pokoju z paprotkami. Dobrze? Ma pani klucze. Pomieszka pani u mnie kilka dni, do czasu aż uporamy się z grzybem. Przygotowałam pani pościel i ręcznik. Leżą na łóżku. Tutaj jest już dla pani zbyt niebezpiecznie. Nie wolno pani tego paskudztwa więcej wdychać. Ja znajdę odpowiednich ludzi i wszystkim się zajmę. Dobrze?

Marta wróciła do swego mieszkania. Wyszukała w sieci firmy, które profesjonalnie zajmują się w Warszawie odgrzybianiem. Zadzwoiła do paru i zdziwiła się, że mają tak odległe terminy. Można by przypuszczać, że Warszawa leży na mokradłach

i wszystkim pleśnią tu ściany... Ponownie zadzwoniła pod pierwszy numer z listy i zgodziła się na przyszły tydzień. Był to najwcześniejszy możliwy termin.

Gdy usłyszała pukanie do drzwi, od razu wiedziała, że to Apolinary. Nie miała żadnego pomysłu, jak poprowadzić tę rozmowę, więc postanowiła improwizować.

Posadziła go w fotelu, zrobiła herbatę, poczęstowała ciastkami, które miała gdzieś poupychane na czarną godzinę. W domu mogło nie być chleba, mogło zabraknąć masła, ale stodycze były pod ręką zawsze. Zapytała grzecznie o to, jak minął mu dzień, choć zupełnie jej to nie interesowało. Kiedy uznała, że grzecznościom stało się zadość, przeszła do rzeczy.

— Czy babcia powiedziała ci, że zamawiamy profesjonalną firmę, która odgrzybi jej mieszkanie? Nie wiem, czy zauważyłeś, ale sytuacja robi się gorsza z dnia na dzień. Wkrótce pleśń zacznie przedostawać się do sąsiadów.

— Tak, coś wspominała, ale przekonałem ją, że nie ma takiej potrzeby. Mam wszystko pod kontrolą. Potrzebuję jeszcze paru dni, by doprowadzić mieszkanie do stanu wyjściowego.

„Chyba zejściowego. Dla twojej babci” — pomyślała.

— Polik, rozmawiałam z nią chwilę temu. Sama mi powiedziała, że tu potrzeba profesjonalnej pomocy.

— Ja też rozmawiałem z nią chwilę temu. Widocznie zmieniła zdanie i już tak nie uważa.

— Zamówiłam już firmę.

— To odwołaj. Powiedziałem, że sam to zrobię. Zresztą szkoda pieniędzy na jakieś firmy.

— To ja płacę i wcale tak nie uważam.

— Dlaczego ty płacisz? To ja jestem jej wnukiem.

— W takim razie zapłać, jeśli chcesz.

— Ale ja nie chcę. Przecież powiedziałem, że sam to zrobię.

Marta powoli traciła cierpliwość.

— Przecież nie umiesz tego robić, nie wychodzi ci to. Jest coraz gorzej.

— W tym momencie. Ale za parę dni zobaczycie poprawę.

„Za parę dni wszyscy w tej kamienicy zaczniemy widzieć kolorowe jednorożce”.

— Polik, sprawa jest już zbyt poważna. Twoja babcia tymczasowo przeprowadzi się do mnie. W jej mieszkaniu nie da się dalej mieszkać. Wróci do siebie dopiero, gdy pozbedziemy się tej przeklętej pleśni. Zakończmy wreszcie tę niepotrzebną dyskusję.

— Przynajmniej w tym się zgadzamy, zakończmy tę dyskusję. To ja jestem jej rodziną i to ja podejmuję decyzje. Nie chcę w jej mieszkaniu żadnych obcych ludzi. Sam sobie poradzę. A babcia zostaje u siebie. Nie widzę powodu, żeby przeprowadzała się tutaj. A tak w ogóle to, po co wtrącasz się w nie swoje sprawy?

Marta nie wytrzymała. Nigdy nie grzeszyła cierpliwością. Obiecała Michałowi, że nie będzie rozmawiać z Apolinarym o buławince, ale skoro był to jedyny sposób, żeby pomóc pani Marii...

— Dobra, widzę, że musimy porozmawiać inaczej. Tak się składa, że wiem o wszystkim. Wiem, czym jest ta breja, którą smarujesz jej ściany. Wiem, że nie jest to żaden środek grzybobójczy, jak próbujesz wmówić mnie i swojej babci.

Jego nieładne, prawie przezroczyście oczy, zrobiły się nagle lodowate.

— Ty nic nie wiesz, Marta.

— Wiem wszystko — powtórzyła. — Zaniósłam to twoje mazidło do analizy. Wiesz przecież, że mam takie możliwości. W laboratorium powiedzieli mi co nieco o tej mieszance. Wiem, że wywołuje halucynacje. Zastanawiałam się tylko, po co to robisz. Chodzi o mieszkanie, tak? Chcesz, żeby zamknęli ją w szpitalu, a ty będziesz mógł się do niej wprowadzić?

— Opowiadasz bzdury. Nikt ci w to nie uwierzy. — Lodowate oczy ciskały gradem.

— Mogę pójść z tym na policję. Wtedy ten twój brudny sekret ujrzy światło dzienne — kontynuowała Marta. — A jestem pewna, że masz też i inne. Ale wcale nie muszę tego robić. Mogę udać, że o niczym nie wiem. Nawet wolę, żeby to się tak skończyło. Żeby twoja babcia nadal żyła w przeświadczeniu, że ma kochającego wnuka. Ale mam jeden warunek.

— Jaki? — Apolinary ścisnął w dłoniach pusty kubek po herbacie. Marta miała nadzieję, że go nie uszkodzi. Był od kompletu.

— Pozwolisz mi zabrać do siebie twoją babcie na kilka dni. Do czasu, aż ktoś usunie to świństwo z jej mieszkania. I nawet nie będę pytać, skąd to wzięłeś.

— Tylko tyle?

— Tak.

— I nie powiesz o tym nikomu?

— Nie, jeśli dotrzymasz umowy.

— Zgoda. — Podniósł się z fotela. — Rób, co chcesz. Ale jeśli powiesz komuś o tym, co wiesz, pożałujesz. Zaręczam ci, że bardzo pożałujesz.

Kiedy wyszedł, Marta zagryzła wargi. Jej improwizacja poszła kiepsko. Złamała obietnicę, którą dała Michałowi, i wiedziała, że będzie o to zły. Trudno. Najważniejsze, żeby zapewnić bezpieczeństwo pani Marii. Zresztą nie miała czasu zamartwiać się reakcją Michała. Musiała zacząć się zbierać, jeśli nie chciała spóźnić się na dyżur. Spakowała torbę i w gnieniu oka się przebrała.

W drodze do pracy przeszła przez plac Zbawiciela. W ogródkach jak zwykle siedziały tłumy. Kisielowa młodzież piła wina, których nazw nie potrafiła wymówić, ale zdawała się pozować na ich wybornych znawców. „Czy ci ludzie nie mają nic innego do roboty? Nie mają pracy?” — Marta pomyślała z zazdrością, bo sama, niestety, pracy miała za dużo.

Tym razem w gabinecie lekarskim przywitała ją ogólna wesołość. Lekarze czytali wywiad ze Starym, czyli ordynatorem Czechowskim. Był typem człowieka, który uwielbiał brylować w mediach. Jako konsultant wojewódzki często wypowiadał się na tematy związane z zakażeniami i potencjalnymi epidemiami. I jak to zwykle bywa w przypadku osób, które zajmują wysokie stanowiska, nie miał większego pojęcia, o czym mówił. Ale zupełnie nie przeszkadzało mu to w przyjmowaniu zaproszeń do stacji telewizyjnych czy w udzielaniu wywiadów prasowych. Jednak najbardziej ze wszystkiego, ordynator Czechowski uwielbiał wizyty we wszelkiej maści instytucjach oraz spotkania organizowane przez nieważne-jakie-byleby-było-jedzenie-i-dużo-zapłacili firmy, zwłaszcza farmaceutyczne. Wywiad, który właśnie czytali koledzy Marty, ukazał się w jednym z pozytywnych tygodników o tematyce medycznej, przeznaczonym dla osób niezwiązanych z medycyną. Dotyczył modnego w ostatnich latach zagadnienia zakażeń przenoszonych przez kleszcze. W końcu liczba przypadków boreliozy i kleszczowego zapalenia mózgu zwiększała się systematycznie, a kleszcze, znane dotychczas głównie z podlaskich lasów, rozprzestrzeniły się nawet w warszawskich parkach. Co prawda, ordynator Czechowski nie rozpoznabył

kleszcza, nawet gdyby ten usiadł mu na czubku nosa, i w wywiadzie nazywał kleszcze owadami, choć w rzeczywistości były to pajęczaki, ale laikom wywiad mógł wydać się rzeczowy i konkretny.

Największą wesołość lekarzy zebranych w gabinecie wzbudziła jednak odpowiedź Starego na pytanie o pracę i całe życie zawodowe: „Pracuję po piętnaście godzin dziennie. Oprócz tego, że jestem aktywnym lekarzem niosącym pomoc pacjentom, a przy tym ordynatorem Kliniki Chorób Zakaźnych oraz konsultantem wojewódzkim, pełnię rolę eksperta w wielu zespołach i komisjach. Zwykle mam tyle obowiązków, że nie wiem, w co ręce włożyć. Praktycznie nie mam czasu na życie prywatne. Ale sprawy, które mnie pochłaniają, są tego warte. Jako ekspert medyczny mogę działać globalnie, poza tym, że naprawiam świat na własnym podwórku”.

— Aktywny lekarz niosący pomoc pacjentom? Chyba w poprzednim wieku, na studiach, w latach siedemdziesiątych — zaśmiał się doktor Nowacki, najstarszy stażem na oddziale. Ze względu na wiedzę i doświadczenie, typowano go po śmierci Szymańskiego na stanowisko zastępcy ordynatora. Oczywiście wskazywanie kogoś na takie stanowisko tylko dlatego, że miał dużą wiedzę i nadawał się do tej funkcji, było sprzecznością samą w sobie. Zastępcą został doktor Marchlewski, który pomagał Staremu „naprawiać świat”, prowadząc z nim wspólne interesy.

— A widzieliście ten kawałek? „Praktycznie nie mam czasu na życie prywatne”. Widocznie ta niunia, z którą widziałem go wtedy na plaży w Sopocie, musiała być jego córką. Wyciągnąłem pochopne wnioski z ich pocałunku. Widzicie, nauczka na przyszłość, szef się stara, haruje po piętnaście godzin, a pracownik świnia i tak obmówi go za plecami... — Dołączył do Nowackiego doktor Hołowacz.

— Mnie najbardziej zastanawia ten ekspert medyczny — dorzuciła swoje trzy grosze doktor Zawada. — Przecież jemu nawet nie chce się rękawiczek zmienić, jak obchód robi. W jednych i tych samych chodzi od sali do sali, od pacjenta do pacjenta...

— Czepiasz się, Mira. On robi obchody w takim tempie, że żadna bakteria ani żaden wirus nawet nie zdążą zeskoczyć — odparował Hołowacz. Wszyscy w dyżurce wybuchnęli śmiechem.

Marta nie przyłączyła się do drwin. Nie żeby nie lubiła dogryzać Staremu, kiedy tego nie słyszał, po prostu nie była dzisiaj w nastroju. Odebrała informacje dyżurowe o poszczególnych pacjentach i wyszła na oddział zamknięty. Przechodząc obok gabinetu zabiegowego, przywitała pielęgniarki. Obie na jej widok zrobiły dziwne miny. Domyśliła się, co mogło być powodem.

— O nie, nie chcę słyszeć, że Chimczak wrócił... — jęknęła. Po tym, jak Michał z drugim policjantem odstawili go do izby wytrzeźwień, miała nadzieję, że nieprędko ponownie go zobaczy.

— Gorzej... — Na twarzy jednej z pielęgniarek pojawił się znaczący grymas.

— Emil Merz? — Marta miała jednak nadzieję, że grymas oznaczał coś innego.

Pielęgniarka skinęła głową. Wszyscy na oddziale wiedzieli o zabójstwie Norberta Krahelskiego, męża Doroty i przyjaciela Marty. Emil Merz, jego morderca, narkoman zakażony HIV, od tego czasu wielokrotnie trafiał na oddział zamknięty. Marta, z przyczyn oczywistych, nigdy nie zgadzała się być jego lekarzem prowadzącym. Miała prawo odmówić i wszyscy to rozumieli. Kiedy jednak była na dyżurze, tak jak teraz, żadna odmowa nie wchodziła w grę. Nie było nikogo, kto mógłby ją zastąpić.



— Dzisiaj przyjęty. Boli go biodro i chcą mu zrobić rezonans magnetyczny — dodała druga pielęgniarka, rozkładając na tacy leki. — Normalny człowiek musi czekać na rezonans tygodniami, jeśli nie miesiącami. A takiego tylko coś strzyknie i już mu bezpłatnie i bez kolejki robią najdroższe badania... Po prostu brak słów.

Marta pokiwała głową. Jej też brakowało słów, zwłaszcza tych cenzuralnych. Zanosilo się na długi dyżur. Przeszła szeroki korytarz i weszła do gabinetu lekarskiego, by odebrać informacje dyżurowe od Marchlewskiego. Przypatrzył się jej bacznie.

— Już wiesz?

— Tak. Podobno przyszedł na rezonans?

— Podejrzewamy jałową martwicę głowy kości udowej. Na jutro ma zaplanowane badanie.

— To jest powód, żeby go przyjmować na oddział zakaźny? Niech się tym zajmą ortopedzi.

— Przecież wiesz, ile się czeka na wizytę i na badanie...

— Tak, Julian, wiem, ile zwykły człowiek czeka na takie badanie. Jak rozumiem jego kolejka nie obowiązuje?

— Czy za każdym razem musimy odbywać tę rozmowę? Dajesz się ponosić emocjom. Lekarz powinien się zachowywać racjonalnie. Pacjent to pacjent, nie zaglądamy im do życiorysów. Wiem, że Norbert był twoim przyjacielem...

— Był też lekarzem. Pediatrą. Nie obchodzi cię to?

— Obchodzi. Współczuję tobie, współczuję Dorocie. Ale co mam zrobić, pozwolić mu umrzeć pod krzakiem?

— Możesz na przykład traktować go jak innych pacjentów z problemami ortopedycznymi — zostawić ten problem jemu i ortopedom. A nie przyjmować do nas, na zakaźny z byle głównem, jak tylko zwiększy mu się cholesterol albo strzyknie go w nodze.

— Jest wykluczony społecznie, nie w pełni samodzielny, nie poradzi sobie sam ze skomplikowanym systemem opieki...

— Ale z Norbertem poradził sobie bez trudu. Doskonale wiedział, jak i gdzie wsadzić nóż. To jest niebezpieczna, aspołeczna szumowina. Tylko patrzeć, jak za chwilę sprzeda kosę komuś innemu, kto znajdzie się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Po Norbercie płakało wiele osób. Po Merzu świat odetchnąłby z ulgą. Taka jest między nimi różnica.

Nie mówiono o tym głośno, ale Marta wiedziała, dlaczego Merz trafił do szpitala. Jak zwykle chodziło o pieniądze. Na oddział zamknięty nagminnie przyjmowano osoby zakażone HIV z problemami zdrowotnymi, które nie miały nic wspólnego z chorobami zakaźnymi. Mogły to być zaburzenia kardiologiczne, okulistyczne, psychiatryczne, przyjęcia w celu zmniejszenia lub zwiększenia dawek metadonu... Ale, niezależnie od przyczyny, pacjenci wypisywani byli z rozpoznaniem AIDS. Były to dla szpitala hospitalizacje niezwykle opłacalne, za które Narodowy Fundusz Zdrowia płacił więcej niż za inne. Wykolejency w typie Merza dzięki temu, że byli zakażeni HIV, generowali zyski znacznie większe niż pacjenci ze zwykłą różą podudzia czy mononukleozą.

— Marta, jedyne, czego od ciebie oczekuję, to żebyś zajrzała do niego podczas wieczornego obchodu i spytała, jak się czuje. I wpisała to do raportu. Nic więcej. Nie musisz go lubić. Możesz go sobie nawet nienawidzić. Naprawdę jest mi wszystko

jedno. Jest w dobrym stanie. Ma na stałe wpisane leki przeciwbólowe. Nie powinien nic od ciebie chcieć. Więc oszczędź kazań sobie i mnie. Nie mam na to czasu. Jest jak jest i nic na to nie poradzisz.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon. Dzwonili z SOR-u z informacją, że przyjęto pacjentkę z podejrzeniem ostrego zapalenia wątroby. Musiała się nią pilnie zająć. Wyszła z dyżurki bez pożegnania z Marchlewskim. Nie pogratulowała mu też awansu na zastępcę ordynatora. Nie wiedziała zresztą, czy jest to już wiadomość oficjalna. Poza tym, prawdę powiedziawszy, nie lubiła go, a nawet uważała za łotra pokroju Szymańskiego.

Przyjęcie, do którego wezwano Martę, przedłużyło się. Pacjentka miała wiele chorób współistniejących. Ciężko było nawet ustalić nazwy leków, które brała na stałe. Kiedy Marta skończyła, ponownie zadzwonił dyżurny SOR-u z informacją, że w drodze na oddział jest kolejny pacjent.

Tym razem był to osiemdziesięcioletni mężczyzna z podejrzeniem biegunki o etiologii *Clostridium*. Takie biegunki były częste wśród osób w podeszłym wieku. Najczęściej pojawiały się po leczeniu antybiotykiem, hamującym rozwój prawidłowej flory bakteryjnej przewodu pokarmowego. W takim przypadku *Clostridium*, na które zwykłe antybiotyki nie działają, może bez przeszkód namnażać się i powodować dolegliwości. Ale biegunka i odwodnienie były też pretekstem często stosowanym przez rodziny, by pozbyć się na jakiś czas z domu kłopotliwych dziadków i babć. Najczęściej działo się tak przy okazji świąt i wakacji. Marcie wiele razy zdarzało się przyjmować staruszków z podejrzeniem biegunki zakaźnej, którym podczas pobytu w szpitalu trzeba było podawać środki przeczyszczające, ponieważ, wbrew twierdzeniom rodziny, nie tylko nie mieli biegunki, ale wręcz uporczywe zaparcia. Oczywiście, w takiej sytuacji można było ich odesłać do domu, ale numery kontaktowe podane przez krewnych pozostawały głuche. Zupełnie zdrowi dziadkowie odbierani byli dopiero po świątach lub urlopie. Na takich pacjentów mówiono w żargonie szpitalnym „babki wielkanocne”. Jednak tym razem przyjęcie było jak najbardziej zasadne, co starszy mężczyzna udowodnił już trzy minuty po położeniu go na świeżo zasłanym, czystym łóżku.

Kiedy wreszcie uporała się z nowymi pacjentami, Marta mogła zrobić wieczorny obchód i sprawdzić, co dzieje się z tymi, którzy już na oddziale leżeli. Jak zwykle zaczęła od pediatrii, potem przeszła na oddział zakaźny dla dorosłych. Oddział zamknięty zawsze zostawiała na koniec, bo szczerze go nie znosiła. Brak uprzedzeń u lekarzy to mit — zawsze to podkreślała. Podobnie zresztą jak u sędziów, nauczycieli, policjantów, urzędników czy dziennikarzy...

W Klinice Chorób Zakaźnych do wszystkich sal chorych wchodziło się przez specjalne śluzy zamykane na podwójne drzwi. Ze śluz korzystano w przypadkach chorób szczególnie niebezpiecznych i szczególnie zakaźnych. Kiedy śluzy działały, ze względów bezpieczeństwa nie można było otworzyć wewnętrznych drzwi, które prowadziły do sal chorych, bez jednoczesnego zamknięcia drzwi zewnętrznych wychodzących na korytarz. Śluza służyła dekontaminacji i zakładaniu oraz zdejmowaniu odzieży ochronnej. Jednak w zwykłych okolicznościach, tak jak teraz, obie pary drzwi mogły być otwarte równocześnie, a śluzy służyły głównie do dezynfekcji rąk przed wejściem na sale pacjentów.

W przypadku oddziału zamkniętego Marta wykorzystywała śluzy również do tego, by sprawdzić dyskretnie, w jakim stanie jest chory. Jeśli miotał się po pokoju, a co

gorsza, rzucał przedmiotami, nie wchodziła do środka bez ochrony. Tym bardziej, że wieczorne obchody lekarze wykonywali w „Błęńskiej” w pojedynkę — w szpitalach względy ekonomiczne zawsze wygrywają ze środkami bezpieczeństwa.

Teraz również stała niezauważona za ciężkimi drzwiami i spojrzała przez grubą szybę.

Sala chorych numer osiem była izolatką, jak zresztą większość sal na oddziale zamkniętym. Na środku pomieszczenia stało jedno łóżko, na którym leżał czterdziestokilkuletni mężczyzna, Roman Sorokin. Marta znała go dobrze, był jednym z regularnie przyjmowanych pacjentów. Zakażony HIV i uzależniony od wszystkiego — alkoholu, heroiny, mefedronu, benzodiazepiny... Marta nigdy nie przestawała się dziwić, jak można pakować w siebie substancje, które działają przeciwstawnie i wywołują trudne do przewidzenia doznania.

Większość narkomanów, z którymi mieli do czynienia lekarze z „Błęńskiej”, nie miało za sobą trudnej przeszłości. Nie spędzili dzieciństwa w domach dziecka, nie mieli rodziców sadystów ani wujków pedofilów. Marta często rozmawiała z ich rodzinami — byli to najczęściej normalni, przeciętni ludzie. Ani biedni, ani bogaci, przeważnie sympatyczni. W odwiedziny przychodziło też rodzeństwo, które założyło normalne rodziny i prowadziło zwyczajne życie. Marta często zastanawiała się, co sprawiało, że losy dzieci wychowanych w identycznych warunkach potoczyły się tak dramatycznie różnie. Geny? Złe towarzystwo? Jedno i drugie?

Ale Roman Sorokin był wyjątkiem. Jego życie wyglądało jak filmowy dramat bez szczęśliwego początku i ze złym zakończeniem. Wychowywał się w domu dziecka po tym, jak został odebrany matce narkomance, która za pieniądze sprzedawała chłopca „wujkom” pedofilom. Ojciec był nieznan. Uzależnienie od heroiny Sorokin „zawdzięczał” matce, która od wczesnego dzieciństwa podawała mu opiaty, żeby był uległy i nie psuł biznesu. Sorokin wielokrotnie próbował zerwać z nałogiem, ale było to niemożliwe. Nie miał uczciwej pracy, bo nie nauczył się żadnego fachu. Zajmował się rozprowadzaniem narkotyków na warszawskich osiedlach, za co był wielokrotnie aresztowany. Jako recydywista tym bardziej nie miał szans na normalną robotę, więc każdorazowo po wyjściu na wolność wracał do starego towarzystwa i zajęcia, które zawsze na niego czekało. To błędne koło od czasu do czasu przerywane było pobytami na oddziale zamkniętym Kliniki Chorób Zakaźnych.

Tym razem hospitalizacja spowodowana była początkiem psychozy schizofrenicznej i potrzebą dobrania odpowiednich leków psychiatrycznych. Roman Sorokin zaczął bowiem widzieć osoby, które nie istniały. Kiedy przyjmowano go na oddział, utrzymywał, że nęka go kolega z wojska, który wygaduje świńskie rzeczy i próbuje go skrzywdzić. Sorokin leżał na oddziale już kilka tygodni i bardzo chciał wrócić do domu. Niestety, jego stan długo się nie poprawiał i codziennie odraczano wypis. Jednak kilka dni temu nastąpił przełom, długo oczekiwana poprawa. Kolega z wojska znikł i za dwa dni Sorokin miał wyjść ze szpitala.

Kiedy Marta zajrzała przez szybę słuzy do środka sali, zobaczyła Sorokina leżącego na łóżku. Obok stał stojak z kroplówką. Wszystko wyglądało normalnie i już miała wejść do środka, kiedy nagle usłyszała, jak Sorokin mówi coś w stronę stojaka. Uchyliła lekko drzwi.

— Co mi tu kroplówkę odłączasz? To lekarz może robić, pielęgniarka, ale nie kurwa ty! Mówię ci, że... — Urwał, kiedy zobaczył Martę.

— Dzień dobry, panie Romanie, rozmawia pan z kimś? — spytała, stając w nogach łóżka.

— Nie, skąd, do siebie mówię. — Roman co rusz zerkał w stronę stojaka.

— A może mi pan powiedzieć, kogo pan w tej chwili widzi?

Roman przełknął ślinę i znów popatrzył w stronę stojaka.

— No, widzę panią doktor. Jestem tu tylko ja i pani doktor. — W dalszym ciągu raz po raz wpatrywał się w punkt obok stojaka.

— A on? — Marta wskazała palcem na ten punkt.

— To pani też go widzi? — zdziwił się Sorokin.

— Aha, czyli jednak oprócz nas jest w sali ktoś jeszcze?

— Nie, skąd? Mówię, że nikogo nie widzę, tylko panią. — Skołowany Sorokin z widocznym wysiłkiem starał się nie patrzeć w stronę stojaka, ale z kiepskim rezultatem — jego wzrok uciekał tam bez przerwy. Wyglądało to tak, jakby osoba stojąca przy stojaku komentowała coś w niewybredny sposób, a Sorokin nie był pewien, czy Marta aby na pewno tego nie słyszy.

— Mówi mi pan prawdę?

Sorokin był już błądliwy jak płótno i całą swoją energię skupiał tylko na tym, by nie patrzeć w stronę stojaka i nie słuchać dobiegających stamtąd głosów.

— Panie Romanie, mówię do pana. Słyszysz mnie pan? Jest pan pewien, że nie ma tu nikogo poza nami? Mam zadzwonić po psychiatrę?

— Nie, niech pani nie dzwoni. Przysięgam, że nikogo poza panią nie widzę. Muszę stąd wyjść, nie wytrzymam tu dłużej. Psychiatra przychodzi codziennie, biorę każdą tabletkę, co mi przepisuje. Naprawdę robię wszystko, co każecie. Staram się jak mogę. Ale muszę wreszcie wyjść!

Marcie zrobiło się go żal. Obejrzała jego kartę gorączkową oraz sprawdziła ciśnienie i tętno. Niczego od niej nie chciał, a zatem było to wszystko, co mogła dla niego zrobić. Zostawiła go samego lub — co bardziej prawdopodobne — w towarzystwie kolegi z wojska.

Kiedy wróciła na korytarz, wzięła głęboki wdech. Następną była sala numer dziewięć, w której leżał Emil Merz. Myśl o wejściu do środka budziła w niej obrzydzenie. Zostawiła dziewiątkę na sam koniec obchodu, który, niestety, właśnie nastał. Musiała się przemóc.

Otworzyła pierwsze drzwi do szluzy i jak zwykle zajrzała do wnętrza sali przez drugie. W środku nie było nikogo. Normalnie pomyślałaby, że pacjent oddalił się na chwilę z oddziału — na przykład do ogrodu, sklepu albo na papierosa. Ale była na oddziale zamkniętym, którego pacjenci nie wychodzili na zewnątrz. Otworzyła drugie drzwi i weszła do środka. W łazience paliło się światło.

— Panie Merz, jest pan tam? — Zapukała.

Nikt nie odpowiedział, ale ze środka dobiegł ją jakiś dźwięk.

— Panie Merz, tu Marta Wolska, lekarz. Wszystko u pana w porządku? — Zapukała jeszcze raz i otworzyła drzwi do łazienki.

Merz leżał na podłodze przy prysznicu, z głową opartą o krawędź brodzika. Od pasa w górę był nagi. Na lewym ramieniu miał zawiązaną grubą sznurówkę. Przy prawej dłoni leżała strzykawka z igłą. Był przytomny, ale jego ciałem co kilka sekund wstrząsały drgawki. Próbował coś powiedzieć, ale zamiast dźwięków z ust wydobywała mu się spieniona ślina. Miał twarz trupio bladą, co podkreślało siność warg.

Popatrzył na Martę i z przerażeniem w oczach uniósł ku górze rękę, która szybko i bezwładnie opadła z powrotem na ziemię.

W pierwszym, naturalnym odruchu Marta chciała krzyknąć po pomoc i zacząć go ratować. Powstrzymała jednak tę reakcję. Szybko oceniła sytuację i doszła do wniosku, że Merzowi nie pozostało już zbyt wiele czasu. Musiała dopilnować, żeby w ciągu najbliższego kwadransa nikt tu nie zajrzał. Spojrzała na niego raz jeszcze. Nie tak wyobrażała sobie tę chwilę. Wielokrotnie myślała o śmierci Merza i szczerze mu jej życzyła, ale kiedy nareszcie miało się to spełnić, nie czuła nic poza litością. Jednak nie mogła pozwolić, by uczucie wzięło górę. Odwróciła się i wyszła z łazienki, starannie zamykając za sobą drzwi. Merz musiał ten gest zrozumieć, bo rozpoczął walkę o życie, waląc ostatkiem sił w plastik kabiny prysznicowej. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce siły zupełnie go opuściły i hałas za drzwiami ustał.

Policzyła do dziesięciu, zrobiła głęboki wdech i powolnym, spokojnym krokiem wyszła na korytarz. W gabinecie zabiegowym obie pielęgniarki przygotowywały wieczorne leki i dyskutowały o filmach, które aktualnie grano w kinach.

— A byłeś już na tym nowym filmie Aldo Moro, czy jak on tam się nazywa, no wiesz, ten Hiszpan?

Marta przyłączyła się do rozmowy. Poleciała nawet thriller, na którym była z Michałem. Rozłożyła karty zleceń i zaczęła je uzupełniać.

— Sorokin niczego nie chciał. Merz chciał zolpidem, ale widzę, że Marchlewski już mu wpisał. — Marta skomentowała spokojnym głosem.

Pielęgniarki skończyły rozkładać tabletki i zabrały się do kroplówek.

— Na obchodzie wszystko w porządku, pani doktor? — spytała jedna z nich, odmierzając strzykawką potas. — Pytam, bo Merz już nam tu daje nieźle popalić.

— Na szczęście nic się nie działo. Leżał spokojnie. Mam nadzieję, że Marchlewski szybko go wypisze i nie będzie musiała oglądać tej parszywej gęby.

— Wszyscy mamy taką nadzieję. Ja to się nawet boję wchodzić sama do jego sali. Nie wiem, po co go nam tu kładą. Zupełnie się już z nami nie liczą. Wie pani, co się stało dziś rano? Zażyczył sobie zmiany pościeli. Salowa odmówiła. Powiedziała, że dopiero co zmieniała. Wtedy Merz zdjął spodnie i przy niej nasikał na łóżko. Powiedział: „Jak mówię, kurwa, że masz zmienić, to masz zmienić”. Salowa z płaczem pobiegła do ordynatora Czechowskiego.

— I co on na to?

— Co on mógł na to. Nic. Jak to on. Tylko wrzusił ramionami i powiedział: „Taka praca, co robić? Jak nie daje pani rady, proszę znaleźć sobie inną”. I kazał jej zmienić pościel. Wyobraża sobie pani? Służbę sobie znaleźli. Te łobuzy mają więcej do gadania od nas. Przecież on w więzieniu powinien siedzieć. Tam niech go leczą. Nie tutaj, z normalnymi ludźmi, z dziećmi zaraz za ścianą...

Marta pokiwała głową i westchnęła. Skończyła modyfikację ostatnich kart zleceń i tym samym zakończyła obchód. Wróciła do dyżurki lekarskiej i usiadła sztywno przy swoim biurku. Podczas dyżuru planowała uporządkować dokumentację medyczną pacjentów opuszczających wkrótce szpital, ale nie mogła zabrać się do roboty. Wpatrywała się w telefon, który nieuchronnie musiał zadzwonić, prędzej czy później. Ogarniał ją niepokój — co bowiem, jeśli Merz przeżyje? I powie, że zostawiła go bez pomocy? Co prawda to narkoman, na dodatek na haju, ale wszyscy wiedzieli, jaki miała do niego stosunek. Jakiś brud mógłby się do niej przy okazji przykleić. Tyle pracowała na swojej obecnej pozycji, nie chciała stracić jej przez kogoś takiego jak

Merz. Pomyślała o strzykawce, która obok niego leżała. Co w niej było? Najprawdopodobniej heroina. Miała nadzieję, że z domieszkami. Gdyby musiały ratować go naloksonem, istniałoby wtedy duże prawdopodobieństwo, że się to nie uda. Spojrzała na zegarek. Czas upływał, a wraz z nim szanse Merza na przeżycie. Nerwowo zastukała palcami po blacie biurka.

Czekała na telefon, ale kiedy wreszcie zadzwonił, podskoczyła w przestraszu.

— Pani doktor, szybko! Chodzi o Merza, leży w łazience, nie rusza się, chyba nie żyje. Przedawkował coś.

Marta pobiegła do dziewiątki. Emil Merz leżał tak, jak go zostawiła. Już z daleka widać było, że nie żyje. Sprawdziła oddech i puls. Żadnego zaskoczenia, brak.

— Zaczynamy reanimację. Poproszę o zestaw ambu. A pani niech dzwoni po anestezjologów. — Rozpoczęła cykl uciśnień i wdechów. Reanimowała trupa, ale przedstawienie musiało trwać.

Po przybyciu anestezjologa i podłączeniu Merza do kardiomonitora stało się jasne, że nie pomoże mu już nic. Sprawdziła godzinę zgonu, żeby wpisać ją do dokumentacji. Merza przeniesiono z podłogi na łóżko i pielęgniarki przykrywały go właśnie szpitalnym całunem. Merz nie miał nawet rodziny, którą można by zawiadomić.

Kiedy zakończyła wszystkie procedury i wróciła do gabinetu, by wypełnić dokumentację związaną ze zgonem, była już w pełni spokojna. Kolejny wykojeniec dokończył żywota na własną prośbę i była pewna, że nie ma sposobu, by ktoś mógł ją z tym powiązać. Formalnie to, co się stało, nie było zresztą jej winą. Może Merz został źle przeszukany albo ktoś w jakiś sposób zdołał przemycić mu narkotyki na oddział. W każdym razie podczas obchodu był w dobrym stanie i nic nie wskazywało na to, by coś zażył lub planował zażyć. A po tym, jak pielęgniarki wszczyły alarm, zrobiła, co do niej należało. Niestety pacjenta nie udało się uratować. Oczywiście będzie przeprowadzona sekcja zwłok — w przypadku nagłych zgonów szpitalnych sekcja zawsze musi być przeprowadzona. Ale to bardzo dobrze. Sekcja tylko potwierdzi wersję oficjalną. Marta była tego pewna. Na porannej odprawie przekazała wiadomość o zgonie Merza. Jej koledzy nie wyglądali na zmartwionych i nie komentowali tej informacji. Jedynie Leszek Skalski w swoim stylu spytał, czy Merz leżał trzy doby, bo tylko wtedy oddział dostanie od NFZ-etu pełną kwotę za hospitalizację. Nikt z obecnych nie zganił go za niestosowność tej uwagi. Wszyscy zgodnie uważali, że Merz doczekał się tego, na co zasłużył, a oni zyskali święty spokój.

## Rozdział 15

Kiedy po dyżurze Marta wróciła do domu, zauważyła na swojej komórce sześć nieodebranych połączeń, wszystkie od Marka Leśniowskiego. Wyciszyła telefon na czas odprawy na oddziale i zapomniała włączyć go ponownie. Wykręciła jego numer.

— No wreszcie, dzwoniłem do ciebie chyba z dziesięć razy!

— Sześć.

— Nieważne. Słuchaj, był tu u mnie jakiś gość z policji. Dopytywał o pożywkę dla buławinki. Policja przyszła już wczoraj. Zabrali tę resztkę, którą zostawiłem do dalszych badań. Chcieli ze mną pogadać, ale nie było mnie w pracy. Dobijali się na komórkę, ale nie odbieram obcych telefonów. Nie wiedziałem, że to oni. Ten policjant, który był tu rano, zadawał dziwne pytania, ale wydawał się zorientowany w temacie. Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że posłałaś już z tym na policję?

— Bo dopiero wczoraj to zgłosiłam. Na dodatek to zgłoszenie było... no... niezbyt oficjalne. Myślałam, że najpierw spiszą moje zeznania, wezwą mnie na komendę, czy coś. A więc dałeś im pożywkę?

— Sami wzięli. Na szczęście zostało kilka mililitrów, w probówce, którą miałem w innym miejscu, tylko nic im nie mów. Chcę dokończyć swoje badania. Czyli jednak potraktowali sprawę poważnie?

— Na to wygląda. Sama jestem zaskoczona.

— Czyli też nic nie wiesz?

— Tyle co i ty.

— A dasz znać, jak czegoś się dowiesz? Wkręciłem się w tę sprawę.

— Jasne.

— Jasne tak jak wczoraj z policją?

— Sorry! Naprawdę nie sądziłam, że tak szybko się do ciebie zgłoszą. Ile jeszcze razy mam przepraszać.

— Ty mnie w to wplątałaś! Myślałem, że będziemy działać razem.

— Po raz setny przepraszam. Dałam ciała, to się już więcej nie powtórzy.

Kiedy pozbyła się Marka, zadzwoniła do Doroty. Powinna jak najszybciej dowiedzieć się o śmierci Merza. Marta miała nadzieję, że nie doniósł jej już o tym ktoś inny. Dorota mogłaby mieć pretensje do przyjaciółki, że ta dzwoni do niej z każdą głupotą, a przy grubych sprawach o niej zapomina. I miałyby rację.

— Cześć Marta! Wiedziłaś, kiedy zadzwonić. Właśnie ubierałam się do sekcji. Za pięć minut już nie mogłabym odebrać telefonu. Co słychać? — Sądząc po głosie, Dorota była w doskonałym humorze.

— Emil Merz nie żyje.

— Co?

— Merz nie żyje. Zmarł wczoraj na moim dyżurze.

— Ale ty nie... — Dorota urwała. Uświadomiła sobie niestosowność tego pytania.

— Nie. Przedawkował coś, najprawdopodobniej heroinę. Reanimowaliśmy go, ale nie przeżył. Pewnie wkrótce trafi do was na sekcję.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

— Halo, Dorota, jesteś tam?

— Tak, przepraszam, ta wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła.

— Myślałam, że się ucieszysz.

— Ucieszyłabym się, gdyby Merz przedawkował sześć lat temu, zanim spotkał Norberta. Teraz już nie. Ale czuję ulgę. Ulgę, że już nikogo nie skrzywdzi i że już go więcej nie zobaczę. — Dorota znów zamilkła. — Wiesz, widziałam go jeszcze w procesie. Nigdy ci o tym nie powiedziałam. Wychodził właśnie z naszego szpitala, minęliśmy się w bramie. Nie poznał mnie. Ja szłam do pracy. Myślałam, że przez te lata jakoś sobie to wszystko wytlumaczyłam, ułożyłam w głowie. Że śmierć Norberta miała jakiś... Nie wiem, sens, cel... Ale kiedy Merz minął mnie wtedy, zupełnie się załamalam. Musiałam wziąć wolne i wrócić do domu. Przeplakałam cały dzień... Ale teraz nic nie czuję. Widocznie czas faktycznie leczy rany. Może będzie inaczej, kiedy przywiozą go do naszego zakładu i po raz ostatni spojrzę mu w twarz...

— Chyba nie zamierzasz go kroić?

— To byłby masochizm, nawet ja nie dałabym rady. Nie, zrobi to ktoś inny.

Po obu stronach linii znów zapanowała cisza.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że go widziałas? — Pierwsza odezwała się Marta.

— Nie wiem, nie chciałam poruszać tego tematu, znowu rozdrapywałybyśmy rany.

— Ja zawsze ci mówiłam, kiedy trafiał do nas na oddział.

— Wiem, może właśnie dlatego.

— Nie rozumiem.

— Każdy pobyt Merza na oddziale zamkniętym kończył się tak samo. Dzwoniłaś do mnie i wpadałaś w histerię. Krzyczałaś, że rzucasz tę robotę, że ten świat jest niesprawiedliwy i że chcesz Merza zabić. W kółko musiałyśmy rozpamiętywać ten wieczór, kiedy dowiedziałam się, że Norbert nie żyje. Miałam dosyć.

— Czemu nigdy nic nie powiedziałaś?

— Bo dla ciebie to było ważne. Musiałaś o tym pogadać, żeby wrócić do normalnego życia. I wracałaś. Za to ja po tych rozmowach zostawałam z ciężarem, który potem dźwigałam przez następne dni. Cholernie trudno było mi się pozbierać. Nareszcie z tym koniec. Już nigdy więcej nie będziemy musiały prowadzić tych rozmów.

— Nie chcesz ze mną więcej rozmawiać o Norbercie?

— Nie, chcę rozmawiać o Norbercie. Zwłaszcza z tobą. Z kim, jeśli nie z tobą. Ale o tym, jakim był cudownym mężem i ojcem. Jak na studiach we troje tak często chodziliśmy nad Wisłę, że aż Norbert oswoił tam mewę. I jak dostawał czkawki po alkoholu, a my się z niego nabijałyśmy. To są rzeczy, o których chcę rozmawiać. A nie o tym, jak wykrwawił się na śmierć, bo znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Znowu zapanowała cisza.

— Dorota...

— Słuchaj, Marta, muszę wracać do pracy. Zadzwonię do ciebie wieczorem i jeszcze pogadamy, dobrze?

Kiedy Dorota rozłączyła się, Marta usiadła w fotelu i schowała twarz w dłoniach. Chciała powiedzieć Dorocie, jak naprawdę umarł Merz. Po tej rozmowie wiedziała jednak, że to bardzo zły pomysł. Przyjaciółka mogłaby zinterpretować nieudzielenie pomocy mordercy Norberta opatrnie, jako kolejną próbę psychoterapii jej kosztem. Swoją drogą, zawsze sądziła, że zbyt rzadko się Dorocie zwierza. Miała przed nią sekrety i nie wtajemniczała jej w wiele spraw, które były dla niej ważne. Działo się tak



również dlatego, że nie chciała obarczać jej kolejnymi problemami, których Dorocie i bez tego nie brakowało. Teraz dowiedziała się, że mimowolnie i tak ją nimi obarczała.

Tak, rozmowa z Dorotą poszła inaczej, niż się tego spodziewała i teraz Marta czuła jakiś niedosyt. Adrenalina po śmierci Merza jeszcze jej nie opuściła i miała potrzebę rozmowy o tym, co zdarzyło się w nocy w „Błęńskiej” z kimś bliskim, komu mogła zaufać.

Wykręciła numer Kamili. Przez ostatnie tygodnie prawie z sobą nie rozmawiały, choć zawsze były bardzo żyte. Ale siostra również miała swój świat, do którego nie zawsze wpuszczała Martę. Poza tym Weronika pochłaniała praktycznie cały wolny czas Kamili.

— Cześć! Co to się stało, że dzwonicz? Przypomniałaś sobie, że masz siostrę? — powitała ją Kamila.

— A wiesz, że telefon działa w obie strony? — odwzajemniła się Marta.

— No przecież już ci kiedyś tłumaczyłam: siedzisz ciągle w pracy, boję się pierwsza dzwonić, żeby nie przerwać ci jakiejś reanimacji czy czegoś w tym stylu. Wolę, jak ty dzwonicz do mnie.

— A ja już ci kiedyś wyjaśniłam, że w pracy nie noszę przy sobie prywatnej komórki. Zostawiam ją w dyżurce. Więc niczego nie przzerwiesz, co najwyżej nie odbiorę, tylko oddzwonię, gdy będę mogła. Słyszę w tle jakieś głosy? Masz gości?

— Nie, oglądam telewizję. Leci dziennik. Może faktycznie trochę za głośno puściłam, ale było coś ciekawego i chciałam dobrze słyszeć. Poczekaj, zaraz ściszę.

— Co cię tak zainteresowało?

— Pamiętasz sprawę tej matki z dziećmi, którzy spalili się we własnym domu? Później okazało się, że podpalił ich jej mąż, ojciec dzieci. Taka bardzo głośna, wszędzie o niej mówili.

— Tak, coś słyszałam. A co? — Marta poczuła znajome uczucie gęskiej skórki wpełzającej na łydki i przedramiona.

— Ten ojciec dostał niski wyrok. Prokurator się odwoływał. Na pewno pamiętasz. Swego czasu wszyscy byli tym oburzeni.

— Możliwe. Zwiększyli mu wyrok?

— Nie. Dzisiaj znaleźli go w celi spalonego. Podobno popełnił samobójstwo.

Gęsia skórka sięgnęła szyi Marty.

— Jak to samobójstwo?

— Brzmi dziwnie, fakt. Podobno dobrze to zaplanował. Wykorzystał benzynę z zapalniczek. Polał się i podpalił. Znaleźli u niego sporą kolekcję pustych zapalniczek. Nie wiadomo, skąd je miał i dlaczego nikt ich wcześniej nie zauważył.

— I nikt nie widział, jak się podpalał?

— Był w celi sam. Dla bezpieczeństwa, bo wiesz, co w więzieniu robią z mordercami dzieci. Podpalił się w środku nocy.

— Dziwne.

— No dziwne. Ale powiedz lepiej, co u ciebie. Masz jakiś nienaturalny głos, stało się coś? Marta, halo, jesteś tam?

— Tak, jestem. Przepraszam, zamyśliłam się. Merz nie żyje.

— Kto? — Kamila nigdy nie pamiętała nazwisk osób, o których Marta jej opowiadała. Choć, trzeba przyznać, opowiadając o Merzu, Marta używała raczej określenia „morderca Norberta”, a nie nazwiska.

— Morderca Norberta.

— O... — Przez chwilę w słuchawce zapanowała cisza. — No, ale... to chyba dobrze?

— Tak. Nawet bardzo.

— Jak umarł?

— Przedawkował. Na moim dyżurze.

— Będziesz miała jakieś kłopoty?

— Raczej nie, nie wydaje mi się.

— No to, w czym problem?

— Nie mam żadnego. Dzwonię, żeby pogadać. Ta cała historia wytrąciła mnie z równowagi. Próbuję o tym nie myśleć, ale wciąż wraca.

— Jesteś po dyżurze? Może spotkamy się po południu na jakimś obiedzie? Porozmawiamy normalnie, a nie przez telefon. Poza tym Weronika się za tobą stęskniła, ciągle o ciebie pyta.

— Pewnie, chętnie. Może gdzieś na Polu Mokotowskim?

— Jak zwykle! Miejsce, do którego masz blisko. Cała ty. Ale zgoda, w porządku, lubię Pole Mokotowskie. O czwartej? Wyśpisz się do tego czasu?

— Ja się nigdy nie wysypiam. Ale niech będzie czwarta.

— Aha, jeszcze tylko muszę ci się pochwalić, że zrobiłam curry z bałkażana według tego twojego magicznego przepisu.

Obie z Kamilią mówiły „bałkażan” zamiast bakłażan. To było częste przejęzyczenie ich babci i przejmując go, dołożyły cegiełkę do rodzinnego kodu. Obok „kordły” i „struskawek” (Kamila jako dziecko była przekonana, że „z truskawkami” jest narzędnikiem liczby mnogiej od „struskawki”), były też wyrazy zrozumiałe tylko dla nich, jak „niegadziąjny” i „kieniedzi”. Nie wiedziały, skąd wzięły się w ich słowniku, ale doskonale znały ich znaczenia i używały we wspólnych rozmowach. Ostatnio swoją cegiełkę dołożyła Weronika, nazywając szarlotkę „jabłuszkowcem”.

— No i? — Kamila była antytalentem kulinarnym. Przypalała nawet wodę. Marta współczuła bratanicy, która odżywiała się prawie wyłącznie parówkami.

— Rewelacja. Faktycznie prosty, nawet ja nie dałam rady go zepsuć.

— Podałaś z ryżem z bakaliami, tak jak mówiłam?

— No coś ty, naprawdę myślałaś, że dam radę ugotować dwie rzeczy naraz? Kupiłam gotowe poznańskie pyzy na parze.

— Ale fusion wymyśliłaś!

— Nie śmieć się, wyszło pyszne połączenie. Naprawdę rewelacyjne. Mogliby otworzyć taką restaurację, poznańsko-indyjską, chodziłabym.

— Ciekawe, jak miałyby się nazywać?

— Jak to jak? To oczywiste. „Tej Mahal”.

Obie parsknęły śmiechem.

— Ostatni tak dobry posiłek jadłam w tym hotelu ze spa w Sopocie, w którym byliśmy z Cezarym dwa tygodnie temu.

Mąż Kamili, Czarek, a raczej Cezary (nie nosił, kiedy wołano na niego Czarek, twierdząc, że tak ma na imię pies jego sąsiada), miał odpowiedzialną i dobrze płatną pracę, ale często wyjeżdżał służbowo. Kamila z trudem znosiła jego nieobecność, podejrzewając — zapewne nie bez powodu — że wyrabia wtedy rzeczy, których dobry mąż czynić nie powinien. Wywoływało to ciągłe spięcia w ich małżeństwie, naprawiane psychoterapią dla par i wyjazdami „tylko we dwoje”.

— A, właśnie, wasz ostatni wyjazd. Zapomniałam spytać, jak było.

— Uroczo. Mieliśmy piękny pokój, z widokiem na morze. Chodziliśmy sobie na długie spacery...

— A spa? Miało być na wypasie.

— I było. Ale skorzystaliśmy tylko raz.

— Czemu? Mówiłaś, że właśnie dlatego wybrałaś ten hotel.

— No, tak. Poszliśmy tam zaraz pierwszego dnia. Rozsiadliśmy się w jacuzzi, sami, cisza, spokój, błogość... Z głośników sączy się jakaś relaksacyjna muzyka, bąbelki przyjemnie łaskoczą skórę, Cezary powoli gładzi moje uda... Mówię ci, cud, miód. Nagle widzę, zbliża się jakaś kobieta, tak koło pięćdziesiątki. Ze sto sześćdziesiąt centymetrów i tyle samo kilogramów. Mija wolne jacuzzi i wbija się do naszego, nawet nie pytając, czy może. Siada, wywołuje fale jak podczas sztormu na Bałtyku, gada coś o portierze z recepcji. Nie przyłączamy się do rozmowy, mając nadzieję, że się zamknie i spokój powróci. Powrócił, na trzy sekundy. Po których baba wzdycha głęboko i mówi: „Och, jak to dobrze robi na moje hemoroidy!”. Już więcej tam nie wróciliśmy.

Marta uśmiechnęła się do słuchawki.

— Mocne. Ty to zawsze musisz na jakieś fiksum-dyrdum trafić. Kamila, muszę kończyć, przestaję powoli rozumieć, co do mnie mówisz. Muszę odespać ten dyżur choć przez kilka godzin. Opowiesz mi resztę, jak się spotkamy. Czyli widzimy się o czwartej?

— Jasne. Pozdrów ode mnie panią Marię, jak ją zobaczysz.

„Pani Maria! Zupełnie o niej zapomniałam. Przecież od tej nocy miała u mnie spać”. Marta zajrzała do pokoju gościnnego, nazwanego pokojem z paprotkami z uwagi na paleozoiczne zarośla przy łóżku. Łóżko było nietknięte, zaścielone tak, jak je zostawiła.

— A to drań...

— Kto? O kim mówisz? — zainteresowała się Kamila.

— Nieważne, opowiem ci przy obiedzie, jak się spotkamy. Teraz naprawdę muszę kończyć i coś wyjaśnić.

Marta była wściekła. Była pewna, że to sprawka Apolinarego. Postawił na swoich i nie pozwolił pani Marii tu nocować. Musiała natychmiast do niej pójść i dopilnować, by zabrała swoje rzeczy i na kilka dni wyniosła się ze swojego mieszkania. Wsunęła telefon do kieszeni spodni i ruszyła w stronę drzwi.

Nagle usłyszała dzwonek domofonu. Nie spodziewała się gości.

— Kto tam?

— Proszę otworzyć, kurier.

Nie spodziewała się również żadnych przesyłek, ale nacisnęła przycisk domofonu. Kiedy kurier zadzwonił do drzwi, Marta spojrzała przez wizjer. Zawsze starała się być ostrożna i nie otwierać drzwi, jeśli nie była pewna, kto za nimi stoi. Na korytarzu zobaczyła brodatego mężczyznę ubranego w dżinsy i granatową bluzę z logo popularnej firmy kurierskiej. Identyczne logo widniało na czapce z wielkim daszkiem, która przesłaniała mu twarz. Obok niego stała wielka skrzynia. Marta ostrożnie wyjrzała na korytarz.

— Dzień dobry, to na pewno do mnie? Ja niczego nie zamawiałam. To musi być...

— Nie dokończyła. Kurier pchnął ją w głęb mieszkania z tak dużą siłą, że upadła na podłogę. Kiedy próbowała się podnieść, poczuła solidne uderzenie w głowę. Tracąc świadomość, zdołała tylko pomyśleć, że coś właśnie ukuła ją w rękę.

## Rozdział 16

— Halo, dzień dobry, budzimy się... — Głos dobiegał gdzieś z daleka. Marta próbowała otworzyć oczy, ale powieki ciążyły jej jak ołów. Na dodatek ten potworny ból głowy... Spróbowała sięgnąć ręką do czoła, ale ręka również odmówiła jej posłuszeństwa.

— To rokuronium. Ciągłe działa. Za chwilę przestanie, więc dla pewności związałem ci ręce i nogi. Masz prawo czuć się obolała. Kawał drogi wiozłem cię w tej skrzyni. Trudno było inaczej. W końcu w biały dzień musiałem cię wynieść z mieszkania i wsadzić do samochodu. A sąsiadów masz wścibskich.

Ten głos. Marta miała wrażenie, że go zna. Tylko skąd? Przez ból głowy nie mogła pozbierać myśli. Jakiś metaliczny przedmiot dotknął jej ust i Marta poczuła, jak do gardła wlewa się jej coś płynnego. Było chłodne i niesło ukojenie. Marta piła łapczywie, aż się zakrztusiła.

— Powoli, nie zachłyśnij się na śmierć. Mam wobec ciebie inne plany.

Mogła już otworzyć oczy. Z trudem, ale mogła. Leżała na czymś w rodzaju stołu. Jej ręce i nogi były przymocowane do jego krawędzi za pomocą skórzanych pasów. Próbowwała znaleźć wzrokiem tego, który ją poił, ale nigdzie go nie widziała.

— Jestem tutaj. — Tym razem głos dobiegł zza jej głowy. Marta miała wrażenie, że był lekko rozbawiony.

— Kim jesteś? — wychrypiała.

— A nie wolisz wiedzieć, dlaczego się tu znalazłaś? Chociaż... właściwie wszystko w swoim czasie.

Marta usłyszała, jak mężczyzna przemierza się w stronę jej nóg. Na przemian mrużyła i otwierała oczy, żeby móc lepiej akomodować. Głos zaczął przybierać coraz wyraźniejszy kształt.

— I jak?

Marta rozpoznała wreszcie swego porywacza, ale nadal niewiele rozumiała z całej sytuacji.

— Dlaczego? — Zdołała z siebie wydusić.

— Przyjdzie czas na wyjaśnienia. Najpierw muszę ci podziękować. — Pomachał jej przed oczami dużą, zieloną książką. Rozpoznała ją natychmiast. *Atlas anatomii człowieka* Sobotty. — Pewnie musiałas go szukać. Leżał u ciebie na biurku. Nie mogłem się powstrzymać, by nie zabrać. Przydał się w moim... projekcie. Naprawdę dużo się z niego nauczyłem. Ale zaraz do tego dojdziemy.

Pomimo panującego chłodu Marta była mokra od potu. Zaczynała układać sobie wszystko w głowie i ogarniało ją coraz większe przerażenie. Próbowwała wołać o pomoc, ale wydobywała z siebie tylko zduszone dźwięki.

— Niedługo będziesz mogła krzyczeć. Ale i tak nic ci to nie pomoże. Jesteśmy sami, na kompletnym odludziu. Nikt cię nie usłyszy.

Rozejrzała się wokoło, w takim zakresie, na jaki pozwalały pasy. Przebywali w pomieszczeniu, które kiedyś musiało być kuchnią. Na rozpadających się półkach dostrzegła pozostawione przez byłych domowników podniszczone garnki i patelnie. Po prawej stronie stał stary kafelowy piec kuchenny. Okna zostały szczelnie przysłonięte,

co dodało jej nieco otuchy. Gdyby naprawdę byli gdzieś na pustkowiu, nie musiałby martwić się ich zasłanianiem. Wyglądało na to, że wzięła ją w jakimś opuszczonym, zaniedbanym domu.

— Wiesz, nie chciałem, żebyś to była ty. Bardzo cię lubiłem. Nawet kiedyś myślałem, że może z naszej znajomości uda się stworzyć coś więcej... Nie planowałem tego. Wierzysz mi?

Marta kiwnęła głową. Nie chciała go denerwować. Przytakiwanie było w tej sytuacji rozsądną taktyką.

— Bardzo mi się podobałaś — kontynuował. — Na początku myślałem, że ja tobie też. Ale potem zrozumiałem, że jednak nie. Tolerowałeś mnie. Tylko tyle. Tolerowałaś mnie, bo musiałaś. A po wczorajszym stało się jasne, że przestałaś mnie nawet tolerować. Stałaś się dla mnie zagrożeniem. Musiałem działać. Rozumiesz? To wszystko, co się teraz dzieje, to samoobrona. Zmusiłaś mnie do tego. To jest wyłącznie twoja wina. Nie chciałem tego. Myślałem, że mogę stać się dla ciebie kimś ważnym.

Podszedł bliżej i rozpiął dolne guziki jej koszuli. Jego ręce zaczęły głąskać jej brzuch, a potem wędrować w górę.

— Apolinary, proszę, nie... — wychrypiała.

— Wolę, jak mówisz Polik. Jak przyjaciółka. Łudziłem się, że nią jesteś. — Wyjął ręce i na powrót zapiął guziki. Na koniec delikatnie przygładził koszulę Marty, zatrzymując się dłużej na piersiach. — To miłe uczucie mieć przyjaciół. Zwłaszcza z tak długą historią jak nasza. Ile lat już się znamy? Prawie trzydzieści, nie?

Popatrzył pytająco na Martę. Potwierdziła, choć nie była w nastroju do liczenia.

— Oczywiście, z dłuższą przerwą — kontynuował. — Tak, przynajmniej, straciliśmy kontakt na wiele lat. I to przeze mnie. Ale na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że w tym czasie dużo o was myślałem. O tobie i Kamili. Zwłaszcza o niej. Kiedy wróciłem do Warszawy, czasem obserwowałem was z daleka. Jak rozmawiacie, śmiejecie się... Nie masz pojęcia, ile razy chciałem się do was przyłączyć. Ale wtedy jeszcze nie mogłem. Wiesz, że od zawsze kochałem się w Kamili?

Potulnie znowu kiwnęła głową.

— No jasne, że wiesz. Złamała mi serce, wychodząc za mąż za tego dupka. Naprawdę, stać ją było na kogoś lepszego. Pamiętam, jak zobaczyłem ich razem pierwszy raz, w jakimś parku. Byłaś z nimi. Siedzieliście na kocu i graliście w karty. Obejmował ją tak, że chciałem podejść i strzelić mu w zęby. Raz poszedłem za nim i kto wie, co bym mu zrobił, gdybym miał okazję. Na szczęście dla niego wokół było pełno ludzi. A potem mi przeszło.

A więc Apolinary śledził ją i Kamilę od paru lat. A one niczego nie zauważyły! Gdyby Marta mogła bać się jeszcze bardziej, teraz byłby dobry moment.

— O twego mężulka też byłem na początku trochę zazdrosny — ciągnął dalej. — Ale szybko zrozumiałem, że nic z was nie będzie. Za dużo was dzieliło. Nie byliście dla siebie. I widzisz, miałem rację. Bardzo się ucieszyłem, gdy z powrotem przeprowadziłaś się do mieszkania swej babci. Pomyślałem, że jeśli wprowadzę się obok i będziemy często wpadać na siebie, znowu mnie polubisz. I będzie jak kiedyś. A mieszkanie mojej babci świetnie się do tego nadawało.

— Tyle że bez babci? — spytała cicho.

— Tyle że bez babci — roześmiał się. — Ale nie mogłem jej skrzywdzić. Przecież nie jestem żadną bestią, choć tak o mnie mówią. W końcu bardzo ją kocham. To moja babcia. Mogła spokojnie dożyć swoich dni w jakimś zakładzie. Odwiedzałbym ją

i miałyby tam wszystko, co trzeba. Zresztą ona nie ma już dwudziestu lat. Pomoc bardzo by się jej przydała. Płaciłbym za wszystko, czego by zapragnęła. Mam kasę.

Przerwał i znów spojrzał na Martę, jakby szukając aprobaty, jakiegoś wsparcia. Ale go nie otrzymał. Marta zajęta była sprawdzaniem, jak mocno trzymają pasy. Robiła to tak niespostrzeżenie, jak tylko mogła.

— Ale ona nie chciała. Mówiła, że chce umrzeć u siebie i że nigdzie się stamtąd nie ruszy. Musiałem znaleźć sposób, żeby ją wykurzyć. Ta dziwna pleśń wpadła mi w ręce zupełnie przez przypadek. To długa historia. Oszczędzę ci jej, tym bardziej, że nie mamy aż tak wiele czasu. Chcę, żebyś mnie zrozumiała. Nie możesz mnie pokochać, to przynajmniej zrozumi. — Podeszedł do pasów, które unieruchamiały Marcie stopy, i sprawdził zaciski. Trzymały mocno, ale mimo wszystko nieco je docisnął. — Muszę dopilnować, żebyś się nie wyrwała — usprawiedliwił się bardziej przed sobą niż Martą.

— Apolinary, nie rób tego, proszę. — Marta mogła wreszcie mówić normalnie. Lek, który jej podał, przestał działać. — Wypuść mnie. Obiecuję, że będzie jak dawniej. Zobaczysz. Przecież możemy przyjaźnić się jak kiedyś. Nikomu nie pisnę słowa o porwaniu. Proszę... — Spojrzała błagalnie w jego oczy.

— Nic nie rozumiesz. Nie możemy się cofnąć. Stąd już nie ma odwrotu. I nie chodzi tylko o ciebie. Spójrz. — Jednym ruchem obrócił stół, do którego Marta była przywiązana. Patrzyła teraz na przeciwną ścianę pomieszczenia i to, co zobaczyła wcale jej się nie spodobało. W jej stronę skierowana była kamera, obok której dostrzegła lampy i blendy fotograficzne. Czy Apolinary ją nagrywał?

— Kamera nie działa. Jeszcze — powiedział, czytając w jej myślach. — Ale wszystko jest już gotowe na mój najlepszy film. — Podeszedł do wózka, który Marta zauważyła dopiero teraz. W chirurgicznym porządku poukładane były na nim przedmioty, które w chirurgią nie miały nic wspólnego: młotki, piły, dłuta i jakieś inne narzędzia, których nazw Marta nie знаła, ale mogła domyślać się ich przeznaczenia. Wziął do ręki największy młotek. Marta zaczęła się szamotać, ale pasy nie puszczały.

— Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! — krzyknęła.

Nie próbował jej uciszać.

— Już mówiłem, możesz krzyczeć do woli. Tu nikt cię nie usłyszy. Kiedy zaczniemy nagrywać, chcę żebyś krzyczała. Ale teraz twój krzyk nie jest potrzebny. — Odłożył z powrotem narzędzie. — Jeśli będziesz cicho, opowiem ci, co działo się ze mną, kiedy nie było mnie w Warszawie. Chcesz posłuchać?

Nie chciała, ale wiedziała, że nie ona o tym decyduje. Zresztą gra na czas była na razie jedyną rzeczą, jaką mogła zrobić.

— O Legii Cudzoziemskiej pewnie wiesz — kontynuował, nie czekając nawet na jej odpowiedź. — To oficjalna wersja, dla rodziny. Zresztą prawdziwa, do pewnego stopnia. Faktycznie, przez kilka lat nosiłem kepi. Nie żałuję, wiele dzięki temu zobaczyłem i wiele się nauczyłem. Choć bywało ciężko, zwłaszcza na Wybrzeżu Kości Słoniowej... — Przerwał, żeby sprawdzić, czy wywarło to na niej wrażenie. — Tak, Afryka to dopiero było coś. Szkoda, że nigdy nie mogłem ci o niej opowiedzieć. Chętnie bym tam jeszcze wrócił. Może kiedyś... Kto wie. — Ponownie docisnął pas przy prawej dłoni Marty.

A więc tak miał wyglądać jej koniec? Jako dziecko wymknęła się z rąk zwyrodnialców tylko po to, by zabił ją ten tutaj?

— Ale na dłuższą metę Legia nie była dla mnie. Lubię działać sam, wybierać sobie zadania, a nie robić, co mi każą. Nie przedłużyłem kontraktu i wróciłem do Warszawy. Nikomu o tym nie powiedziałem. Zaczęliby znowu próbować ustawiać mi życie, upychać po jakichś biurach. Na początku było ciężko, nie miałem roboty i musiałem żyć z oszczędności. Na szczęście dość szybko trafiłem na ludzi, którzy mi pomogli. Zacząłem rozkręcać kontakty i miałem coraz więcej zleceń.

— Jakich zleceń? — Postanowiła, że się nie podda. Pasy trzymały mocno i uwierały ją w nadgarstki. Ucieczka nie wchodziła w grę. Gra na zwłokę była jedynym, co jej pozostało.

— Różnego rodzaju. — Machnął ręką. — Znowu nieistotne szczegóły, o których nie musimy gadać. Tylko że takie życie wiązało się z wyrzeczeniami. Najbardziej było mi szkoda tego, że nie mogłem częściej widywać was, ciebie i Kamili. Patrzyłem na was z daleka. Czasem byłem nawet bardzo blisko, tylko mnie nie widziałyście. Raz nawet celowo potrąciłem cię na ulicy i przeprosiłem. Chciałem sprawdzić, czy mnie poznasz. Ale nawet nie podniosłaś wzroku, szłaś zamyślona.

Marta przełknęła ślinę.

— Byłyście dla mnie jak siostry — kontynuował. — Przynajmniej na początku. Ale potem zaczęliśmy dorastać i wszystko się zmieniło. Kamila była moją dziewczyną, ale spotykaliśmy się tylko w mojej głowie, bo byłem zbyt nieśmiały, żeby zaprosić ją na randkę. Ciebie zawsze trochę się bałem — roześmiał się. — Byłaś jakaś walnięta. W sumie to nic dziwnego, po tym, co przeszłaś. Muszę przyznać, że bardzo się zdziwiłem, gdy wróciłem do Warszawy i spotkałem cię po latach. Wyrosłaś na niezłą laskę. I ta medycyna, fiu, fiu... Poradziłaś sobie w życiu. Znormalniałaś, że tak powiem. Tym bardziej szkoda, że tak to się musi skończyć.

— Śledziłeś nas?

— Obserwowałem. Zresztą na początku głównie Kamilę. Zrobiłem jej setki... nie... tysiące zdjęć. Niektóre są naprawdę dobre. Szkoda, że nigdy ich nie zobaczy. Na pewno by się jej spodobały. Ale potem coś zaczęło mnie ciągnąć do ciebie. Nie wiem, czemu, sam byłem zaskoczony. Jest w tobie coś takiego... jakiś mrok... działał na mnie jak magnes. Zacząłem chodzić za tobą i podobałaś mi się coraz bardziej. — Podszedł do stołu i z czułością ścisnął prawą dłoń Marty.

— Te zwłoki na Mokotowie to twoja robota? — Martę odrzucał jego dotyk, ale starała się nie okazywać tego zbyt wyraźnie.

— Widzę, że nie interesują cię moje uczucia. Chcesz to pominąć? W porządku, niech tak będzie. Opowiem ci o tych dziewczynach. Żeby to zrobić, muszę wrócić do zleceń, o które pytałaś. A właściwie do jednego z nich. Na początku wydało mi się nieco... zaskakujące. Człowiek, który zgłosił się do mnie, poprosił o nagranie, dokument. Chciał, żebym sfilmował śmierć pewnej osoby. Nie konkretnej, chociaż miał swoje wymagania. Miała to być kobieta, szatynka, z kręconymi włosami. Młoda, ładna. Dokładnie opisał, jak miała zginąć. Oszczędzę ci szczegółów. Pewnie domyślałaś się, że nie były przyjemne.

Marta ponownie przełknęła ślinę

— Oczywiście na początku wahałem się — kontynuował. — Ale pieniądze, które oferował, pozwoliłyby mi żyć przez dobre kilka miesięcy bez nowych zleceń. No więc znalazłem taką dziewczynę i dostarczyłem mu nagranie, które chciał. Był bardzo zadowolony. Wręcz uszczęśliwiony. Po jakimś czasie zgłosił się znowu. I tym razem opisał dokładnie, jakiej kobiety potrzebuje i w jaki sposób ma umrzeć. I znowu dostał

swoje nagranie. Ale kiedy zgłosił się trzeci raz, powiedział, że wątpi, czy te nagrania były autentyczne. Uważał, że dziewczyny żyją, a wszystko zostało ustawione. Nie wierzył, że śmierć na nagraniach była prawdziwa. Powiedział, że zapłaci dwa razy tyle pod warunkiem, że z kolejnym nagraniem dostarczę dowód, że zabiłem. I taki był początek „Bestii z Mokotowa”. Nie ukrywałem już zwłok, ale porzucałem je w widocznych miejscach, by szybko zostały znalezione. Zdjęcia ofiar publikowały gazety w całym kraju. Można je było zobaczyć w telewizji, we wszystkich stacjach. Trudno o lepszy dowód, prawda?

— Jesteś chory, obrzydliwy... ty...ty...

— „Bestio”? Przyznaję, chwytliwy pseudonim. Zresztą, może i jestem bestią. Na początku były to zlecenia tylko dla kasy. Robota może nie taka jak inne, ale w końcu robota. Musiałem z czegoś żyć. Ale z każdym kolejnym zleceniem zaczynało mi to sprawiać przyjemność. Byłem scenarzystą, reżyserem, jednym z aktorów. Te filmy były moje. Te kobiety spełniały moje fantazje i umierały tak, jak chciałem. Nigdy ich nie tknąłem, ale przyznaj, było w tym coś seksualnego. Penetrowałem je najmocniej jak można. Penetrowałem je całe, wywalałem ich wnętrzności na zewnątrz. Kiedy kończyłem, nic, co w sobie miały, nie było dla mnie zagadką. I wiesz co? Czułem się artystą. Moje dzieła były nieskończenie doskonałe. Tak myślałem. Ale wtedy na nowo poznałem ciebie. — Przerwał i nachylił się nad Martą. Jego twarz była zaledwie kilka centymetrów od jej własnej, a brzydkie, prawie przezroczyste oczy wpatrywały się w nią z uwagą. — I nie mogłem przestać o tobie myśleć.

Pomimo afektacji, z jaką mówił, a może właśnie z jej powodu, Marta bała się coraz bardziej. Apolinary najwyraźniej rozkręcał się i przygotowywał do sceny finałowej. Dobrze to sobie zaplanował. Czuła się jak na deskach psychodelicznego teatru, którego jednak miała nie opuścić po tym, jak opadnie kurtyna.

— Zostawiłaś klucze do swego mieszkania u mojej babci. — Zimny chłód w jego głosie znów na moment powrócił. — Znalazłem je i dorobiłem własne. Mogłem ich użyć do porwania ciebie, ale stwierdziłem, że i tak muszę jakoś wnieść i wynieść skrzynię. A kurier specjalnie nie rzuca się w oczy. Gdybyś nie kupiła historii z przesyłką, sam otworzyłbym sobie drzwi. Lubię ryzyko. Ale wracając do tamtych dni... Czasem wchodziłem, jak spałaś. Lubiłem cię taką oglądać, mogłem patrzeć godzinami. Kiedy cię nie było, przeglądałem twoje rzeczy, żeby znaleźć coś, co mogłoby mnie zainspirować. Kiedyś, gdy byłaś w pracy, znalazłem atlas anatomiczny. Pomyślałem, że właśnie o to mi chodziło. Wątek medyczny. Taki kawałek ciebie w moich filmach. Wiem, że nie były to prawdziwe sekcje, pewnie mogłabyś niejedno skrytykować, ale wierz mi, na filmach wyszły wspaniale. Mój klient też był zachwycony. Przyprowadził nawet znajomego. Tym razem padło nazwisko konkretnej kobiety. Oczywiście musiał za to zapłacić ekstra. Poziom trudności i ryzyka był większy. Przecież nie wiedziałem, kogo wybrali, czy będzie stawiać opór. Ale muszę przyznać, że miał do niej nosa. Okazała się najlepszą aktorką, jaką kiedykolwiek miałem. Konała długo. Do samego końca była przytomna. Krzyczała i walczyła o życie, nawet gdy już niewiele z niej zostało. — Apolinary przysunął bliżej wózek i zaczął po kolei podnosić leżące na nim przedmioty, każdy ważąc przez chwilę w dłoni.

Marta zaniosła się płaczem.

— Nie płacz. Wolę, jak krzyczysz, jak się złościsz. Płacz do ciebie nie pasuje. Jeśli cię to pocieszy... obiecuję, że twoje nagranie do nikogo nie trafi, zostanie tylko dla



mnie. Tym razem nie robię tego dla kasy.

Nadal bawił się narzędziami. Marta zanosila się od płaczu. Nie bała się śmierci, tylko cierpienia. Nie chciała umierać w taki sposób.

— Ach, myślisz, że już zaczynamy? Nie, no coś ty. Jeszcze nie jesteśmy w komplecie, brakuje kogoś, nie zauważyłaś?

Marta nie zrozumiała.

— Ten film będzie dla mnie bardzo osobisty. Dlatego musimy być na nim wszyscy, jak z dawnych lat. Nie tylko ja i ty. Zapomniałaś o Kamili?

Marta zaczęła krzyczeć.

— Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów. O mały włos ja również bym o niej zapomniał. Wyobrażasz sobie? Na szczęście mam twój telefon. Bez przerwy ktoś do ciebie dzwoni i wysyła SMS-y. Przy okazji, kto to jest Michał? Jestem o niego trochę zazdrosny, wiesz? Albo w sumie nie odpowiadaj, nie chcę o nim wiedzieć, to już nie ma znaczenia. Teraz jest nikim. A Kamila wysłała ci SMS-a, że nie wyrobi się na czwartą, będzie o wpół do piątej. Miejsce bez zmian, Pole Mokotowskie. Odpisałaś jej, że nie ma problemu i że wysyłasz po nią znajomego. Ma czekać pod jej domem i zawieźć ją na miejsce. Ot, taka niespodzianka. Spytała, czy pamiętasz, że będzie z nią Weronika. Weronika! Śliczna dziewczynka, wygląda zupełnie jak Kamila, gdy była dzieckiem, nie uważasz?

Marta przestała płakać.

— Tylko spróbuj, pierdolony popaprańcu, tylko spróbuj ją tknąć.

— Co wtedy zrobisz? Będziesz bronić jej jak lwica i wyszarpiesz mi serce? — Podniósł z wózka skalpel i szybkim ruchem przeciął Marcie skórę na łydce. Poczula ból dopiero po chwili. Szarpnęła ciałem, ale pasy trzymały mocno.

— Widzisz? Nie możesz mi dyktować warunków, nie możesz decydować nawet o sobie. Im szybciej pogodzisz się z tym, co nieuchronne, tym lepiej dla ciebie. Mój film, mój scenariusz. Jeśli uznam, że jest w nim miejsce dla małej Weroniki, to tak będzie. Jeszcze nie wiem, czy zagra razem z wami. Może wymyślę dla niej coś innego. Na was mam już pomysł, ona do niego nie pasuje. Chociaż zawsze mogą być spontaniczny. Mogę dać się ponieść chwili, no nie? A wiesz, co zaplanowałem dla was?

Marta nie chciała tego wiedzieć.

— W mojej głowie byłyście nierozłączne. Kiedy myślałem o jednej, zawsze pojawiała się i druga. Chcę, by tak zostało. — Podniósł z wózka dużą puszkę z wieczkiem. Otworzył ją i wyjął plik opakowań nici chirurgicznych. Jedno po drugim zaczął rozkładać na brzegu stołu, na którym leżała Marta. Spojrzał na nią, sprawdzając, czy wywarł odpowiednie wrażenie.

— No, ale my tu gadu-gadu, a czas płynie. Zaraz trzeba jechać po twoją siostrzyczkę i jej małą. Rodzinną uroczystość czas zacząć. Cieszysz się? — Marta odwróciła głowę. Łzy leciały jej z oczu, ale nie chciała dawać mu tej satysfakcji. Apolinary zostawił ją samą. Po chwili usłyszała go gdzieś dalej, w innej części domu, przesuwanego coś po podłodze i nucącego melodię z filmu Most na rzece Kwai.

Marta wiedziała, że jeśli chce uratować siebie, siostrę i siostrzenicę, musi myśleć i działać szybko. Sprawdziła już, że szarpanie rękami i nogami nic nie da. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc się jej uwolnić. Wózek był pełen takich przedmiotów, ale stał za daleko. Tym razem spróbowała szarpać całym ciałem, tak by przesunąć stół, do którego była przywiązana, ale był albo za ciężki,

albo przytwierdzony do podłogi. Tak czy siak, ani drgnął. Przyjrzała mu się uważnie. Teraz dopiero zauważyła, że leży na stole sekcyjnym — metalowym i wyprofilowanym tak, by wszystkie płyny, które by się na nim znalazły, spłynęły w dół. Jej pęcherz dawał się we znaki i miała wielką ochotę wypróbować tę funkcję, ale wolała nie prowokować Apolinarego. Był przecież kompletnym psycholem i nie wiadomo, jak zareagowałby na widok jej mokrych spodni. Skupiła się na skórzanych pasach, którymi była przymocowana do stołu. Całość nie pasowała do siebie i sprawiała wrażenie konstrukcji wykonanej nieprofesjonalnie, prawdopodobnie własnoręcznie przez Apolinarego, dlatego próbowała odkryć jakąś wadę w mocowaniach, coś, co mogłaby wykorzystać. Bezskutecznie. Widocznie jednak dobrze to przemyślał. Nagle doznała olśnienia. Pasy od początku wydały jej się znajome, ale dopiero teraz zrozumiała dlaczego.

Były skórzane, dokładnie takiego samego typu, jakich używano kiedyś w „Błęńskiej” na oddziale zamkniętym. Wymieniono je na nowoczesne poliestrowe zestawy unieruchamiające, w skład których, oprócz samych pasów, wchodził także specjalny gorset ograniczający, zakładany na tułów. Stało się to zaraz po słynnej przygodzie z Alcatrazem. Alcatraz naprawdę nazywał się Waldemar Francuz i — jak zdecydowana większość pacjentów oddziału zamkniętego — był pacjentem zakażonym HIV, z uzależnieniem mieszanym. Cierpiał też na schizofrenię. Chorobę udawało się kontrolować, pod warunkiem że Francuz brał leki. Kiedy tego nie robił, słyszał głosy, które kazały mu malować obrazy za pomocą swojej kupy. Za podobrazie służyła mu ściana pomieszczenia, w którym głosy aktualnie przemawiały. Dlatego za każdym razem, gdy był przyjmowany na oddział, ograniczano jego ruchy do czasu, aż leki nie zaczęły działać.

W trakcie pierwszego przyjęcia, po piętnastu minutach od przypięcia go pasami, jedna z pielęgniarek, która weszła do sali, aby sprawdzić jego stan, zastała go w pełni wolnego, malującego brązowe pejzaże na ścianie świeżo odremontowanej izolatki. Po serii krzyków i złorzeczeń Francuz został przypięty na nowo, a malunek zmyty. Dopilnowano również, by pasy zostały właściwie zapięte. Osobę, która zapinała je za pierwszym razem, pouczono, by robiła to lepiej, bo jeśli sytuacja się powtórzy, to sama będzie sprzątać. Jednak niedługo po wyjściu ekipy sprzątającej ta sama pielęgniarka ponownie zastała go wolnego i malującego po ścianie. Stało się jasne, że Francuz znalazł sposób, by wszystkich przechytrzyć. Z oddziału psychiatrycznego sprowadzono więc kaftan, który Francuz nosił do czasu, aż głosy ucichły. Na Francuza mówiono odtąd Alcatraz, a stare pasy z czasem wymieniono na bardziej skuteczne zestawy.

Marta lubiła Francuza. Był prawdziwym artystą malarzem i kiedy wychodził ze szpitala, pozostawiał po sobie stosy szkiców na serwetkach i papierowych torebkach. Kiedyś nawet podarował Marcie jej portret, który wyglądał jak zdjęcie, mimo że szkicował go z pamięci. Na jednym z dyżurów Marta spytała go, jakim cudem udało mu się rozpiąć pasy. Pokazał jej. Nauczył się tej sztuczki od swego znajomego, który często bywał na oddziałach psychiatrycznych. Wystarczyło odpowiednio zwinnie poruszać chwilę nadgarstkiem we właściwym miejscu, tuż przy szwie, by końcówka pasa wysunęła się ze szlufki. Wtedy rozpięcie sprzączki było już dziecinnie łatwe. Marta spróbowała — rzeczywiście pas się rozpiął. Tamtego wieczoru, nie mając nic innego do roboty, przeciwoczyła sztuczkę kilka razy. Działała za każdym razem.

Nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Apolinary używał takich samych pasów. Wyteężyła słuch, by sprawdzić, czy nie nadchodził. Na szczęście nadal był czymś zajęty w innym pomieszczeniu. Miała już plan. Poczekaj, aż Apolinary wyjedzie po Kamilę i zostanie sama. Wtedy się uwolni i jakoś zawiadomi policję. Ale po chwili naszyły ją wątpliwości. A jeśli coś pójdzie nie tak i policji nie uda się go złapać przed porwaniem Kamili i Weroniki? Wywiezie je gdzie indziej, do drugiej kryjówki i tam zrobi z nimi, co będzie chciał. A nawet jeśli nie ma innej kryjówki i nie zdąży ich skrzywdzić, jak zniesie to Weronika? Była małym dzieckiem, ale przecież wiele już rozumiała. Nikt lepiej od Marty nie wiedział, jaki wpływ na dorosłe życie mogą mieć traumatyczne przeżycia z dzieciństwa. Nie, Marta musiała uwolnić się teraz i powstrzymać go, zanim wyruszy po dziewczyny.

Najpierw upewniła się, że nadal słyszy swego porywacza gdzieś w oddali, a następnie zaczęła wyplątywać dłonie. Były zdrętwiałe od leżenia w tej samej pozycji i trudno było nimi ruszać. Zaczęła od prawej, ale nie była w stanie odgiąć nadgarstka w odpowiedni sposób. Podjęła kilka prób, bez rezultatu. Mimo chłodu Marta znów poczuła, że zaczyna się pocić. „No, dalej, szybciej!” — popędzała samą siebie w myślach. Nadgarstek ani drgnął. Spróbowała z lewą ręką. Ku jej zaskoczeniu, poszło łatwiej. Co prawda nie udało jej się od razu wysunąć pasa ze szlufki, ale przynajmniej ruszała nadgarstkiem, co dawało nadzieję na sukces. Apolinary kręcił się jakby gdzieś bliżej. Ponowiła próbę. Za drugim razem dała radę ułożyć nadgarstek w odpowiedni sposób i odpięła pas. Jej lewa ręka była wolna, ale nadal pozostawała prawa i obie nogi. Słyszała go coraz wyraźniej. Zaczęła ogarniać ją panika. Znowu dopisało jej szczęście — Apolinary upuścił jakieś przedmioty i głośno klnąc, zaczął je zbierać. Dostała trochę więcej czasu. Sięgnęła do prawej ręki i odpięła pas. Usiadła i to samo zrobiła z nogami, niemal automatycznie. Kiedy wstała ze stołu, musiała się go przytrzymać, by nie upaść. Nogi również odmawiały posłuszeństwa, a rana zadana przez Apolinariego nadal krwawiła. Ciągłe trzymając się krawędzi, rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu przedmiotu, którym mogłaby zadać mu cios. Nie chciała myśleć o swoich szansach — Apolinary był wysokim i dobrze zbudowanym byłym żołnierzem. Dlatego lepiej było o nich w ogóle nie myśleć. Na wózk dostrzegła coś, co przypominało ostro zakończony łom. W zależności od sytuacji, można nim uderzyć lub go wbić. Bez wahania uznała, że się nada. Powoli i cicho podniosła łom. Podeszła do drzwi. Gdzieś niedaleko za nimi Apolinary kończył coś zbierać.

Zobaczyła go szybciej, niż się spodziewała. Wkroczył pewnym krokiem i zatrzymał się może metr od Marty, stojąc do niej tyłem. Nie była przygotowana na jego widok i przez krótki moment stała jak słup soli. Na szczęście jego również zaskoczył pusty stół i przez sekundę lub dłużej tylko się w niego wpatrywał. Marta wzięła zamach, celowała w podstawę czaszki. Usłyszała jej ruch, ale było już za późno. Marta trafiła tam, gdzie zamierzała. Upadł na podłogę, ale nie stracił przytomności, dlatego musiała sobie pomóc kopnięciem go w skroń. Kiedy przestał się ruszać, ostrożnie sprawdziła, czy nie symuluje, łamiąc mu palec. Oglądała za dużo filmów, w których napastnik udawał nieprzytomnego tylko po to, by za chwilę chwycić ofiarę za szyję. Ale takiego bólu nie zniósłby nikt. Spokojna o siebie zaczęła krępować mu dłonie i stopy. Miała nadzieję, że szybko znajdzie telefon i zawiadomi policję, że właśnie ujęła „Bestię z Mokotowa”.

## Rozdział 17

— Halo, dzień dobry! Budzimy się! — Apolinary zaczął powoli otwierać oczy i Marta próbowała przyspieszyć ten proces, kilkakrotnie uderzając go w twarz.

Położyła „Bestię” na stole sekcyjnym, tym samym, na którym sama jeszcze przed chwilą leżała. Zajęło jej to trochę czasu i kosztowało dużo wysiłku, ale adrenalina zrobiła swoje. Teraz czuła satysfakcję, patrząc, jak leży bezbronny i skrępowany. Przypięła go pasami, ale na wszelki wypadek, gdyby też znał sztuczkę z nadgarstkiem, związała dodatkowymi sznurami, które znalazła obok pieca. Oceniała, że musiałby być Houdinim, żeby się z tego uwolnić.

Nie zawiadomiła policji, choć znalazła swoją komórkę. Wysłała SMS-a do Kamili, że coś jej wypadło, a w odpowiedzi dowiedziała się, co siostra sądzi o odwoływaniu spotkań w ostatniej chwili. Poczwała ulgę — Kamila i Weronika żyły i miały się dobrze.

Marta nie zawiadomiła policji z dwóch powodów. Po pierwsze, czekając, aż porwacz się przebudzi, przejrzała jego telefon i znalazła zdjęcia kilku ofiar. Najwyraźniej oprócz filmowania lubił też fotografię. Obrazy były zbyt drastyczne, żeby dała radę przyrzeć im się dokładnie, ale to, co pobieżnie zobaczyła, wystarczyło, żeby lepiej pojąć, jakiego losu właśnie uniknęła. Po drugie, dotarło do niej, że jeśli odda go w ręce policji, może jednak wcale tego losu nie uniknąć. Co, jeśli dowody okażą się dla sądu zbyt słabe albo Apolinary ma wysoko postawionych przyjaciół? Mordował na zlecenie, sam się do tego przyznał. Tacy zleceniodawcy to często bogaci i wpływowi ludzie. Może wyjść po kilku, kilkunastu latach. Może nawet wcześniej. Bez problemu odnajdzie Martę i Kamilę. I Weronikę. Zresztą nawet jeśli dostanie dożywocie, są przecież sposoby, żeby mścić się zza krat.

W tym momencie Apolinary był już chyba w pełni świadom tego, co się wydarzyło, bo podjął próbę wyswobodzenia się z więzów.

— Wygląda na to, że cię nie doceniłem — powiedział, kiedy przekonał się, że to się mu nie uda.

— No, na to wygląda.

— Zawiadomiłaś policję?

— Jasne, są już w drodze.

— Po co mnie położyłaś na tym stole?

— A co, miałam poprosić, żebyś grzecznie na nich poczekał?

— Mogłaś przywiązać mnie do krzesła, byłoby prościej.

— Może i tak. Ale mniej zabawnie.

— I co teraz? Będziemy w milczeniu czekać na ich przyjazd?

— Przecież rozmawiamy. Będę zadawać ci pytania, a ty będziesz na nie odpowiadać.

— Jakie pytania?

— Na przykład, jakie jest hasło do twojego komputera?

Obok komórki, kamery i aparatu Marta znalazła laptopa. Nie mogła sprawdzić jego zawartości, bo był zabezpieczony hasłem, a ona nie potrafiła go obejść.

Apolinary roześmiał się.

— Hasło do mojego komputera? Chcesz sobie pograć w pasjansa, czekając na gliny?

— Serio, w takim momencie próbujesz być dowcipny? Pytam ostatni raz, jakie masz hasło?

— Spieprzaj, nie będziesz mi rozkazywać.

Marta podniosła sekator. Wózek z narzędziami był świetnie wyposażony.

— Będziesz obcinać róże? — zaśmiał się.

Podeszła bliżej, zdjęła mu skarpetkę i jednym ruchem obcięła mały palec. Zrobiła to tak szybko i niespodziewanie, że Apolinary krzyknął dopiero po chwili.

— Krzycz, ile chcesz, nikt cię tu nie usłyszy. Hasło, bo obetnę palucha.

— Kamila jeden dwa trzy cztery. Kamila dużą literą — wysyczał przez zaciśnięte z bólu zęby.

— Serio? Jesteś żałosny. — Marta podeszła do komputera i wpisała hasło. Działo. — Kto dawał ci zlecenia na te kobiety? — Pogroziła mu sekatorem.

— Naprawdę myślisz, że moi klienci się przedstawiają? Nie mam pojęcia, kim byli.

— To jak się z tobą kontaktowali?

— Przez komunikator. Dostawałem wiadomość o miejscu i godzinie spotkania.

— Jaki komunikator?

— Ten, który jest na pulpicie.

Marta otworzyła go. Zapis rozmów był pusty.

— Nic tu nie ma.

— A co, myślałaś, że prowadzę pamiętnik?

— Jak wyglądali?

— Żartujesz? Tego nie powiem nawet policji. Jeszcze nie oszalałem.

Marta zdjęła mu drugą skarpetkę i przyłożyła sekator do małego palca. Kiedy nie zareagował, zaciśniętą uchwyt. Sekator był tak ostry, że nawet nie poczuła, jak przechodzi przez kość.

— Nic ci nie powiem — wycharczał, kiedy wreszcie przestał krzyczeć. — I jeszcze cię za to dopadnę.

— W sensie prawnym? Chcesz mnie pozwać? Czy naślesz na mnie kolegów zbirów? Bo sam z pierdla już nie wyjdiesz.

— Nie żartuję. Szykuj się na śmierć.

— Wszyscy kiedyś umrzemy. A kto powinien się szykować, to się dopiero okaże.

— Chcesz mnie zabić? To po to mnie tu przywiązałaś? Myślisz, że tak łatwo jest zabić człowieka?

— Ty nie jesteś człowiekiem. Jesteś potworem. „Bestią”. Więc tak, myślę, że nie będąc miała z tym problemów.

— A więc o to chodzi. Bawisz się w jakiegoś pieprzonego mściciela?

— Teraz ja zadaję pytania. A ty jeszcze nie skończyłeś na nie odpowiadać.

— Skończyłem. Wał się!

— Skąd miałeś pożywkę dla buławinki?

— Co? Jakiej buławinki? — Jego zdziwienie wydawało się szczere.

— Ta halucynogenna pleśń. Skąd ją miałeś?

— Spierdalaj! Gówno się ode mnie dowiesz!

— Zaraz się przekonamy.

— Myślisz, że przestraszę się ciebie, bo mnie skaleczyłaś? Nie masz jaj, żeby zrobić coś więcej.

Marta westchnęła i zamknęła komputer. Zdecydowała, że sprawdzi jego zawartość później. Teraz nie miała na to czasu. Stanęła nad wózkiem i przyjrzała się narzędziom. Miała tu wszystko, czego potrzebowała. Były nawet rękawiczki chirurgiczne.

— Z takim zaangażowaniem opowiadałeś o tych swoich filmach. To niesprawiedliwe, że sam w żadnym jeszcze nie zagrałeś głównej roli. Trzeba to koniecznie nadrobić, nie uważasz? Teraz ja będę scenarzystką i reżyserem, a ty sobie trochę pokrzyczysz. Chcę, żebyś wiedział, że pozostaniemy w temacie anatomii. Cieszysz się? Co prawda, ten motyw jest już trochę oklepany... Może nawet bardziej niż trochę... — Położyła na stole sekcyjnym atlas Sobotty i zaczęła go przeglądać. — Wiesz co? Takie rzeczy widziałam w co drugim tandetnym serialu o psycholach. Ale nie szkodzi. Postaram się zrobić z tego coś oryginalnego. Jeśli zechcesz, to pozwolę ci nawet wybrać sobie okolicę anatomiczną. Głowa? Brzuch? Ty decydujesz. Fajnie, prawda?

— Nie przestraszysz mnie. Blefujesz. Zresztą za chwilę będą tu gliny.

— O, seryjny morderca stęsknił się za glinami?

— Nie zadzwoniłaś po policję?

— Nie będą nam potrzebni. Będziemy wyłącznie ty i ja. Tak jak chciałeś. Tylko teraz ty poleżysz sobie na stole, a ja zajmę się resztą.

— Nie wierzę. Nie zrobisz tego.

— Bo jestem normalna? Jak to powiedziałeś... „znormalniałam”? Mylisz się. Nie ma normalnych ludzi. Są tylko tacy, którzy lepiej panują nad swoim szaleństwem. A ja, po tym, co chciałeś mi zrobić, nie muszę sobie dawać na wstrzymanie. No dobrze, dosyć gadania. — Ustawiła kamerę i reflektory. Nie zamierzała niczego nagrywać, ale pomyślała, że taka szopka doda dramatyzmu. Chciała, żeby Apolinary poczuł, czym jest strach. — To jak, masz jakąś ulubioną okolicę anatomiczną, od której możemy zacząć?

Milczał. Nie wyglądał na przerażonego. Chyba nadal nie wierzył w to, co miała zaraz nastąpić. Kikuty palców krwawiły mu bardziej, niż powinny, ale dla Marty było to już bez znaczenia.

— Zanim zaczniemy, muszę się do czegoś przyznać. Nigdy nie lubiłam anatomii, ledwie przez nią przebrnęłam. Zresztą jak wielu studentów medycyny. Asystent, z którym mieliśmy zajęcia, był prawdziwym skurwysynem. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale wszyscy mówiliśmy na niego Fryzjer. Wiesz, dlaczego? Bo nas strzygł i golił na łyso. W kółko powtarzaliśmy kolokwia. Nie robiliśmy nic innego, tylko siedzieliśmy nad anatomią, ale to i tak było za mało. Część z nas odpadła, nie zaliczyła roku. W tym mój najlepszy kumpel. Nie myśl, że był tępy czy coś w tym stylu. Nie, wręcz przeciwnie, był bardzo inteligentny. Wiesz, dlaczego nie skończył studiów? Bo poruszał się o kulach. Fryzjer uznał, że lekarz nie może być kaleką i zagiał na niego parol tak, że chłopak nie dostał zaliczenia. Powiedział mu, że zrobił to dla jego dobra, bo medycyna jest wyczerpująca fizycznie nawet dla ludzi w stu procentach sprawnych. Dla jego dobra! Tak jakby wszyscy, kurwa, po medycynie musieli być kardiochirurgami i sterczeć przy stołach operacyjnych przez kilkanaście godzin dziennie! Nie wiem, co Fryzjer robi teraz. Mam nadzieję, że zdechł, ale całe to gadanie o anatomii sprawiło, że sobie o nim przypominałam. I tylko niepotrzebnie się wściekłam. Jak jestem wściekła, trzęsą mi się ręce, a za chwilę będę potrzebować stu procent swojej sprawności. Bo wiesz, na jakiej okolicy anatomicznej się skupimy?

Głowa i szyja. Temat kolokwium, które powtarzałam trzy razy. Najtrudniejszy materiał na roku. Wszystko leży tak blisko siebie, że łatwo o pomyłkę. Jeden nieostrożny ruch i przecinasz nie tę strukturę, co trzeba. Mówię ci, masakra!

Wreszcie zaczął się bać. Szarpnął się ponownie, choć poprzednie szarpnięcia nie dały. Marta postarała się, by wiązania trzymały mocno. Nie przestawał prosić, krzyżeć i grozić, aż musiała mu zakleić usta. Taśmę również znalazła na wózku. Działała sprawnie i pewnie. Zaczęła od wycięcia obu powiek, aby nie zamykał oczu. Potem przeszła do ślinianki przyusznej, wykonując cięcie skórne w kształcie litery Y. Zlokalizowała nerw twarzowy i po namyśle przecięła go. W końcu nie będzie mu już potrzebny. Zrobiła krótką przerwę, ale tylko krótką. Jego ułożenie na stole sprawiało trudność w dotarciu do miejsc, na których jej zależało, a z powodu нефizjologicznej postawy zaczęły boleć ją plecy. Zdecydowała więc nieco zmodyfikować plany. Zdjęła mu z głowy skalp, co było łatwiejsze, niż przypuszczała. Następnie przeszła do skórowania ramion i przedramion. Apolinary przestał się ruszać, ale nie sprawdziła, czy żyje. Było to dla niej bez znaczenia. Chciała dokończyć to, co zaczęła. Z transu wyrwał ją hałas przy drzwiach.

Uniosła głowę.

— Marta? — W drzwiach stał Michał. Na widok Marty schował broń. — Na miłość boską, co tu się dzieje?

Spojrzała na swoje dłonie umazane krwią i nieruchome ciało Apolinarego.

— To „Bestia z Mokotowa”. Próbował mnie zabić.

— Dlaczego nie wezwałaś policji?

— Bałam się, że policja go wypuści. Chciał też porwać moją siostrę i siostrzenicę. Groził, że zrobi nam to samo, co tym kobietom. — Wskazała na komórkę Apolinarego. — Trzyma w niej zdjęcia.

Michał wziął do ręki telefon i obejrzał kilka z nich. Na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia.

— Żyje? — Wskazał na nieruchomą miążgę.

— Nie wiem. Zaraz sprawdzę.

— To już nieistotne. Nie sprawdzaj. — Michał podniósł z ziemi łom, którego Marta użyła wcześniej do ogłuszenia Apolinarego i jednym ruchem wbił mu go w klatkę piersiową.

— Co... co ty... — Marta cofnęła się zaskoczona.

— Wszystko ci później wyjaśnię. Teraz muszę zadzwonić. — Wyjął telefon i nie czekając na reakcję Marty, wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Marta słyszała, jak z kimś rozmawia, ale nie rozumiała słów. Podeszła do Apolinarego i kilka razy pokręciła łomem, sterczącym, jak oceniła, z okolicy piątego międzyżebra po lewej stronie klatki piersiowej. Michał trafił celnie, ale chciała dopilnować, by worek osierdziowy został całkowicie rozerwany. Nie sprawdziła, czy Apolinary żył. Nawet jeśli tak, to już niedługo. Wyjęła łom i położyła na wózku z narzędziami. Krew natychmiast popłynęła szerszym strumieniem.

Michał wrócił po krótkiej chwili.

— Dobrze się czujesz? — Przyjrzał się Marcie.

— To on leży na tym stole z przebitym sercem, nie ja. Więc nie mogę narzekać.

— Przepraszam, że przyjechałem tak późno. To mogło się inaczej skończyć...

— Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie jestem?

— Namierzyłem jego telefon komórkowy. Był pod obserwacją, ale jakimś cudem się wymknął. Kiedy nie mogłem się do ciebie dodzwonić, sprawdziłem również twój telefon. Logowały się do sieci z jednego miejsca, nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się dłaczego. Jechaliśmy najszybciej, jak mogliśmy...

— My?

— Chyba nie myślisz, że przyjechałbym sam?

— To gdzie pozostali?

— Nie są potrzebni, odesłałem ich.

— Nie rozumiem...

— Nie mam czasu na wyjaśnienia, ale obiecuję, że później je dostaniesz. Teraz musisz mi pomóc. Rozejrzyj się po domu, musimy zabrać stąd wszystkie przedmioty, które mogą mieć związek ze sprawą albo na których są twoje biologiczne ślady. Wkładaj je do tej skrzyni. — Michał wskazał na pojemnik, który posłużył do porwania Marty.

Kiedy zakończyli przeszukiwanie domu, Marta usłyszała silnik samochodu.

— Już są. W porządku. Idź do drugiego pokoju i nie pokazuj się, dopóki nie powiem, że już możesz. Lepiej, żeby nie zobaczyli twojej twarzy. Na wszelki wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

— Kto?

— Ludzie, których wezwałem.

Marta spełniła jego polecenie, ale stanęła tak, by widzieć, co dzieje się w kuchni. Do środka weszło dwóch mężczyzn w kominiarkach. Zdjęli zwłoki Apolinarego ze stołu, włożyli do czarnego worka i wynieśli na zewnątrz. Przez okno zobaczyła, jak wypychają worek do furgonetki i odjeżdżają. Furgonetka oklejona była banerem reklamowym: „Przysmak Amika. Nasza karma nie wraca”. Marta parsknęła śmiechem, nie mogła się powstrzymać, mimo okoliczności.

— Wyjdź na zewnątrz, zaczekaj przy samochodzie — powiedział Michał, kiedy wyniósł z domu skrzynię. Wrócił z kanistrem z benzyną i teraz w pośpiechu wylewał jego zawartość. Marta zauważyła, że stół, wózek z narzędziami i podłoga w ich bezpośrednim sąsiedztwie zostały polane ze szczególną starannością.

Wyszła. Po raz pierwszy mogła rozejrzeć się po okolicy. W pobliżu dostrzegła jeszcze dwa inne domy, ale one również wyglądały na opuszczone. Na balkonie jednego z nich rosnęło niewielkie drzewo, uciepione korzeniami betonu. Dookoła rozciągały się tylko łąki, gdzieś w oddali widać było ciemny pas lasu. Apolinary miał rację. Nikt by jej tu nie usłyszał.

Michał wyszedł z domu, rozlewając za sobą strużkę cieczy z kanistra. Kazał Marcie wejść do samochodu, a sam wyjął zapalniczkę i przyłożył ją do ziemi. Ogień natychmiast zaczął sunąć w stronę budynku. Michał uruchomił silnik i samochód ruszył z piskiem opon. Oglądając się za siebie, Marta zobaczyła, jak języki ognia liżą okna i dach.

Przez moment jechali w milczeniu.

— Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? — zaczęła Marta.

— Mógłbym zadać to samo pytanie.

— Byłam pierwsza, ale w porządku, ja zacznę.

Opowiedziała mu wszystko od początku, również tę część historii, którą już znał. Kiedy przeszła do porwania, Michał nerwowo nacisnął pedał gazu. Ze szczegółami opisała, co działo się w domu, który właśnie płonął, i o czym mówił Apolinary.



— Nie potrafię zrozumieć, czemu nie zawiadomiłaś policji, tylko go zmasakrowałaś?

— Nie wiem, to był impuls. Początkowo chciałam zadzwonić po pomoc. Ale potem znalazłam zdjęcia tych kobiet i stało się jasne, że jeśli on pozostanie przy życiu, to ja, moja siostra i siostrzenica już nigdy nie będziemy bezpieczne.

— To dlaczego go po prostu nie zabiłaś?

— To nie byłoby w porządku po tym, co robił tym dziewczynom. I co chciał zrobić nam. Nie było cię tam, nie słyszałeś tych okropieństw, które wygadywał. Tak długo nie potrafiliście go złapać, miałam pozwolić, by pozostał bezkarny?

— Śmierć nie jest wystarczającą karą?

— Oczywiście, że nie. I nadal uważam, że mógł cierpieć znacznie dłużej. Przyjechałeś za szybko.

— Albo za późno. Na tym stole mogłem znaleźć ciebie.

— Ale znalazłeś jego.

W samochodzie znów zapanowało milczenie.

— Powiedziałaś ci już wszystko, co wiedziałam. Teraz twoja kolej na wyjaśnienia. Kim byli ludzie, którzy zabrali zwłoki? I dlaczego podpaliłeś ten dom?

— Marta, to długa historia. Dojeżdżamy do Warszawy, opowiem ci wszystko, jak będziemy u mnie w mieszkaniu. Dzisiaj nie wracasz do siebie.

Dojechali do Litewskiej. Przy wejściu do kamienicy jakimś cudem czekało na nich wolne miejsce parkingowe. Marta wyglądała koszmarnie w zakrwawionym ubraniu i bała się reakcji przechodniów lub sąsiadów Michała. Na szczęście na tylnym siedzeniu leżał koc, którym się owinęła, a po drodze nie spotkali nikogo.

W mieszkaniu dostała od Michała jego koszulkę i spodnie od piżamy. Ubrania, które mieli na sobie, wylądowały w pralce. Pod prysznicem długo spłukiwała z siebie wspomnienia tego, co wydarzyło się dzisiajszego dnia.

## Rozdział 18

— Zacznę od samego początku. Możesz mi przerywać i zadawać pytania. Jestem pewien, że będziesz ich miała sporo — uprzedził ją Michał, kiedy zdecydował, że jest gotowa na wyjaśnienia. — Pamiętasz, jak poznaliśmy się po raz pierwszy?

— Przypadkiem, na placu Zbawiciela, czy na moim dyżurze, w szpitalu?

— Żadne z tych spotkań nie było przypadkowe. Policja interesowała się tobą już wcześniej. Zanim znaleźliśmy pierwszą ofiarę „Bestii z Mokotowa”, otrzymaliśmy informację o porwaniu młodej kobiety. Została uprowadzona wieczorem, z ulicy i wciągnięta do bagażnika samochodu. Porywacz przetrzymywał ją kilka godzin w jakiejś piwnicy, potem podał środek, po którym urwał się jej film. Kiedy odzyskała przytomność, ponownie była w bagażniku. Miała jednak szczęście. Samochód, w którym była uwięziona, stanął po drodze. Nie wiemy dlaczego. Porywacz odszedł gdzieś, a jej w tym czasie udało się uciec. Nie potrafiła go opisać, zasłaniał przy niej twarz. Nie pamiętała również numeru rejestracyjnego samochodu ani miejsca, w którym ją przytrzymywał. Jedyna konkretna informacja, której mogła udzielić, to fakt, że w piwnicy nazwał ją Kamilią Wolską. Wtedy jeszcze nie sądziliśmy, że będzie to dla nas miało jakiegokolwiek znaczenie. Ale wkrótce potem w parkach i na skwerach Mokotowa zaczęły pojawiać się zwłoki, a my powiązaliśmy te sprawy ze sobą. Rozpoczęliśmy poszukiwania Kamili Wolskiej w nadziei, że trafimy na jakiś trop. Nie było to proste, w samej Warszawie jest szesnaście Kamili o takim nazwisku. Prześwietlenie ich życiorysów było żmudne i nie przyniosło efektów. Żadna nie była Kamilią Wolską, która pasowałaby do sprawy. Wtedy szczęśliwie ktoś wpadł na pomysł, by sprawdzić Kamile Wolskie, które wyszły za mąż i zmieniły nazwiska. Tak właśnie trafiliśmy na twoją siostrę i na ciebie. I tu zrobiło się ciekawie. Zabójstwo waszych rodziców, którego ty byłaś świadkiem, mordercy nigdy nie zostali odnalezieni, ty przez wiele lat byłaś leczona psychiatrycznie... — Michał przerwał i spojrzał uważnie na Martę. Nie okazała żadnych emocji. Skinęła głową, by kontynuował. — Obserwowaliśmy was przez jakiś czas, jednak również okazałyście się ślepym zaułkiem. Tak nam się wtedy wydawało. Do czasu, kiedy na twoim oddziale nie został zamordowany ten lekarz...

— Szymański...

— Tak, Szymański. To był bardzo dziwny zbieg okoliczności i wtedy ponownie wróciliśmy do ciebie. Komenda rejonowa otrzymała polecenie, by informować nas o każdym dziwnym zgłoszeniu z twojego szpitala. Ja też ci się bacznie przyglądałem. Ale z daleka i bez efektów. Stąd pomysł, żeby nawiązać z tobą jakiś bliższy kontakt, bardziej osobisty...

— Czyli wtedy, na placu Zbawiciela...

— Byłem na służbie. Ale nie połknęłaś haczyka. Od razu mnie splawiłaś. Nie chcę być nieskromny, ale z większością kobiet mi się udaje...

— Czyli w szpitalu to też nie był przypadek? — Marta zignorowała jego komentarz.

— Nie.

— Ale jakim cudem, będąc w prewencji, prowadziłeś śledztwo w sprawie morderstw?

— Nie jestem w prewencji. Jestem komisarzem policji. Prowadzę śledztwa.

— Nie rozumiem. Okłamałeś mnie?

— Nie. Nigdy ci nie mówiłem, czym się zajmuję w policji. A ty nie pytałaś. Sama wbiłaś sobie do głowy, że pracuję w prewencji. A ja cię po prostu nie wyprowadzałem z błędu.

— To, w takim razie, co tamtej nocy robiłaś na interwencji w „Błęńskiej”?

— Komenda rejonowa zawiadomiła nas o zgłoszeniu. Zamiast jednego z ich policjantów poszedłem ja.

— To dlatego tyle na was wtedy czekałam?

— Musiałam dojechać z drugiego końca miasta. Nie jest to łatwe nawet w środku nocy, przy pustych ulicach.

— Czyli cały czas byłam podejrzana? Sypiałaś z podejrzaną? Płacą wam za coś takiego?

— Nie byłaś podejrzana. Dość szybko ustaliliśmy, kto zamordował Szymańskiego. Wiem, że nie miałaś z jego śmiercią nic wspólnego. Wkrótce stało się też jasne, że nic cię nie łączy z „Bestią z Mokotowa”. Przynajmniej myślałem tak do czasu, kiedy nie opowiedziałaś mi historii o wnuku twojej sąsiadki i tej jego halucynogennej mieszaneczce. To był przełom w śledztwie, nawet nie zdajesz sobie sprawy jak wielki. Na ciele jednej z ofiar znaleźliśmy substancję, której pochodzenia nie byliśmy pewni. Pasowała do twojego opisu. Porównaliśmy ją z próbką, którą zaniostaś do zbadania swemu koledze i bingo! Okazało się, że są takie same. Zaczęliśmy śledzić Apolinarego Rzycia, ale udało mu się wymknąć naszym ludziom. Dlatego właśnie namierzyłem jego telefon. A że nie mogłem się do ciebie dodzwonić, więc namierzyłem też twój. Dalszy ciąg już znasz.

— Znam, ale nie rozumiem. Dlaczego jestem tutaj, w twoim mieszkaniu, zamiast na komendzie? O co w tym wszystkim chodzi?

— To najtrudniejsza część tej historii. — Michał przełknął łyk kawy z kubka ze zdjęciem wielkiej mrówki i napisem „*Keep calm and keep ants*”. Marta wyczuła napięcie. Co mogło stresować go bardziej niż seryjny morderca? — Wiele razy opowiadałaś mi o swojej pracy. O nieprzespanych nocach, ciężkich przypadkach, wrednych pacjentach. Wiem, że twoja robota jest trudna. Ale moja też nie jest usłana różami. Wiesz, czemu zostałem policjantem? Zabrzmiał banalnie, ale serio chciałem dbać o bezpieczeństwo ludzi. Kiedy byłem dzieckiem, nie wyglądałem jak teraz. Byłem mały, chudy, zastraszony. W każdej szkole są takie dzieci, które aż proszą się, żeby się nad nimi znęcać. Pewnie wiesz, o czym mówię. W mojej szkole to ja byłem kimś takim. Koledzy zabierali mi śniadania, kradli drobne na sklepik, a ja nawet się nie skarżyłem. Marzyłem tylko, że kiedy dorosnę, będę wymierzał sprawiedliwość i zamykał takich drani w więzieniach. Los mi sprzyjał — zacząłem rosnąć, ćwiczyć i wkrótce wyglądałem tak, że wszyscy schodzili mi z drogi. Ale, jak to bywa, w międzyczasie ze sto razy zmieniałem plany na życie. Skończyłem psychologię i ze względów finansowych prawie zatrudniłem się w pewnej korporacji. Poszedłem na rozmowę kwalifikacyjną i dostałem u nich pracę. Bo muszę się przyznać, że szczerze nie znosiłem swoich studiów i nie wyobrażałem sobie pracy w gabinecie, z pacjentami. Psychologia to było wielkie rozczarowanie. Myślałem, że zdobędę jakąś tajemną wiedzę na temat funkcjonowania ludzkiego umysłu, a tymczasem to był jeden wielki pseudonaukowy bełkot i stek bzdur. Na dodatek nie mogłem znieść swoich kolegów. Do tej pory utrzymuję kontakt tylko z dwoma. Wiesz, co mówią

o psychologach? Że zamiast do psychiatry poszli na psychologię. To często prawda. No więc byłem absolwentem psychologii jednej z najlepszych uczelni wyższych w Polsce, z perspektywą pracy w jednej z największych korporacji zajmującej się doradztwem biznesowym. Dla wielu brzmi jak marzenie. Ja czułem się, jakbym dostał wyrok.

— Wtedy przypomniłeś sobie o policji?

— Tak. Złożyłem papiery, przyjęli mnie. Uwielbiałem i nadal lubię tę robotę, chociaż bywa ciężko. Myślałem, że z czasem będzie łatwiej, ale nie jest. Nasze śledztwa są żmudne, trwają wiele miesięcy, czasem nawet lat. Techniki operacyjne to syf. Wszystko musisz robić zgodnie z procedurami, które w wielu przypadkach zostały stworzone przez idiotów. Wypełniasz wnioski, cierpliwie czekasz, a jeśli wniosek zaginie, wypełniasz go ponownie i znowu czekasz... Przestępcy śmieją nam się w twarz. Ich nie hamują żadne przepisy. Mają za to same prawa: prawa człowieka, prawo do obrony, prawo do sprawiedliwego procesu... Dochodzi do sytuacji, że łapiemy gościa ze zwłokami w bagażniku, filmujemy, jak próbuje utopić je w Wiśle, a na końcu i tak go wypuszczają, bo film kręcony był nielegalnie i nie stanowi materiału dowodowego. A jego adwokat jeszcze potrafi twierdzić, że zwłoki w bagażniku były podrzucone przez policję, bo wiadomo — policja to wściekłe psy, próbują nadgonić statystyki, zamykając ludzi za niewinność. Nawet jeśli udaje nam się wreszcie kogoś złapać i zgromadzić dowody nie do podważenia, to i tak nie wiadomo, jak zachowa się sąd. Myślisz, że sądy wymierzają sprawiedliwość? Tam pracują ludzie, tak samo skorumpowani jak gdzie indziej. Może nawet bardziej. Wystarczy przyjrzeć się bliżej wyrokom w procesach członków mafii, gdy w grę wchodzi wielkie pieniądze. My łapiemy, oni wypuszczają. Taka zabawa w kotka i myszkę, bez końca. Po latach byłem tym zmęczony, sfrustrowany, chciałem odejść. Pomyślałem, że ta korporacja, to może jednak nie był taki zły pomysł.

— Dlaczego nie odszedłeś?

— Bo wtedy... wtedy stało się coś, co przywróciło sens mojej pracy. — Michał przelknął ostatni łyk kawy i odstawił pusty kubek na stół. — Zostałem zrekrutowany do pewnej... organizacji. Chociaż zrekrutowany i organizacja to niezbyt fortunate terminy. Bo my tak naprawdę nie jesteśmy żadną organizacją. Nie mamy statutu, władz, nazwy. Formalnie nie istniejemy. Jesteśmy porozumieniem ludzi, którzy wyleczyli się ze złudzeń, że prawo, policja i sądy są w stanie skutecznie eliminować i rozliczać zło. Dlatego sami wymierzamy sprawiedliwość i przywracamy porządek. Prawdziwą sprawiedliwość, taką, jaką dzisiaj wymierzyłaś ty. To, co robimy, można traktować w kategorii kary. Wierzymy jednak, że najskuteczniejsze jest zapobieganie. A jak lepiej zapobiegać, niż eliminując potencjalne zagrożenie?

— Chcesz mi powiedzieć, że w Polsce istnieje nieformalna organizacja, która zajmuje się zabijaniem przestępców? — Marta nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

— Nie słuchasz. To nie jest organizacja, tylko grupa ludzi wyleczonych ze złudzeń. Ludzi, którzy myślą podobnie i zrobią wszystko, by chronić swoich bliskich i ich otoczenie z jednej strony przed przemocą, a z drugiej przed niewydolnością systemu.

— Układ, grupa, przymierze... jak zwał tak zwał... To całe wasze porozumienie... Ścigacie przestępców i zamiast stawiać ich przed sądem, po prostu zabijacie ich i zakopujecie gdzieś w lesie?

— My ich nie ścigamy, tylko namierzamy. I nie zakopujemy w lesie. Są o wiele bardziej skuteczne metody, żeby pozbyć się zwłok.

Marta przypomniła sobie o furgonetce ze spalonego domu.

— Wielu z tych przestępców miało już procesy i siedziało w więzieniach, ale zostało wypuszczonych. Na przykład za dobre sprawowanie. Wychodzą i są jeszcze gorsi. Więzienie ich degeneruje. Uczy nowych technik, dostarcza współników i daje większe możliwości. Niektórych po prostu nie da się zresocjalizować. Urodzili się, by szkodzić. To zwyrodnialcy i sadyści. W imię czego mamy to tolerować? Patrząc na cierpienie rodziców, którzy tracą przez nich dzieci? Na krzywdę dzieci pozbawionych rodziców? Włóż jedno zgniłe jabłko do skrzynki, a za chwilę pogniją i inne. Dlatego szukamy tych zgniłych jabłek i pozbywamy się ich, zanim zaszkodzą reszcie. Znajdziesz wśród nas ludzi w każdym wieku i różnych zawodów. Większość nie uczestniczy aktywnie w tropieniu przestępców. Tym zajmujemy się my, policjanci. Kiedy znajdziemy kogoś takiego, szkodnika, uruchamiamy naszą sieć. Pamiętaj, że przestępcy również muszą jakoś funkcjonować — kupują jedzenie, naprawiają samochody, leczą się...

— Czy ty próbujesz mnie zrekrutować?

— Dostarczam ci informacji i pokazuję opcje. Tak naprawdę już zrobiłaś to, czego byśmy od ciebie oczekiwali, nie wiedząc nawet o naszym istnieniu. Pozbyłaś się „Bestii z Mokotowa”. A spróbuj sobie wyobrazić jego proces. Biegli, opinie psychiatryczne, ocena poczytalności... Mijają lata, on siedzi sobie w przytulnej celi, pisze pamiętniki i koresponduje z innymi świrami, którzy tylko czekają na sygnał, by zacząć go naśladować. Miliony złotych wydanych na śledztwo, psychiatrów, prokuratorów, sędziów, strażników... Pieniądze, które można by przeznaczyć na przedszkola, drogi czy remont twojego szpitala... Przyznaj, czy nie wolałabyś, żeby to wszystko tak właśnie wyglądało? Żadnych zatrzymań, przesłuchań czy fars nazywanych procesami...

— Czyli nikt się nie dowie, kim naprawdę był Apolinary?

— Zostanie podejrzanym i zaczniemy go poszukiwać.

— A ci ludzie, którzy zabrali furgonetkę jego zwłoki...

— Zajęli się tym, żeby nigdy nie został odnaleziony.

— Dlaczego nie mogłeś działać oficjalnie? Skoro i tak już nie żył...

— Po tym, co mu zrobiłaś?

— Działałam w samoobronie...

— Kiedy go znalazłem, był oskalpowany, nie miał powiek i połowy szyi. Marta, dostałabyś za to kilka lat i pewnie nie mogłabyś nigdy więcej wrócić do zawodu.

— Dostałabym kilka lat za to, że zrobiłam mu dokładnie to samo, co on zrobił tym kobietom?

— Właśnie tak wygląda ta sprawiedliwość, z którą się nie zgadzam. Każda próba obrony czyni cię przestępcą.

— To co teraz będzie?

— Nic. Straż pożarna dostała zgłoszenie o pożarze. Na miejscu znaleźli podejrzone ślady, zawiadomili policję. Wkrótce znajdziemy tam trop, który podpowie nam, że w tym miejscu morderca torturował swoje ofiary. Najpewniej sam podpalił budynek, próbując zniszczyć dowody. Usłyszysz o tym w telewizji. Tymczasem my, po cichu, przeszukamy jego komputer. Być może znajdziemy tam coś, co naprowadzi nas na ślad jego zleceniodawców. Wtedy będziemy działać dalej.

— My policja, czy my Wyleczeni?

— Nie mamy nazwy, już ci mówiłem.

— Wymigujesz się od odpowiedzi.

— Bo nie wiem jeszcze, co będzie. Czasem nie da się inaczej, trzeba działać oficjalnie. Dla własnego bezpieczeństwa.

— A co będzie ze mną?

— Również nic. Wrócisz do swego życia, do swojej pracy.

— Jestem teraz częścią układu? Zmusisz mnie, żebym coś dla was robiła?

— To tak nie działa. Nikt nikogo do niczego nie zmusza. Jesteśmy w tym dobrowolnie, bo takie są nasze przekonania. Nie znamy się nawzajem, z wyjątkiem koordynatorów, którzy wiedzą, kto jest kim. Dlatego wtedy kazałem ci wyjść z pokoju. Nie mamy tajnych spotkań, porad czy inicjacji nowych członków. Dowiadujemy się o układzie najczęściej przypadkiem, tak jak ty. Broniąc swoich bliskich albo siebie i „przekraczając granice obrony koniecznej”, jak nazywają to prawnicy. Wtedy pojawia się ktoś, kto pomaga wszystko poukładać. I tłumaczy dlaczego. Może się okazać, że taka osoba już nigdy więcej nie będzie miała okazji działać. Był to dla niej pierwszy i ostatni raz. Ale bywa i tak, że znów się przyda. Jednak nic na siłę. Pamiętasz sprawę kierowcy, który kilka lat temu w Wigilię zabił siedem osób wracających z pasterki? Był po alkoholu i narkotykach. Sąd uznał to za okoliczność łagodzącą. Facet dostał sześć lat i dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. Sześć lat za zabicie siedmiu osób! Wyszedł po czterech. Nadal jeździł jak wariat, choć już bez prawa jazdy. Był bezkarny. Do czasu aż nie zabił się na zakręcie po tym, jak w jego samochodzie wysiadły hamulce. Ludzie komentowali, że los okazał się sprawiedliwy. Myślisz, że to się stało przypadkiem? Tak jak mówiłem, nie polega to na tym, że masz ganiać za przestępcami. Działasz wtedy, kiedy przestępcy przychodzą do ciebie. Naprawiłeś samochód, kupiłeś obiad, leczysz jakąś chorobę...

— Nie boisz się, że was wydam?

— Nie. Po pierwsze, nas nie ma. Nawet gdybyś zaczęła opowiadać o tym, co właśnie usłyszałaś, ludzie patrzyliby na ciebie jak na kogoś, kto urwał się z choinki. Nikt by ci nie uwierzył. Po drugie, nie ma żadnych dowodów na to, co się właśnie stało. Po trzecie, działałabyś na swoją własną szkodę. Po czwarte... — Przerwał i spojrzał na Martę.

— Po czwarte? — spytała wyczekująco.

Michał objął ją i pocałował w usta. Odwzajemniła pocałunek.

— Czyli to wszystko między nami, to było naprawdę? Nie byłam tylko elementem w tym całym twoim układzie?

— Żartujesz? Po tym, co wydarzyło się w szpitalu, wiele ryzykowałem, przychodząc do ciebie. Wtedy jeszcze nie byłem pewien, czy nic cię nie łączyło z zabójstwem Szymańskiego. Nie znałaś mnie, a ja nie mogłem przestać o tobie myśleć. Zakochałem się w kobiecie, którą inwigilowałem. Mało to profesjonalne i mogło narazić całą operację.

Marta pogłaskała go po twarzy. Usłyszała, że się w niej zakochał. Ale udała, że nie zwróciła na to uwagi.

— A co z Szymańskim? Mówiłeś, że znaleźliście jego mordercę?

— Tak, ale sprawa nie ma nic wspólnego z „Bestią z Mokotowa”. Ciągłe wyjaśniamy szczegóły. Szymański umoczony był w lewe zwolnienia dla członków warszawskich gangów. Na dodatek w jego komputerze znaleźliśmy zdjęcia i filmy z udziałem dzieci. Był pedofilem. Prawdopodobnie zwolnieniami odwdzięczał się za te materiały. Albo po prostu w ten sposób dorabiał sobie do pensji. Nie wiemy jeszcze, o co dokładnie poszło, ale coś w tej współpracy zaczęło zgrzytać. Może za dużo wiedział. W każdym

razie stał się z jakiegoś powodu niewygodny. Gang wysłał swego człowieka, aby pozbyć się ciężaru. Zadali sobie wiele trudu. Akcja jak z jakiegoś filmu. Morderca z przeszłością, ale praktycznie już na emeryturze. Wykorzystał prawdziwe skierowanie na operację ortopedyczną, żeby dostać się do szpitala akurat wtedy, gdy Szymański miał dyżur. Nie było to problemem, bo Szymański zawsze brał soboty. Podejrzewamy, że morderca przekupił ordynatora ortopedii, choć nie sądzimy, by ten wiedział, co tak naprawdę robi. Morderca chciał mieć żelazne alibi i nie sądził, że będziemy szukać wśród pacjentów innych oddziałów. W sumie miał rację, wpadliśmy na jego trop zupełnym przypadkiem. Kiedy tamtej nocy przechodził przez parking do pawilonu, w którym mieści się oddział zakaźny, został nagrany przez kamerę samochodową. Pielęgniarski waszego szpitala zapomniał ją wyłączyć.

— Ciekawe, czemu nie użył przejścia podziemnego? Tam na pewno nie ma żadnych kamer.

— Pewnie bał się duchów. Tam podobno straszy — zaśmiał się Michał. — Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze? Kiedy połączyliśmy fakty i dotarliśmy do niego, już nie żył. Zmarł z powodu powikłań po zabiegu. Sepsa. Los okazał się sprawiedliwy. — Przyjrzał się z uwagą Marcie, ale wytrzymała jego spojrzenie. — Nazywał się Żakowski. Jerzy Żakowski. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Pokiwała przecząco głową.

— Dziwna sprawa. Był jednym z podejrzanych podczas śledztwa w sprawie morderstwa twoich rodziców. Pokazywali ci nawet jego zdjęcie, ale go nie rozpoznałaś. — Nadal bacznie jej się przyglądał. Po raz pierwszy rozmawiali o jej rodzicach i starała się nie okazać żadnych emocji. Przychodziło jej to z trudem.

— Możliwe. Byłam dzieckiem, niewiele pamiętam z tamtego okresu. Myślisz, że to faktycznie on był wtedy u mnie w domu?

— Tak, przeczytałem akta tej sprawy i wiele na to wskazuje.

— To w takim razie rzeczywiście niezwykle zbieg okoliczności.

— Nawet bardzo. — Wreszcie odpuścił Marcie i spuścił wzrok z jej twarzy. — Jesteś głodna? Morderstwa zawsze sprawiają, że chce mi się jeść. — Wstał z kolan i podszedł do lodówki. — Zrobię tosty z serem. Zjesz ze mną?

— Chętnie — odpowiedziała zamyślona. Przysunęła bliżej formikarium. Nieruchome dotąd mrówki natychmiast zaczęły biegać po krętych korytarzach gniazda. Nawet wielka i zwykle mało ruchliwa królowa dreptała pośród złożonych przez siebie jajeczek. Mrówki wydawały się przerażone siłą, która poruszyła ich mały, spokojny dotąd mikrokosmos. Jedne w panice chwytają jajeczka i przenoszą do sąsiednich komór. Inne z kolei, te z wielkimi żuwaczkami, wyszły na arenę gotowe bronić gniazda przed niewidocznym zagrożeniem. Ale wstrząsy nie powtórzyły się już więcej i uspokojone mrówki powróciły do przypisanych im ról. Piastunki pilnowały larw, robotnice szukały pokarmu, a królowa jak zwykle zamarała w swoim kącie. Marta zafascynowana patrzyła, jak szybko ich świat wrócił do normalnego stanu rzeczy.

„Muszę zadzwonić do Kamili” — pomyślała. „Może zgodzi się jutro ze mną spotkać. Pole Mokotowskie jest piękne o tej porze roku”.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ